

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

KUJAWY I POMORZE

2011 nr 2 (70)

Rok XVIII

Herbert

Hartwig

Różewicz


Myszkowski

Polkowski

Whitman

Duras

MIŁOSZ – DODATEK



KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

KUJAWY I POMORZE

2011

nr 2 (70)

Rok XVIII

SPIS RZECZY

ZBIGNIEW HERBERT	3	Słońce nocy
JULIA HARTWIG	7	Z notatnika // Tyle
	8	Skarga
TADEUSZ RÓŻEWICZ	9	Oktostychy: <i>*** (Zbyt wysoki twój tron, o Boże...) // *** (Księżyc jest jak wycinanka...)</i>
	10	Stara panna // Może // Zakonnica
TADEUSZ RÓŻEWICZ	14	Dyskusja: A, zapomniałem
	15	Wszystko jest poezją
STANISŁAW RÓŻEWICZ	17	Wybult
	18	Rafał
JAN POLKOWSKI	20	Cieniowi Philipa Larkina
	21	<i>*** (Pod gładką skórą greckich kolumn...)</i>
	22	Żółte śliwki // Ortografia
	24	<i>*** (W mojej epoce już wymieram...)</i>
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	25	Thorn
WALT WHITMAN	45	Pomyśleć o czasie
MARGUERITE DURAS	53	Ból
AGNIESZKA GRUDZIŃSKA	97	„W czterech ścianach mego bólu...”
BARBARA BRAY	101	O Marquerite Duras
MAREK KĘDZIERSKI	109	Marquerite Duras i Barbara Bray
VARIA		
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	117	Addenda (21)
MAREK SKWARNICKI	124	Hejnał mariacki (8)
LESZEK SZARUGA	129	Jazda (18)
PIOTR SZEWC	134	Z powodu i bez powodu (23)
RECENZJE		
PAWEŁ MACKIEWICZ	137	Pierwszy raz w Bieszczadach
ANNA NASIŁOWSKA	139	Panna F.
GRZEGORZ KALINOWSKI	143	„...najważniejsze były sprawy religijne...”
NOTY O AUTORACH	151	
NOTY O KSIĄŻKACH	154	
NOWE KSIĄŻKI	173	

Michał Kapitański



Zbigniew Herbert

Słońce nocy

– Dławi nas sępią
kłuje cieniem
księżycze sieje w suchych ostach

Trwoga przybiera
kurczy ziemię
przed nocą nagłą jak wodospad –

Tak mówią ludzie
małej wiary
którzy wołają: ucisz

Przepaść nad nami
liczymy gwiazdy
Rachunek nieba
Rachunek sumień

Otwórz serce
spłynie krew
powróci jasna
jak nawrócenie

Nie bój się nocy
otwórz usta
wyznanie: krwotok żywych słów

Oto jest nocne południe
Pora żarliwych gwiazd

Zbigniew Herbert

Nota edytorska

Wiersz ten nie ukazuje się po raz pierwszy w druku, opublikował go po raz pierwszy Paweł Kądziela, edytor wydanej przez Bibliotekę „Więzi” *Korespondencji 1949–1967* Zbigniewa Herberta i Jerzego Zawieyskiego (Warszawa 2002), jako że *Słońce nocy* należy do zbioru dwudziestu trzech wierszy (aż dwudziestu trzech, to niemal cały tomik!), jakie dwudziestosześcioletni poeta – co niedawno, bo dwa tygodnie wcześniej (i to wbrew swojej woli) zadebiutował w tygodniku „Dziś i Jutro”) – wysłał 4 października 1950 roku z Krynicy (razem z bardzo osobistym listem) starszemu o pokolenie pisarzowi, znajomości z którym bardzo sobie cenił i do którego miał zaufanie.

W wydaniu książkowym wiersz ukazał się jednak w innym kształcie graficznym, niż tekst znany mi z rękopisów i kopii maszynopisu, znajdujących się w Archiwum Zbigniewa Herberta (w posiadaniu Biblioteki Narodowej), a przede wszystkim z małą, ale bardzo istotną różnicą w odczytaniu jednego słowa, a właściwie jednej litery w słowie „księżyce”, otwierającym trzeci wers utworu („księżyce sieje w suchych ostach”). W cytowanym wydaniu czytamy: „księżyca sieje w suchych ostach”, co istotnie zakłóca tok wiersza, i jak się okazało, komplikuje jego odczytanie. Wprawdzie można by to milcząco poprawić w wydaniu zbiorowym, jednak w tym czasie *Słońce nocy* doczekało się obszernej analizy badawczej w pracy doktorskiej Mateusza Antoniuka *Otwieranie głosu. Studium o wczesnej twórczości Zbigniewa Herberta (do 1957 roku)*, wydanej w serii Biblioteka Pana Cogito (Kraków 2009). W rozdziale trzecim tej książki („*Słońce nocy*” i „*Kelnerzy w pustych restauracjach*”. *Co to znaczy: aktywność w języku?*) autor przytacza *Słońce nocy* w wersji pierwodruku (nie porównawszy go z rękopisami i maszynopisami Herberta) i dużo miejsca poświęca dwu pierwszym strofoidom utworu, dopatrując się w nich „rozwiązań łamiących poprawność gramatyczną oraz obniżających komunikatywność przekazu”, a rzekome „księżyca” (zamiast: „księżyce”) traktując jako przerzutnię. W tym miejscu wiersza nie ma jednak żadnej przerzutni, która zresztą rzadko gości w poezji Zbigniewa Herberta, jest natomiast obraz poetycki (rodem z Czechowicza?): „księżyce sieje w suchych ostach”, zrozumiały dla kogoś, kto widział pole suchych ostów w czasie księżycowej nocy, kiedy puste koszyczki ostu świecą odbitym światłem.

W wersji ogłoszonej w aneksie do *Korespondencji* Herberta z Zawieyskim zanikł też wyraźny podział wiersza na trzy (a nie dwa) segmenty utworu.

W rękopisach i maszynopisie odrębność drugiego i trzeciego segmentu podkreślona jest nie tylko odstępami, lecz także przesunięciem każdego z nich w prawo, w porównaniu z poprzedzającym. W drugim brulionie wiersza (Notatnik 22, k. 12 *verso*) podział ten wzmocniony jest liczbami porządkowymi (1, 2, 3), a trzeci segment, zaczynający się od nakazu: „Otwórz serce”, dodatkowo ujęty jest w cudzysłów, pełniący tu podobną rolę jak myślniki (czy pauzy), jakimi w czystopisie (akc. 17 954, z. 3) wyodrębniony został początek utworu.

W brulionie, o którym mowa, tytuł wzmocniony jest ujętym w nawias podtytułem: (tej nocy której nie należy się bać); w wersie 5 zamiast przekreślonego: „ziemię” autor dopisał: „ciało”; po wersie 9 następuje przekreślona linijka: „Nie znają słowa: oczyść”. Czwarta strofoida zaczynała się początkowo wersem: „My patrzmy w niebo / Niebo nad nami”. Dwa ostatnie wersy utworu oznaczone zostały przez Zbigniewa Herberta jako *coda*.

Ani pierwszy, ani drugi brulion utworu nie są podpisane datą; w Notatniku 22 poprzedza go również niedatowany brulion wiersza *Czułość* (k. 11), po nim (na k. 19 *verso*) następuje wiersz *Martwa natura* (*marzenie malarza*), podpisany datą: 11 I [1]950 (lub 14 I 1950?), można zatem przypuszczać, iż *Słońce nocy* powstało pod koniec listopada albo w grudniu 1949 roku.

Warto na koniec dodać, że w Archiwum Zbigniewa Herberta znajduje się również czystopis innej wersji utworu (akc. 17 851 t. 1, teczka 3), różniący się głównie tytułem: *Południe nocy* (i przesunięciem w prawo wersów: „Rachunek nieba / Rachunek sumień”) od wersji, jak sądzę, ostatecznej.

R.K.

Danuta Węgiel / visavis.pl



Julia Hartwig

Z notatnika

Julia uśmiecha się do mnie
jak do pięknego wspomnienia
pisze w pozostawionym notatniku

Luźne zapiski mówiące
o ostatecznym pożegnaniu:

Śmierć zaczyna się w chwili
kiedy zaczynasz nie podobać się
samemu sobie
I zaczyna się odpływ sił

Energia kierowana na zewnątrz
uderza teraz w ciebie

Tyle

Tyle piękna
ale niechby było uszczęśliwiająca
i jednocząca
Nie pochlebiaj poeto światu
szukaj formy dla swojego zachwytu
i ciszy która przywraca wzruszenie
Żadne świadectwa nie są dość wiarygodne
my sami musimy zaświadczyć istnienie
Nie jest tożsamy nasz świat

Skarga

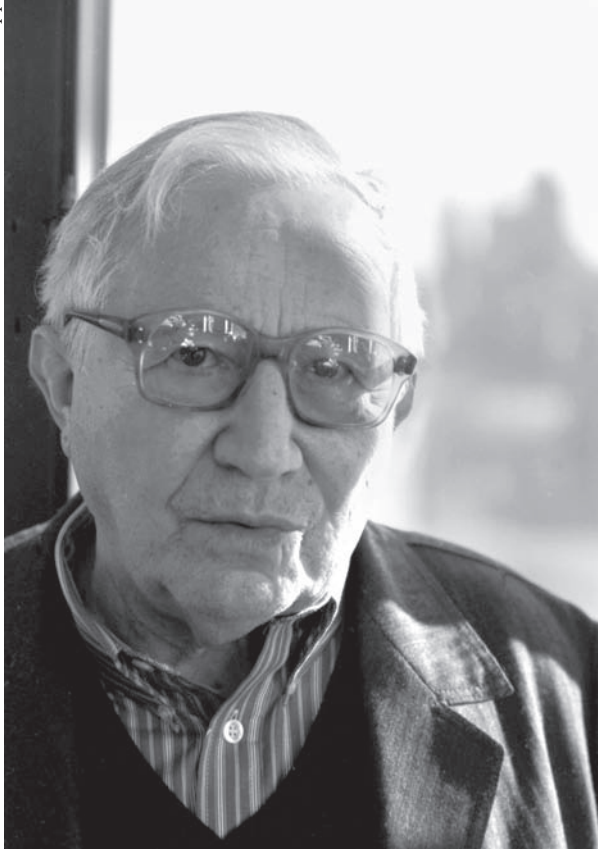
Konary drzew obnażone
i nigdzie schronienia
Bezbronne i niespokojne
wystawione na wasze spojrzenia
na próżno próbujemy się ukryć
w zatrzymanym na chwilę obłoku
w lśniącej strudze wiosennego deszczu

Jakże to tak zostawić nas bezbronne
kiedy zbliża się już przymus i radość miłości
a nasza niewidzialność
wśród głęboko jeszcze skrytych liści
daleko

Zdradza nas śpiew
niepowstrzymana odwaga ptasiej mowy
łańcuchy świergotów od brzozy do jesionu
od wierzchołka topoli po rosochate świerki

To ja mówię do was ja kos ja sójka
ja rzewna turkawka
i zabija

Julia Hartwig



"Oktoztychy"
pisane w 1941 roku -
(niezdemni ktoś opowie
co się wtedy działo „na sióćcie”)

Z kartki Tadeusza Różewicza do Krzysztofa Myszkowskiego

Tadeusz Różewicz

Oktostychy

* * *

6.X.1941 r.

Zbyt wysoki Twój tron, o Boże!
jakże mi z wysoka pomożesz
Puszczasz z fajki chmury i słońca
n i e b o modra puszcza płonąca
I nie widzę manny w pustyni
kto się za mną u kogo przyczyni?
Lecą z nieba białe obłoki
Bóg króluje w chwale wysokiej.

* * *

XI/XII.1941 r.

Księżyc jest jak wycinanka
srebrny okrągły i naiwny
niebo i chmury kształtem wianka
splecione w wieczór dziwny
Firanki w oknie jak motyle
trzepocą białym skrzydłem
świat cały zda się w taką chwilę
być bajką, snem, mamidłem.

Stara panna

Życie jest jak sentencja
w imienniku starym.
Cisza, pustka – mrok przyszedł
i drzemią zegary
Między zieleń pachnącym
mruczą bure koty
biała ręka rozdaje
zgubione pieszczoty.

Może

W czterech ścianach pokoju
jak w pachnącym zielniku
jesteś schnącą rośliną
błada obca dziewczyno,
może jesteś snem tylko
snem o sobie prześnionym
księżyc ujrział twarz twoją
i przystanął zdziwiony.

Zakonnica

Ktoś odszedł i nie wróci
ktoś tęskni ktoś się smuci
komu usta czerwone
komu ręce liliowe
Jakieś po nocy słowa
i korona cierniowa
dusza cicha i pusta
i twarz biała jak chusta.

Tadeusz Różewicz

(Tajemny Rozwiaz) Dyskusja

A, zapomnialem ...

patrzac na ogromny platan
na jego zielonej pełnej blasku koronie
na pomarancowy pień
pokryty szarymi plamami

ponowilem

ze trzeba wrócić do domu
i napisac ten poemat

O 65 letnim poecie
ktory na pytanie
co pan pisze co pan ma na warstacie
odpowiada z uśmiechem
(brującym zakłopotanie)
nic nie pisze
nic mam na warstacie

ale ~~pan~~ inni ~~nie piszą~~ poeci
piszą niegigistyczne poezje
i niegigistycznym głosem
wygłaszają je
dla

równie niegigistycznych słuchaczy

~~całej~~ wolnej Europy

~~zamiar~~
~~do~~
~~zamiar~~
~~zamiar~~

reprodukując dzięki
"do reprodukcji litograficznej,
poligraficznej,
do diapozycyj
albo "film o nitce" ?

narzucając, że całkowicie już niechcimy
sposób oglądania czy raczej odczytywania
nie da się się od dziwić "

Dzień - ten nie wymia esencji,
ale wytworza...

~~Współczesność jest~~
~~forma~~
~~formy~~
~~formy~~

Wszystko jest poezją

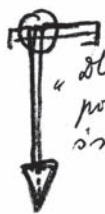
Oczywiście ta banalna i dylta
do potory przepiękna jest myśl po i przede
jest idea nie jest oryginalna (ale zastępnym)
i dlatego młodzi natychmiast lepszą
bramy pisał entuzjastów i usładowców
który prozą podzięgnął również
swoje życie wiersze poel wiekus poezji
to przecież: jeśli wszystko jest poezją

~~o wszystkim jest poezją - Proin z tych wierszydat~~

oczywiście można mówić
że kiedy utwór jest artystyczny
kiedy kobieta Kleopatra, siostro Katarzyna
Kiedy mężczyzna Casanova i Cesarzem
Kiedy przedmiot jest dziełem sztuki
(np. dzieło rzeźbiarstwa, rzeźba, kompozycja, obraz)
Kiedy jest trzęsienie, wieniec, kompozycja, obraz
oczywiście!

~~Wszystko jest poezją~~
kiedy jest poezją
ale nie kiedy jest dobrym poematem

~~Wszystko jest poezją
ale nie wszystko jest dobrym poematem
o czymś świątecznym wiersze nie są
wiersze świąteczne
na festiwalach piórosłuch (poemata?)~~



„Długo autor, który tłumaczy się
poziada; bo ja tak czuję, jest raczej
śmieszny. I lepiej było wiersze, młodszy.”

Kiedy dzieło sztuki jest aniołem
Kiedy obraz jest miłością miłości
kiedy obraz jest estymowanym odobrodem
jest otwarciem na nieskończoność
która ramy nie może podzielić
obrazu - przewidujemy łóżka możliwi
amen kompozycja

~~Wszystko jest poezją i...~~
~~Wszystko jest poezją~~
~~Wszystko jest poezją~~

Tadeusz Różewicz

Dyskusja

A, zapomniałem...

patrzac na ogromny platan
na jego zieloną pełną blasku koronę
na pomarańczowy pień
pokryty szarymi plamami
pomyślałem
że trzeba wrócić do domu
i napisać ten poemat

o 65 letnim poecie
który na pytanie
co pan pisze co pan ma na warsztacie
odpowiada z uśmiechem
(kryjącym zakłopotanie)
nic nie piszę
nic mam na warsztacie

ale inni poeci
piszą nieugięte poezje
i nieugiętym głosem
wygłaszają je
dla
równie nieugiętych słuchaczy
wolnej Europy

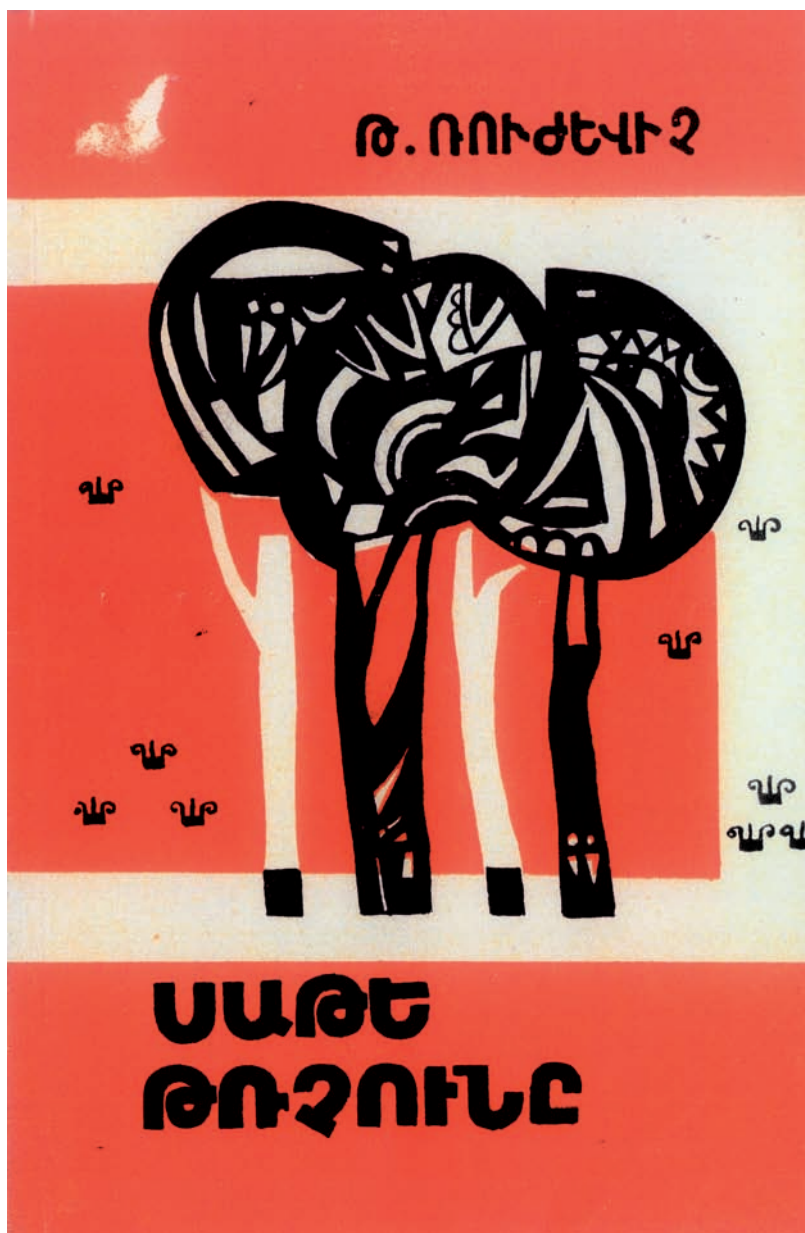
Wszystko jest poezją

Oczywiście ta banalna i tylko
do połowy przemyślana pół myśl pół prawda
pół idea nie jest oryginalna (ale zastyszana)
i dlatego znalazła natychmiast legion
bezmyślnych entuzjastów i naśladowców
którzy pragną podciągnąć również
swoje liche wiersze pod miano poezji
bo przecież: jeśli wszystko jest poezją
owszem wszystko jest poezją – prócz złych wierszydeł
oczywiście można mówić
że każdy człowiek jest artystą
każda kobieta Kleopatram i świętą Katarzyną
każdy mężczyzna Casanovą i Cezarem
każdy przedmiot jest dziełem sztuki
(np. deska sedesowa, wieszak, kopyto)
każdy jest twórcą
oczywiście!
każdy jest poetą
ale nie każdy jest dobrym poetą

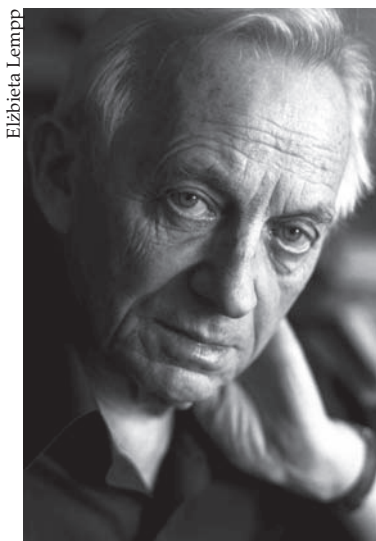
Dlaczego autor, który tłumacząc się
powiada: Bo ja tak czuję, jest raczej
śmieszny. I lepiej by – no właśnie, milczał.

Każde dzieło sztuki jest aniołem
Każdy obraz jest milczącą myślą
każdy obraz jest wstrzymanym oddechem
jest otwarciem na nieskończoność
która zaczyna się zaraz pod powierzchnią
obrazu – powierzchnia krajobrazu uwodzi
amen

Tadeusz Różewicz



Okładka wyboru wierszy Tadeusza Różewicza pt. *Jantarnaja ptica*. (*Bursztynowy ptaszek*) wydane go przez Wydawnictwo Ajastan w Erewaniu w 1970 roku w języku ormiańskim.



Stanisław Różewicz

Wybult

Tadeusz Wybult, Tadzio... Wysoki, szczupły, profil Savonaroli. Nasz najlepszy scenograf filmowy. Wielka kultura. Małomówny. Uważał, że do każdej dekoracji wnętrza powinno się wstawić jakąś rzecz, może mebel, który będzie zaskoczeniem, niespodzianką. Miewał Tadzio nieoczekiwane pomysły, także „poza planem”.

Byliśmy w warszawskiej Desie. Tadeusz oglądał stare szkła i zegary. Ja gapiłem się na śląską ludową szafę z napisem „Rok 1773”.

– Podoba ci się? – zapytał Tadeusz.

– Uhm...

Tak wyglądał nasz krótki dialog. Wyjechałem gdzieś na kilka dni. Po powrocie widzę że szafa „Anno 1773” stoi w przedpokoju mojego mieszkania.

– Skąd ta szafa? – pytam Isię.

– A to Tadzio zjawił się z jakimiś... Ustawili i powiedział, że tu będzie pasować. Patrzyłem – rzeczywiście „pasowała”.

– Założył za ciebie pieniądze i zostawił kwit. Że mu zwrócisz...

Zwróciłem gotówkę. Szafa w porządku do dziś. Podobnie wprowadził Tadeusz stolik do pokoju mojej żony.

Tadeusz nie pracował już w filmie. Słuchał dużo klasycznej muzyki, chodził na wystawy. Spotkałem go na rynku Starego Miasta. Zgarbiony niósł torbę ze starymi książkami. Przysiedliśmy na ławce. Szedł do antykwariatu sprzedać te kilka książek.

– Nie wytrzymuję – powiedział.

Był na chudej emeryturze. Dyskretny zawsze i taktowny nagle wybuchnął żalami na jednego z naszych reżyserów. Okazało się, że reżyser nie wymienił Tadeusza jako scenografa jednego z naszych filmowych „klasyków”.

– Nieważne – powiedziałem – Ważne, że to ty robiłeś tę scenografię.

Patrzył w milczeniu na spacerujących po rynku. Zatrzymywali się i przyglądali wystawionym obrazkom.

Pomyślałem, że może zapytam go, jakie książki sprzedaje, aby mieć „na życie”. Nie zapytałem. Odprowadziłem go do księgarni. Widzieliśmy się ostatni raz.

Czasami kiedy jeździliśmy samochodem w Polskę na dokumentację i Tadzio był w dobrym nastroju nucił piosenkę Młynarskiego – „Jesteśmy na wczasach w tych góralskich lasach, w promieniach słonecznych opalamy się...”.

Rafał

Rafał Kukulski. Wysoki, chudy, w grubych szklach krótkowidza, jakby zdziwiony otaczającym go światem. Poznaliśmy się w czasie przygotowań do filmu *Jutro premiera*. Przyjechał z Krakowskiego Instytutu Filmowego podobnie jak Jurek Kawalerowicz i Kazik Sheybal. Próbował startować jako asystent reżysera i konsultant muzyczny. Interesował się montażem, miał wykształcenie muzyczne. O jego wojennej przeszłości wiedzieliśmy mało.

Z trudem próbował zahaczyć się w filmie na dłużej. Był uparty, zawsze głośno mówił wprost co myśli o nowych władzach Polski. „Wybory są sfałszowane, a Zachód nas sprzedał”. Pytany jaki jest jego stosunek do Polski Ludowej, odpowiadał krótko – „Wrogi”. Bywał więc wyrzucany co pewien czas z pracy, ponownie przyjmowany, na krótko, niekiedy tolerowany dłużej jako nieszkodliwy dziwak. Z pieniędzmi było u Rafała chudo, wydawał je na książki i płyty – słuchał dużo muzyki poważnej, na koncerty chodził z partyturami granych utworów.

Kiedy robiłem film, pytał czy nie mam dla niego jakiegoś epizodu: Grał więc czasami coś niewielkiego. Jako urzędnik magistracki w *Trzech kobietach* pouczał petentkę proszącą o przydział fortepianu – „Proszę przynieść podanie z uzasadnieniem – kto gra i w jakim celu gra...”. W *Echu* wyklócał się z współlokatorami pokoju hotelowego Fabisiakiem i Glińskim o zamknięcie okna. W *Piekle i niebie* również awanturował się z pasażerami autobusu o uchylony lufcik, by po katastrofie drogowej krążyć wśród zbawionych wzdychając – Ach... jestem taki szczęśliwy... W swoich epizodach był prawdziwy, autentycznie zabawny.

Rafał miał pieska, „Wantunię”... Rafał realista i romantyk kosztem wielu wyrzeczeń wyrzucił z latami małą żaglówkę „Agnieszkę” i uciekał „na jeziora”, nazywaliśmy go więc też „Kapitanem”.

Rzadko wspominał czas wojny. A był odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* i Krzyżem Walecznych. Przez całą okupację działał w konspiracji, brał udział w rozpracowywaniu V2 na wschodnich terenach, gdzie Niemcy przeprowadzali próby z raketami. W czasie powstania w getcie warszawskim dostarczał broń, był ranny. Złapany i torturowany przez gestapo uciekł z transportu w drodze do obozu koncentracyjnego.

W ostatnich latach schorowany Rafał żył trochę jakby poza rzeczywistością. Wyprzedawał książki, godzinami słuchał poważnej muzyki. Mało kto o nim pamiętał. Po dłuższym niewidzeniu odwiedziłem go w mieszkaniu na ulicy Gersona. Zima miała się ku końcowi. Tego dnia była u niego znajoma z czasów okupacji. Rafał dopytywał się co w filmie, jak udał się *Quo vadis*. Niedawno przyznano Rafałowi stopień kapitana i przysłano pismo przypominające jego wojenne zasługi. – „Niech by lepiej dodali sto złotych...” – wzruszył ramionami. Mówiłem, że wiosna niedaleko i za oknem zazielenią się drzewa.

W kilka dni po naszym spotkaniu zatelefonowała pani pomagająca Rafałowi w gospodarstwie. „Rafał nie żyje”. Zaczadził się od tłącej się kołdry, w nocy, razem z ulubionym pieskiem. Zostały płyty i książki.

W dniu pogrzebu zaświeciło słońce. Żegnaliśmy się z Rafałem na Cmentarzu Powązkowskim. Jurek Kawalerowicz, Kazik Sheybal i ja. Razem zaczynaliśmy pracę w filmie.

Była ze sztandarem niewielka gromadka siwych kobiet i mężczyzn, kombatantów AK.

Stanisław Różewicz



Jan Polkowski

Cieniowi Philipa Larkina

Na balkonie, w słońcu, w niedzielne południe
oparty o wypłukane drewno balustrady
patrzę na dwóch smarkaczy ciągniętych przez matki
z kościoła, po mszy o jedenastej.

Chłopcy nie chcą wyjść bo w ucichłym wnętrzu
zabawa w chowanego i słuchanie echa
rozpędzonego serca nie smakuje nigdzie
tak słodko i zwycięsko.

Obok, pod murem, stoi nieruchoma
śmierć jak deszcz idący pośpiesznie znad morza
z północy. Choć może to zgarbiony franciszkański
posąg ze stopami w łańcuchach zakopconych
ogni, oblepiony sztucznymi kwiatami jak czoło
fali kozuchem żółtej, przeszłej siarką, piany.

Upadł cień, wstał żebrak i wyjął spod kolan
tekturę oddzielającą jego krew od piekła

zimnych kamieni i schował w kieszeni skąpą
garść monet. Wtedy poczułem
uderzenie w źrenice kanciastej pięści
słońca i śliskie objęcia klaksonów
stłoczonych pode mną
jak wystraszone owce.

Powolny oddech ziemi płynął przez szorstkie szpalery
cichnących dzwonów wygasłego miasta.
Wszystko co było blisko przyszło jeszcze
bliżej z wyjątkiem życia które gdzieś tam
biło w brzeg uparcie zawinięte w głuchy celofan
powietrza, w klękanie na tekturze śniącego
dzieciństwa, w wędrówkę po zimnych kamieniach
obietnic, w przeliczanie drobnych, w chodzenie
do kościoła, w obserwowanie śmierci
jej wolnych chwil, bezwładnych
przeźroczyстых godzin.

* * *

Pod gładką skórą greckich kolumn
W wiatru znad Nilu lisim pysku
Błyszczą szkło mowy, matowieją
Ptasiego pisma kreski niskie

Mówił poeta i szedł za nim
Biały drapieźnik – harpun ciszy
I pył bezradny wbijał żołnierz
W niedosłyszalny trakt polszczyzny

Za garbem słońca stoi Rzym
Nad pychy i narzecza dymem
Ornaty twarzy myje wiatr
Tym co już zwycięzcami byli

Wsiądź na osiołka ranny bracie
Nasuń na usta chustę wiotką
Niech dzieci w wietrze łyżę zakopią
I serce śpiewa jak nieboskłon

Żółte śliwki

Pochylona alycza wciąż rodzi twarde, żółte śliwki
ale jest już zwolniona z obowiązku ratowania
przed głodem. Zgarbiony mężczyzna nie musi zebrać u jej stóp
żeby przeżyć. Zbudował dom z kanalizacją, czeka cierpliwie
na powrót wnuka, wieczorny posiłek, suche kłosa
śmierci. Nadeszły ciężkie czasy i życie stało się lżejsze.
Bazant krzyczy w cichnącym upale.
Niemał wymówione słowa leżą
w stercie rupieci za domem.
Macedonki obwiązane fartuchami tkają cień
dla dzieci i długowłosych kóz.
Ich blade oczy i twarde palce pracują tylko do południa
później gdy milczą cykady czarne chusty tańczą w bezlistnym
kurzu. Karmią wąskimi ustami wysokie
zimne źródła.

Ortografia

Ch nieme i *h* dźwięczne wymawiałem jednakowo.
Ojciec pytał: jak można mylić głoski które brzmią inaczej?
Chata herbata, powtarzał. Słyszysz?

W *ch* Ojca włókł się chłód rozłożystych piasków snuły serdeczne
sosny ścinane na maszty
ożywały zorze Wigilii w twarzach przylepionych do zimnych okien
wypatrujących ogników aniołów za białym płótnem
zmarzniętych drzew.

Zanikał w nim twardy dreszcz płaszczy zaginionych mężczyzn
i zastygały w pyłe drogi psy Dziadunia
które wybiegały daleko przed dom by eskortować
nadjeżdżających gości
razem z obracającymi się drewnianymi południkami
w kołach rozkołysanych obłoków.

H schło na wargach
jak uroczysta podróż na ramionach ojca
i życie niepowstrzymane
płynące pod chorągwiami tajemnic
porywające ku tropikalnym portom wszystko
nawet mój kapelusik wyjęty z wiersza Konopnickiej.
Jak fosforyzujące pismo przegniłych listów z sowieckiego łagru
i drzenie kieliszków w serwantce gdy Szaulisi w ciszy otaczali dom
a Zdrowaś Mario w panice mieszało się z Ojcie nasz.

Do dzisiaj huczy w moich płucach
hymn pobitego czasu
i kaligrafuje skrzypiącą stalówką
dziecinne prośby o przetrwanie.
Sam, bez końca, przeciskam się przez tłum liter
leżących pokotem na dźwięcznych i bezdźwięcznych liniach życia.
Gdy dotykam pierwszej litery alfabetu
nienarodzeni opuszczają domy
idą po świeżo wykrochmalonym śniegu
jeszcze miękkim od kolęd
w butach ulepionych z gorącego chleba.

Gdy wymawiam ostatnią jestem kimś
kto zaginął we mnie i sylabizuje poza światłem
litanie monottonnych sylab
grzebie jak pogorzelec w perle popiołu
odwraca kijem nadpalone słowa i nie-słowa
przyrastające do rzeczy z każdym oddechem.
Jestem kimś kto nasłuchuje jak czas zmienia się

w swoje przeciwieństwo
jak się jednoczy, oskarża i trwa uparcie
w szalasach sierpniowych ulew.
Kimś kto szuka nieśmiertelnego brzmienia
w strzępach ciał upchniętych w samogłoskach
w zgrzycie bezcielesnych rzeczowników
i pieśniach pysznych stuleci.

Powiniem mówić coraz dokładniej a niemieję.
Wbijam zdania głęboko w ziemię.
Kopię na nie dół.
Nie wiem jak wypowiedzieć twoje wielogłowe imię
dlatego krążę jak gorączka w obrzękłych światłach
ruchomych miast (choć ty jesteś
jak zdrowie).

* * *

W mojej epoce już wymieram
Na dno języka kamień toczę
Jak żarna wtedy opowiadam
Gdy głód i woda splotą dłonie

Jak życia twego sucha linia
Konnica nocy karmi ogień
Pod piersią matki jak w bezkresie
To ocaleje co zapomnisz

Jan Polkowski



Krzysztof Myszkowski

Thorn*

Mohl był miłośnikiem słów, Mohl był ich wiernym miłośnikiem. Ale zdarzały się chwile, a nawet całe ich pasma, że nie myślał o nich dobrze, że myślał o nich źle. I to, stosunek Mohla do słów, zasługuje na uwagę, bo ciągle, w związku z nim i w związku z jego historią, a także w związku z Thornem, w związku z Mohlem i z Thornem, obracamy się w słowach, wiercimy dziury w języku, drążymy wykopy i minujemy je, wylatujemy w niebo, szybujemy w przestworzach i znowu pełzniemy po powierzchni, kierując się to tu, to tam, to w jedną, to w drugą stronę, wchodząc lub schodząc albo tkwimy w miejscu, raz dłużej, raz krócej, żeby znowu wyruszyć w drogę, w jedną albo w drugą stronę lub żeby dalej krążyć, w tym lub w innym kwartale, wśród murów i wież, nad rzeką.

Mohl myślał o słowach z sympatią i z przyjaźnią, a nawet myślał o nich z miłością. Świat bez słów, to by dopiero było piekło. Tak, Mohl kochał słowa i nie wyobrażał sobie życia bez nich. Ale myślał też o nich ze złością, a nawet z wrogością, chociaż były to rzadkie chwile, te drugie. Wtedy zmagął się

* Fragment powieści.

z nimi, próbował używać ich na różne sposoby i służyć im, tak jak potrafił. W każdym razie próbował wycisnąć z nich coś więcej.

Miał swoje ulubione słowa i frazy i trzymał się ich, nie tylko w trudnych chwilach. Ale były też słowa i frazy, które Mohl pomijał, nie używał i nie stosował i to nie zmieniało się w nim, a jedynie umacniało, zagrożone przez zabiegi i natarcia z zewnątrz.

Thorn był oparciem dla Mohla i dobrze go umacniał. Ale czy słowa ich były z jednego ducha? Były do siebie podobne. Mohl chłonał brzmienie, ton i sens słów Mohla, powtarzał je i wskrzeszał w sobie na swoje podobieństwo i na swoją modłę. Ale, czy były to słowa z jednego ducha?

Nie raz Mohl nie mógł zrozumieć słów Thorn'a, chociaż przecież nie były trudne do zrozumienia. Nawet gdy były niejasne, to, na swój sposób, były jasne i Mohl mógł zbliżyć się do nich i tłumaczyć je, po swojemu. Z lekkich słów potrafił odgadnąć ciężką rzecz, a ze słów niejasnych wysnuć jasną.

Czy Mohl ukrywał, czy odkrywał, gdy powtarzał słowa Thorn'a? Nie raz mówił jego słowami i wcielał się w nie, wiedząc przecież, że słowo oznacza część i że całość możliwa jest tylko w duchu.

Starał się wymawiać słowa tak jak Thorn. Wypowiadał je na głos i były wtedy, dla tych, którzy je znali, jakby wyjęte z ust Thorn'a, ale przecież były inne.

I tak jak Thorn Mohl lubił przesiadywać w mroku i w ciemności, w samotności i w ukryciu. Wpatrywał się w ciemność, która rozszczepiała się na jasne i ciemne strefy, zarysy cieni i blask, wpatrywał się w czarne kontury i w dal. Wiedział, co ma zrobić, wiedział to prawie od początku, ale jeszcze nie był tego pewny, nie był przekonany i nie był zdecydowany, do końca. Lecz, czy Mohl kiedykolwiek był czegoś pewny, do końca? Czy kiedykolwiek był do końca przekonany i zdecydowany? Tak, zdarzało się to, nie raz.

Patrzył na przenikanie światła i ciemności, na ich łączenie i rozłączanie, które z jednej strony było słabnięciem, zanikaniem i marnieniem, a z drugiej – wzmocnieniem, wyraźnieniem i dodawaniem sobie siły. Raz jedno, raz drugie, tak jakby były ze sobą złączone i zdane na siebie, w ciągłym ruchu, w krążeniach i w obrotach, chociaż na zewnątrz były oddzielone, wyraźnie.

Isć tam, gdzie jest siła i moc, prawda i światło, i ratunek. Ale, gdzie jest siła i moc, prawda i światło, i ratunek? Czy nie są to tylko piękne zjawy

i fantasmagorie? Ale nawet, jeżeli by tak było, jeżeli byłyby to tylko zjawy i fantasmagorie, to czy warto było kierować się gdzie indziej? Do kogo? W którą stronę?

Co mogą zrobić ci, którzy już zostali wydani na pastwę? Co mogą zrobić ci i im podobni, których jest legion? Siedzą w saku i wabią do niego innych. To jest ich sytuacja i takie jest ich działanie: marne i na krótką metę.

Odpuść Mohl, odpuść sobie i innym, odpuść Thornowi i matce, jeżeli potrafisz. Trzymaj się ich, a wyjdzie ci to tylko na dobre. Odpłacą ci tym samym, naprawdę to ci się opłaci. Odpłacą ci pięknym za nadobne. Nie wiesz tego, Mohl?

W głowie głos solił pytanie za pytaniem.

Tak cudownie ulepiony w łonie matki, z miłości i ze światła, schowany i widziany w miejscu skrytym. Czy ciemność może być jasna jak światło? Czy to, co jest najciemniejsze, może stać się najjaśniejsze? Czy ciemność może być przezroczysta jak tiul, przezroczysta na światło? Daruj sobie, Mohl, i daruj im. Droga bez nich to zła droga. Nie wiesz tego? Zaczynj wreszcie mierzyć miarą, jaką tobie odmierzono, jaką tobie się mierzy i jaką będzie mierzyć się dalej, do końca.

Czy były to słowa Thorn, czy słowa matki, ten głos w głowie, nie wiadomo kogo i skąd dobiegający?

Czarna toń, łuki bram i linie murów. Brzeg, błyski latarni, wiatr, nurt i światło księżyca.

Skąd w tobie jest tyle złości, Mohl? Skąd ta raz po raz odzywająca się zacięłość głosu i tonu? Skąd to się w tobie bierze? Wyluzuj się Mohl, daj spokój i słuchaj tego, co mówi głos.

Po co dodawać zło do zła, jałowe do jałowego? Wdowa matka, *viduitas*. Czarny ptak. Po co ja mam brać w tym udział? Jako kto? Uczestnik, czy widz? Czy mam być czynny w tym komu potrzebnym zamieszaniu, czy stać z boku, o ile jest to możliwe i tylko przyglądać się, z dystansu?

Mohl nie wiedział, jak ma postąpić. Wstać, wyjść i iść do matki, tak jak powiedział głos, i jak powtórzył Thorn, czy wstać, wyjść i iść w przeciwnym kierunku, uciec od matki i od Thorn, uciec od nich jak najdalej? Ale gdzie uciec? I do kogo? Kto da mu wsparcie i kto umocni jego kroki?

Bez wsparcia Mohl nie mógł się obejść. Po to był Thorn i po to byli inni.

I był Roth i jego wspólnicy. Mohl widział ich i obserwował. Kręcili się na rozdrożach, wystawali na rozstajach, wszędzie ich było pełno. Widział, że już zostali wrzuceni w przepaść, że lecą w dół na łeb, na szyję, spadają na złamanie karku. Dlaczego tak łatwo dali się podejść? Nie było już dla nich ratunku?

Widział to Mohl i obserwował, na zewnątrz, widział jasno i wyraźnie, chociaż w nim, wewnątrz, wcale nie było to takie jasne i wyraźne, tak jak to widział, na zewnątrz.

Po stopniach, przy brzegu rzeki, wchodzili i schodzili ludzie. Jedni wchodzili, inni schodzili, szli z góry na dół i z dołu do góry i wyglądało to tak, jakby wstępowali i zstępowali, bo pojawiali się i znikali i znowu się pojawiali, ci sami i inni. Niektórzy siadali na stopniach albo stali w miejscu i patrzyli na rzekę i na niebo lub wpatrywali się w drugi brzeg.

Mój czas jeszcze nie nadszedł, myślał Mohl, a czas mijał. Nie traci czasu, bo czas ciebie straci, słyszał. Ale, co miał robić? Czekać i dalej grać na zwłokę, rozgrywać gry pozorów i liczyć na to, że najlepsze dopiero będzie?

Myśl, że pójdzie do akademika i tam przeczeka najgorsze, była, w jego głowie, coraz bardziej natarczywa. Ale czy akademik to było dobre miejsce dla Mohla? A jakie miał inne wyjście? Do kogo pójdzie? I kto go przyjmie? Kto i na jak długo? Na ile dni, tygodni, a może miesięcy? Niechby i jak najdłużej. Ale co potem? Co dalej?

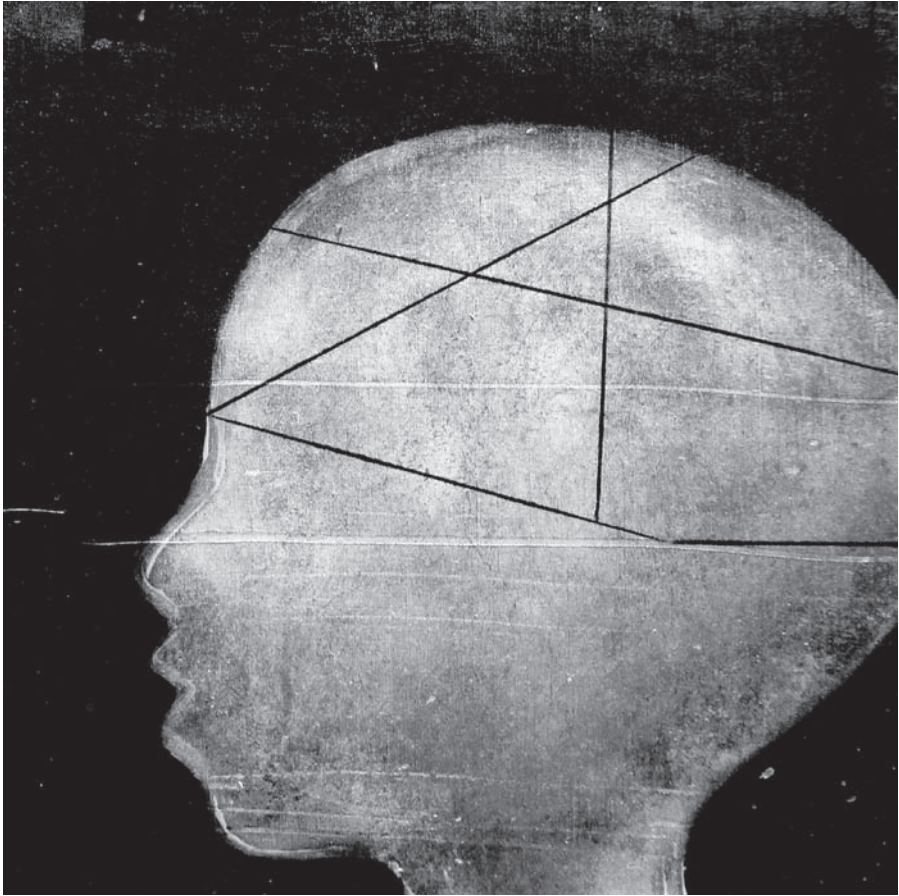
Teraz był w dobrym miejscu. Czy nie w najbliższym z możliwych? Przez głowę mu nie przeszło, że kiedyś tu będzie mieszkał, nad rzeką, tu w tych ruinach, gdzie po raz pierwszy ujrzał światło i krzyknął, niczego nieświadomy, i na ten świat!

Czego mu więcej było trzeba?

Miał święty spokój, mógł pracować i zawsze mógł liczyć na pomoc Thorna. A co go czekało w akademiku? Przecież to było nie do porównania.

Po to uciekł od hałasów w domu, żeby pakować się w większe? Przecież wiedział, jak jest w akademiku.

Szerokie schody do góry i na dół i ruch na nich prawie przez cały czas, długie, szare korytarze, ciasne i zatłoczone pokoje, ani chwili spokoju, ani chwili ciszy.



Ewa Bathelier, *Luc*

Ale jakie to miało znaczenie teraz, gdy Mohl już uczepił się tej myśli, czy raczej ta myśl uczepiła się jego? Nie miał wyboru? Wmawiał sobie, że nie, więc uczepił się tej myśli, nie mając nic lepszego. Czy tak miała skończyć się dobra passa Mohla?

Miał szczęście, można nawet powiedzieć, że miał wielkie szczęście, że był w czepku urodzony. I nie tylko dlatego, że tak wiele mu się udawało, tak dobrze się układało, ale przecież nie raz cudem uniknął niemal pewnej śmierci. Już w dzieciństwie trzy razy powinno być po nim. A potem jeszcze co najmniej sześć razy: na poligonie przy moździerzu, gdzie zginęli inni, trzy razy na szosie, raz na torach tramwajowych, a raz przy katedrze, gdy tuż obok niego spadła z góry twarda jak kamień bryła lodu.

Ktoś nad nim czuwał. Bez tego Mohl nie wyszedłby z tych opresji cało, nie uratowałby się nawet jeden raz.

Wiedział, że gdy nic się nie dzieje, to przecież coś się dzieje, coś wydarza się w takim lub w innym trybie, w tym lub w innym porządku, z taką lub inną intensywnością i wyrazistością, choćby tylko w przeblyskach, w głowie i w myślach, i w sercu, tak, w sercu.

Bo gdy już zacznie się opowieść, to potem toczy się wartko, rozwija się i rozkręca, jakby tak sama z siebie, w nawrotach, w wirach i w przełomach, w przełomach i w parciu do przodu, w ciągłym dążeniu naprzód. Nie wszystko jest w niej widoczne, wiele, z tego, co się dzieje, nie widzimy, nie jesteśmy w stanie zobaczyć, ale w opowieści wszystko dzieje się solidnie i solennie, w jej rwącym toku tak, że nawet gdy nic się w niej nie dzieje, gdy tak wydaje się, że nic w niej się nie dzieje lub gdy rozluźnia się i jakby staje w miejscu, to i tak dzieje się w niej wiele, nie raz z dużą mocą i częstotliwością i z jakąś niezwykłą konsekwencją, żeby nie utraciła impetu i sensu, który wyłania się na jej powierzchni albo schowany jest w środku, dla jednych widoczny lepiej, dla innych gorzej, chyba jednak najlepiej widoczny na końcu, jeżeli do niego dotrzemy.

To, co działo się z Mohlem, było jednocześnie zawile i proste, rozgrywało się na powierzchni i nie na powierzchni, w jasności i w niejasności, jakby w powijakach początku, ale przecież w niezłe już rozkręconym i pogmatwanym toku, w kolejnych kulminacjach i w dążeniu do kulminacji głównej, czego Mohl mógł nie wiedzieć, tak jak i my, a nawet nie mógł domyśleć się tego, do czasu.

Nie z wszystkiego udało się Mohlowi wyjść obronną ręką. Ponoślił mniejsze lub większe porażki, mniejsze lub większe straty. Ale przecież z wielu niebezpieczeństw i kłopotów wychodził nad podziw łatwo, gdy wydawało się, że nie ma już z nich dobrego wyjścia.

Tak, duże znaczenie odgrywały w nim emocje, mniejsze lub większe, te lub inne. Ale czy emocje nie łączą się zawsze z miejscem i z bliskością konkretnych osób, bliższą lub dalszą, w przestrzeni i w czasie, niekiedy nawet bardzo oddaloną?

Niejasności gościły w głowie Mohla.

Ale, co było niejasne, a przynajmniej co było niejasne w kwestiach, które były teraz dla niego najważniejsze? Czy nie coraz więcej było w nich niejasności?

Od wyjścia z wieży do wejścia do akademika co się wydarzyło? Czy spotkał kogoś? Czy spotkały go jakieś większe trudności? Od wyjścia do wejścia. I tak nie widzi się wszystkiego.

Niewiele wydarzyło się od wyjścia z wieży do wejścia do akademika przy ulicy Mickiewicza, to znaczy niewiele wydarzyło się na zewnątrz, jeszcze to zobaczymy, ale przecież zdajemy sobie sprawę z tego, że nie wszystko może być w tej historii, w tej opowieści, tak jak i w każdej innej, opowiedziane krok po kroku, do końca.

Ilość tego, co dzieje się, co się wydarza i ilość tego, co zostaje umieszczone w danej historii, w danej opowieści, to jest duża różnica! Mówi się wiele, ale nie mówi się wszystkiego, bo nie wszystko da się opowiedzieć, do końca.

Ograniczone były możliwości Mohla. Tak był ułożony i tak ukształtowany, widocznie ułożony tak i ukształtowany po coś. To było ze sobą połączone.

Nie był tak słaby i chwiejny, jak by się to mogło wydawać. Gdy był chłopcem, mówili na niego lalusz, bo ustępował napastnikom, unikał bójek i wycofywał się, schodził z drogi, chociaż przecież potrafił być uparty i potrafił stawić czoła niejednemu, w trudnej, czy niebezpiecznej sytuacji, o tak, Mohl potrafił być twardy.

Potrafił, na przykład, wygrać, wydawało się, przegrany, mecz gdy po gładko przegranym secie i po kolejnych pięciu przegranych gemach przełamywał się i wygrywał, po ciężkiej walce, kolejne gemy, sety i cały mecz, dla siebie albo dla drużyny. Potrafił, tak było na „Darze”, pracować w sztormie na rejach,

a to nie były przelewki. Potrafił, tak było w wojsku, wydostać się z groźnych i fatalnych dla niego tarapatów, z których, jak się wydawało, nie było wyjścia.

Nie tyle ciało było w nim mocne, chociaż przecież dobrze był wytrenowany, co, jak na jego możliwości, mocny był w nim duch. Ale o mocy ducha, w przypadku Mohla, ciągle jeszcze mało można powiedzieć. W każdym razie, tak jak inni, doświadczał zwykłych i niezwykłych, a nawet cudownych wydarzeń, które przeznaczone były dla niego i nie tylko dla niego i które kształtowały go i hartowały, na dobre i na złe.

Na przykład, jak, w całym przekroju, wyglądały stosunki rodzinne Mohla? Niejasność tych stosunków miała na Mohla zły wpływ, który jednak równoważyło to, co było w nich światłem i jasnością, tak, światłem i jasnością, na pewno. Jedno uzupełniało i komentowało drugie, to znaczy jasność uzupełniała i komentowała niejedną niejasność, a niejedna niejasność uzupełniała i komentowała to, co było jasne lub co wydawało się nim być.

Czy można było powiedzieć o Mohlu, że był w swoim postępowaniu niejasny? W pewnym sensie tak. W ciągłym napięciu pomiędzy jednym a drugim, w dialogu między nimi i w jakimś stopniu w nieustannej między nimi wojnie, w ciągłym napięciu, dialogu i wojnie – czy mogło to wyjść na dobre?

Ale ten stan rzeczy, nie raz i nie raz na dłuższą metę, dodawał mu sił i uzmacniał go, wewnątrz, choć na zewnątrz tak to wyglądało, że był na niebezpiecznej drodze i że już był wydany na pastwę, że to była jego droga.

Wstał, pokręcił się po pokoju i zaczął szykować się do wyjścia. Do płóciennego marynarskiego worka włożył trzy koszule, piżamę, bieliznę, siedem par skarpetek, przybory toaletowe, dwa ręczniki, dwie książki, notes, wieczne pióro Pelikan i tej samej marki czarny atrament, dwa żółto-czarne ołówki Staedtler, tej samej marki gumkę i temperówkę. Włożył granatową marynarską kurtkę, zawiązał worek na supeł i na kokardę, zarzucił go na prawe ramię, otworzył drzwi i wyszedł na podest. Drzwi zamknął na klucz, po trzech stopniach zszedł do pokoju, wyszedł na korytarz i po pięciu stopniach – na dół, na podest i stamtąd dalej, po dziewięciu stromych stopniach na pierwsze piętro i dalej, po trzech stopniach na podest i po dziesięciu w dół, na podest i dalej, po dziewięciu stromych stopniach na parter, przez wahadłowe drzwi i po trzech stopniach w dół i przez wysoko sklepioną sień do drzwi wejściowych, i na zewnątrz. Zamknął drzwi na klucz i po trzech stopniach zszedł na Podmurną.

Mógł iść prosto, w dół, w stronę Bramy Mostowej i mógł skrócić w prawo i ruszyć wzdłuż muru, w stronę Monstrancji, i po chwili ruszył właśnie w tę stronę, po kocich łbach, w stronę Monstrancji. Wzdłuż muru, po lewej mijając obite tynki domów, do otwartej na oścież bramy wejściowej, w prześwicie której na tle niebieskiego nieba rysowały się wieże Świętego Jakuba, szczyty szpitala Piotra i Pawła i willi generała i fragment gdaniska, przystanął i po chwili wahania skrócił w lewo, w Ciasną, i pod trzema łukami i po kamiennych płytach, wśród chropowatych murów, obitych i gładkich tynków, zamurowanych i zakratowanych okien i na głucho zamkniętych drzwi szedł w stronę Mostowej, widząc przed sobą, po prawej stronie, na tle żurawia i zwartej ściany czerwonych spichlerzy, południowy bok i część szczytu wieży katedry Świętych Janów. Stał na wylocie i po chwili wahania, jakby nie był pewny, ruszył w lewo, po kamiennych płytach, i przechodząc obok trzech osmolonych czerwonych spichlerzy, szedł w stronę Bramy Mostowej, w prześwicie której widać było rzekę i drugi brzeg.

Doszedł do wylotu Podmurnej, przystanął i po chwili ruszył w lewo, po kamiennych płytach, do góry, w stronę Dworu Mieszczkańskiego i wieży, widząc po prawej pierścienie murów, rzekę i most kolejowy i nad nimi obłoki. Doszedł do drzwi wejściowych z ostrym łukiem, czterema czarnymi okuciami, klamką i kołatką i nie zatrzymując się przerzucił worek z prawego ramienia na lewe i skrócił w lewo, obok kamieni po prawej i znowu szedł między chropowatym murem i odłupanymi tynkami domów z seriami prostokątnych okien i łuków, w stronę Monstrancji, po kocich łbach, pod jasnym niebem, mijając, po prawej stronie, otwartą na oścież bramę z widokiem na wieże Świętego Jakuba, szczyty szpitala Piotra i Pawła i willi generała i fragment gdaniska i, po lewej, wejście w Ciasną, z wylotem na Mostową.

Mógł skrócić w prawo, wejść w Bramę Zachodnią i idąc po kocich łbach przejść nad wałem obronnym z resztkami dawnych zabudowań, po trzech stopniach wejść na podest i stamtąd po dziewiętnastu zejść w dół, do fosy i dalej w lewo skos, do schodów i po trzech stopniach do góry i znowu po trzech na podest i po dziewięciu do góry, pod załom muru północnego i prosto, obok willi generała po prawej i szpitala Piotra i Pawła po lewej, wejść w bramę w kamiennym murze, przejść obok młynów i kuźni po lewej i iść prosto wzdłuż strugi, pod arkadą gdaniska, pomiędzy pierścieniem murów, w stronę Bramy Menniczej i kaponiery i w prawo, przechodząc pomiędzy

szańcem międzymurza i południowym murem zamkowym od strony rzeki i prosto, obok wejścia w murze zamykającym Fosę Zamkową z trzema wąskimi, zakończonymi ostrymi łukami oknami i w prawo skos, do prostopadłego załomu, w prawo i po dziewiętnastu stopniach na podest, do góry, pod wieżę, do wejścia.

Ale Mohl nie skręcił ani w lewo, ani w prawo, lecz poszedł dalej prosto, po płytach obok chropowatego muru, który nie raz dotykał dłonią z rozczapierzonymi palcami, przeszedł obok Monstrancji, widząc dwa, jedno pod drugim, puste okna i spiczasty dach ze sterczyną w kształcie słońca i, z drugiej strony, czarne drzwi, a nad nimi, jedno pod drugim dwa puste okna i dalej, pod murem, prosto, do Bramy Kotlarskiej, na wylot Szerokiej, widząc po lewej, w dali, szczyt Łuku Cezara i południowy korpus z wieżą Świętego Ducha, a po prawej kolorowe fasady domów Nowego Miasta.

Mógł skręcić w Szeroką, w lewo albo w prawo, powiedzmy w lewo, i dojść, mijając po lewej stronie wejście na Mostową, do wylotu, po lewej, na Łazienną i, po prawej, na Szczytną i skręcić, powiedzmy, w Łazienną i mając przed sobą widok na drugi brzeg ruszyć prosto, w stronę katedry i krążyć tam, chodząc wokół wyspy Werder lub wokół murów katedry i po kolejnym okrążeniu, z ulicy świętego Jana, ruszyć dalej przecinając, w lewo skos, Łazienną, obok pałacu Eskenów wejść w Ciasną i pod ścianą spichlerzy z żurawiem, na Mostową i dalej, w prawo, w stronę murów, do Bramy Mostowej, tam skręcić w lewo, w Podmurną i po kamiennych płytach wzdłuż muru albo środkiem po kocich łbach dojść do góry, do wejścia.

I mógł, z Szerokiej, skręcić w prawo, w Szczytną i idąc środkiem, wśród wąskich, przylegających do siebie domów z kolorowymi fasadami z dziesiątkami dużych i małych okien, dojść do Szewskiej, skręcić w prawo i dochodząc do skrzyżowania z Podmurną i z Mostem Paulińskim, wrócić na szlak, który wytyczył, w linii prostej na północ, a potem na zachód, w drodze do celu.

Albo z Szerokiej, na skrzyżowaniu z Podmurną, za Bramą Kotlarską, Mohl mógł skręcić w prawo i, idąc prosto, dojść do skrzyżowania ze Strumykową, która kierowała się na północ i z Przedzamczem, biegnącym na południe i skręcić, na przykład, w prawo, w Przedzamcze i ruszyć w stronę ruin, po kamiennych płytach, wzdłuż szarych ścian domów po lewej i muru z ciemnoczerwonych cegieł po prawej, dojść do szpitala Piotra i Pawła i tam skręcić w lewo i po prawej mijając willę generała, wejść w bramę w kamiennym

murze, nad strugę i w prawo, widząc po lewej młyny zamkowe, relikty kuźni i w prześwicie, nad Bramą Młyńską, wieże Świętego Jakuba i Świętej Katarzyny, ruszyć w stronę gdaniska, wzdłuż wschodniego muru nad stawem komtura i strugi po lewej i wzdłuż szańca międzymurza z przyporami i ze strzelnicami po prawej, pod gankiem gdaniska wspartym na arkadach i łączącym się z zamkiem głównym prosto, dochodząc do, po lewej stronie, Bramy Menniczej z wylotem na Wolę Zamkową i do kaponiery i dalej, w prawo, pomiędzy murem południowym a szańcem międzymurza, widząc po lewej stronie rzekę, przystań i drugi brzeg, a przed sobą mury obronne i most drogowy i prosto, obok, po prawej stronie, wejścia w murze zamykającym Fosę Zamkową z trzema wąskimi, zakończonymi ostrymi łukami oknami, przylegającym do Dworu Mieszczkańskiego, dojść do prostopadłego muru, skrócić w prawo i po dziewiętnastu stopniach do góry, na podest, i na Podmurną, w prawo, pod wieżę, trzy kroki od wejścia.

Równie dobrze, na skrzyżowaniu Szerokiej ze Strumykową i Przedzamczem, Mohl mógł skrócić w lewo, w Strumykową i pójść prosto lub dojść do Małych Garbar, tam skrócić w lewo i iść prosto, w stronę arsenału, dojść do Zaułka Prosowego, skrócić w lewo, wejść w Most Pauliński i dalej, prosto, do skrzyżowania z Podmurną i Szewską.

Ale Mohl, po wyjściu z Bramy Kotlarskiej, nie skrócił ani w prawo, ani w lewo, lecz poszedł prosto, w prawo skos przeciął Szeroką i wszedł w Podmurną, pomiędzy wysokie szare domy z lewej i mur naszpikowany basztami, po prawej i po kamiennej kostce posuwał się do przodu, tak jak zamierzył, na północ.

Gdy z Podmurnej wchodził w skrzyżowanie z Szewską, z lewej, i z Mostem Paulińskim, z prawej, kątem oka dostrzegł, że wjeżdża na niego, z lewej strony, rozpędzony rower z rowerzystą w ciemnych okularach i w białej czapce z postrzępionym daszkiem. W jednej chwili Mohl obrócił się w prawo i rower, wraz z rowerzystą, odbijając się od marynarskiego worka, który Mohl miał przewieszony przez lewe ramię, wylądował, tak jak i Mohl, na bruku, Mohl po prawej, a rowerzysta i rower po lewej.

Leżąc na bruku, usłyszał zgrzyt i trzask i zaraz jakieś mamrotanie, pewnie przekleństwa kierowane w jego stronę. Odwrócił głowę i zobaczył, jak rowerzysta gramoli się spod roweru, podnosi się, wkłada okulary i czapkę, stawia rower, próbuje wyprostować kierownicę i błotnik i po chwili przesuwa się

z nim na róg Szewskiej, z lewej strony od Mohla, raz po raz patrząc na niego z ukosa i mamrocząc coś pod nosem, nie wiadomo do kogo.

Mohl podniósł się jednym susem i stanął wyprostowany, z podniesioną głową. Był cały, nic mu się nie stało, chociaż uderzenie było mocne, w prawy bok. Mógł ruszać dalej, mógł iść, w swoją stronę. Strzepnął piasek i kurz z worka, ze spodni i z kurtki. Tamten, pochylony, prostował kierownicę i błotnik, sprawdzał łańcuch i raz po raz spode łba spoglądał na Mohla, mamrocząc coś pod nosem. Nie było sensu patrzeć w jego stronę, a już tym bardziej podchodzić do niego i wdawać się z nim w rozmowę. Mohl zarzucił worek na lewe ramię i nie oglądając się ruszył przed siebie, prosto, w Podmurną i szedł pomiędzy murem po prawej i ścianami domów po lewej, do przodu.

Za basztą, z prawej strony, lśniły wieże Świętego Szczepana i w dali Świętej Katarzyny. Doszedł do narożnika, do okrągłej Baszty Koci Łeb z blankami na szczycie, skręcił w lewo i obok hotelu Polonia wyszedł na Chełmińska, przez którą przechodząc, widział po lewej stronie wieżę katedry, a po prawej gmach urzędu marszałkowskiego i dalej, w Fosę Staromiejską, prosto, po prawej mijając Teatr Horzycy i pod balkonami na róg Fosy i Franciszkańskiej, widząc po lewej korpus i wieżę kościoła Najświętszej Marii Panny, zabudowania klasztoru i krużganki, okrągłe mury gazowni i planetarium. I dalej, w prawo skos, pod Collegium Maius i po kamiennych płytach, pod murem, obok, z lewej strony, więziennego okrągłaka z białego klinkieru i sądu, a dalej, gmachu Collegium Minus w kształcie harmonijki i wystrzelającej w górę fontanny i w prawo, na Czerwoną Drogę i po pasach na drugą stronę, obok, po prawej, pomnika papieża i prosto, przez skwer, do świateł i po pasach na drugą stronę, w Mickiewicza i prosto, przez skwer, na róg, na drugą stronę i po sześciu stopniach do drzwi wejściowych, do środka.

Dom studencki numer 1 był masywny, miał wysoki parter, trzy piętra z dużymi oknami i uskok w środku i zabudowanym przejściem łączył się z domem studenckim numer 6, do którego główne wejście było od ulicy Słowackiego.

Mohl przeszedł obok portierni i prosto, mijając stołówkę po lewej, przeszedł do holu, minął, po lewej stronie portiernię, skręcił w prawo, wszedł na pierwsze piętro i tam kierując się w prawo skos i prosto, doszedł, po prawej stronie, do drzwi wejściowych, z napisem 119, otworzył je i wszedł do środka.

Znalazł się w ciemnym przedsionku, w którym znajdowały się wejścia do pokoi, jednego na wprost i drugiego po prawej. Z lewej strony, nad umywalką,

wisiało lustro i w rogu stał kosz na śmieci. Mohl zapukał do drzwi po prawej, raz, drugi i trzeci, lecz nikt się nie odezwał. Jest tam ktoś? – zapytał. Nie było odpowiedzi. Odczekał chwilę i ponowił pytanie, które i tym razem zostało bez odpowiedzi. Nacisnął klamkę, ale drzwi nie otworzyły się.

Wyszedł na korytarz i ruszył w lewo, dochodząc do schodów. Korytarze rozchodziły się w trzech kierunkach, z licznymi wejściami do przedsionków, z których wchodziło się do poszczególnych pokoi, nisz z numerami przypisanymi do każdego.

Na czterech piętrach sto sześćdziesiąt dwa pokoje i trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć miejsc, jedna dusza i ciało na dwa, trzy metry kwadratowe. Ruch trwał tu przez całą dobę i nigdy nie zamierał, bo jak zanikał na zewnątrz, na schodach i na korytarzach, to trwał w środku, w pokojach i w innych miejscach. Raz po raz przesilał się i zanikał prawie zupełnie, ale na krótko.

W pokojach panował półmrok. Światło sączyło się słabe, jak przez gazetę, tworząc szarogłone kręgi. Ale i tak w tej ilości, w tym ścisku był jednak luz i możliwość wyboru. Nie tak jak w koszarach, w których Mohl spędził wiele dni i nocy. A jak życie tu miało się do życia w studenckim domu marynarza lub na fregacie, czy na motorowych statkach? To też nie było to. To jednak było coś innego, chociaż w tym samym rodzaju dla kogoś takiego jak Mohl, który był miłośnikiem spokoju i ciszy.

Siedzieli tu razem pod wspólnym dachem, czytali coś, rozmawiali, słuchali albo nie słuchali, oglądali, patrzyli i nie patrzyli, mijali się i przechodzili albo zatrzymywali się i stali razem, chodzili albo tkwili w miejscu, wychodzili na zewnątrz, wracali i znowu zajmowali się czymś albo nie robili nic. W tej samej niezmienniej sytuacji czekali i trwonili czas, na różne sposoby, tak to widział Mohl.

Pięć akademików rozlokowanych było w prostokącie wyznaczonym przez ulice Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego i Chopina. Ponad dwa tysiące miejsc w ponad tysiącu pokojach.

Korytarze i pomieszczenia były rozmieszczone w miarę symetrycznie, po obu stronach korytarzy, w każdym w podobny sposób, na poszczególnych piętrach, mniej więcej w równej odległości i o równej długości, szerokości i wysokości. Ściany, sufity, podłogi, schody i okna, drzwi i ciemne przedsion-

ki. Wejścia do nich i wyjścia, tam i z powrotem, wchodzenia i wychodzenia i chodzenia po swoich śladach i po swoich liniach, tam i z powrotem.

Ściany były szare, pomalowane do połowy popielatą farbą olejną.

Pary były ze sobą i grupy osób. Rzadko kiedy ktoś był sam, osobno.

Obowiązywał regulamin, nakazy i zakazy, pod groźbą kary do przestrzegania. Reguły jednak nie były surowe.

Dochodzili bywalcy i goście poszczególnych osób i grup, kręcili się waleci i różni pokojokrażcy.

Tak trwali razem i osobno i nie dawali za wygraną.

W środku było mało przedmiotów i znajdowały się tylko niezbędne sprzęty. Jedzenie w plastikowych workach wywieszane na zewnątrz albo schowane w szafach. W niektórych pokojach stały lodówki.

Piwnice, strychy, komórki i schowki dla większości były niedostępne. Zamknięte na cztery spusty.

I to teraz było miejsce dla Mohla, teraz tu się poruszał. Minął schody po prawej stronie i idąc prosto wszedł w korytarz, doszedł do trzecich drzwi wejściowych, po lewej, otworzył je i wszedł do przedsionka, z którego na lewo było wejście do sali telewizyjnej. Drzwi były otwarte i wszedł do środka. Po lewej, na podwyższeniu, stał telewizor, a przed nim w nierównych rzędach krzesła. Pod ścianą, na wprost od wejścia, stały stoliki z krzesłami, a w rogu, po prawej stronie, pod oknem, niski stół z fotelami z jednej i z drugiej strony. Mohl usiadł w fotelu, bokiem do okna i bokiem do drzwi wejściowych.

Był sam, ale czuł, że ktoś na niego patrzy, że jest na widoku, cały czas i że teraz musi się do tego przyzwyczać.

Bez przerwy było się tam widzianym, było się na widoku, ktoś patrzył lub w każdej chwili mógł patrzeć, tak jak w każdej chwili mógł odwrócić wzrok i patrzeć na kogoś lub na coś innego, tak samo zacząć, jak i zakończyć.

Kto patrzył i kto obserwował, nie było wiadomo. Czy byli to jacyś przypadkowi obserwatorzy? Byli wyznaczeni z mieszkańców czy przychodzili z zewnątrz? To nie było jasne. Na dole zawsze ktoś był w portierni, rano kręciły się sprzątaczkę, a w pokojach na parterze urzędowała kierowniczkę.

Wyjść i wejść można było w każdej chwili, ale dotyczyło to tylko stałych mieszkańców. Wydawało się, że portierzy i portierki znali ich z widzenia. Znali także tych, którzy byli bywalcami lub waletowali. Udawali, że ich nie widzą. Reszta była sprawdzana przy wejściu. Trzeba było zostawić legitymację lub dowód, do odebrania przy wyjściu.

Wchodziło się pojedynczo, parami albo w grupach i wtedy łatwiej było przemycić kogoś do środka.

Najczęściej chodziło się do ludzi ze swojego wydziału, przeważnie z jakąś sprawą związaną ze studiami, chociaż były także i wizyty towarzyskie, niekiedy nawet częste albo wizyty odbywane w innych celach. Do ludzi z innych wydziałów chodziło się rzadko. Chyba, że były to spotkania miłosne, miłosne lub erotyczne.

Było wiele różnych napięć. Koedukacja. I to zachęcało, chociaż niektórych zniechęcało do aktywności i do obcowania.

W każdym razie można tu było znaleźć schronienie, zahaczyć się na krótko, a nawet na dłuższy czas. Kilka dni, tydzień, dwa lub trzy tygodnie, miesiąc, dwa miesiące, a nawet kwartał, dwa lub trzy, zdarzało się, że rok, a nawet kilka lat, różnie bywało. Było to możliwe, trudne i uciążliwe, ale możliwe, tak to było zorganizowane, w środku.

Wynikały z tego różnego rodzaju rozczarowania, ale i spełnienia, początki, końce, porozumienia i nierozpoznanie, przyjaźnie, miłości, zerwania i rozejścia się, nienawiści i obojętności, niekiedy powroty, ciągi dalsze i różnego rodzaju oczekiwania, na długą i na krótką metę, z dobrymi i z marnymi widokami, na przyszłość.

Korytarze, osobne pomieszczenia, drzwi otwarte i drzwi zamknięte i drzwi zamknięte na klucz. Przyjścia i przechodzenia z jednego do drugiego, czekanie i czuwanie w środku lub na zewnątrz, w oddaleniu lub blisko.

Byli tacy, którzy nieustannie krążyli po pokojach, po korytarzach i po piętrach. Stale byli w ruchu, ciągle się ich spotykało. Byli i tacy, którzy krążyli między różnymi pokojami, ale raz na jakiś czas zatrzymywali się i pozostali w jednym miejscu, potem znowu odchodzili i krążyli, jakby czegoś szukali. Byli też tacy, co prawie nie ruszali się ze swoich miejsc, tacy, których jakby w ogóle nie było, jakby byli z tego wyłączeni.

Tysiąc serc skołatanych, spokojnych, zimnych i pragnących.

W pokojach jak w skrzynkach. Dobre i złe dusze, piękne i brzydkie ciała. Włosy, skóry i naskórki. Marzenia, pragnienia i pożądania, obok siebie. Przez ściany, po jednej i po drugiej stronie, pod sobą i nad sobą, warstwami.

O czym myślał? Czego chciał? Do czego zmierzają?

Niejednen chciałby wiedzieć. Ale jest za duży ruch i za duży bezruch, żeby to wiedzieć. Niemożliwe do ustalenia.

Więc wyławia się pojedynczych, tych, którzy się jakoś wyróżniają, którzy mają jakieś znaczenie w grupie i wpływ na innych, nawiązują kontakty i rozszerzają je. Oni są wierni. Ich płomień nie gaśnie i zwielokrotniony, jeżeli jest taka możliwość, pochłania, choćby na krótko, tę wszechobecną tu szarość, i ciemność.

I Mohl to wybrał. Przyszedł tu, tak jak postanowił i jego sprawy teraz tutaj musiały się toczyć. Impulsy, bodźce i inspiracje szły z zewnątrz, ale i tak wszystko, co najważniejsze działo się wewnątrz, w głowie i w sercu Mohla, w środku.

Znacznie prościej jest zranić kogoś, niż zostać zranionym, myślał Mohl, znacznie prościej jest zostać zranionym, niż zranić kogoś innego, dodawał i jedno nie wydawało mu się prawdziwsze od drugiego.

Jeszcze jedna na opak wywrócona formułka, w głowie Mohla. Czy nie dobrze opisuje jego sytuację? Ale jaka jest teraz jego sytuacja i kto ma na nią wpływ? Nie chce za wiele, Mohl, tam, gdzie nic nie możesz lub gdzie możesz mało, tyle co nic, nie chce za wiele, a najlepiej nie chce nic.

Czy izolacja może stać się w końcu diabelskim sidłem? Matka. Ale czy on był dobrym synem? On, twór jej miłości, znający przecież miłość prawdziwą, z niej ulepiony i natchniony nią, od początku.

Czy jej miłość nie była miłością prawdziwą? Tyle jest miłości, ile jest ludzi, i każda jest inna – myślał. Ale nie był pewny, czy tak jest.

Czy był dobrym synem? Był cierpliwy i łagodny, ale przecież nie raz nie był ani cierpliwy, ani łagodny. Czy dobrze służył ludziom, czy może za mało interesował się nimi? Czy tylko skupiony był na sobie i na swoich sprawach? Pokorny był, czy pyszny? Uczynny, czy nieuczynny? Wybaczal czy nie wybaczal innym?

Jaki był, skoro nic w nim nie było ugruntowane i ustalone, ugruntowane i ustalone do końca?

Nic lub prawie nic.

Czy nastawiony był na branie? I tak i nie. A na dawanie? Tak i nie. I tak można by o Mohlu mówić, w nieskończoność.

Nie raz potępiał i sądził innych, pamiętał, co złego zrobili, ale sam nie lubił być sądzony i potępiany i chciał, żeby jemu to, co zrobił złego, jak najszybciej wybaczone i zapomniano. To są zwykle ludzkie sprawy, mówił, ale przecież nie mierzył innych taką samą miarą, jaką mierzył siebie.

A jak odnosił się do wrogów? Czy walczył z nimi, czy, tak jak dawniej, unikał ich i schodził im z drogi? Szkodził im, czy był wobec nich uważny i pobłażliwy, bez nienawiści w sercu? Nie, nie walczył z nimi, jeżeli nie był do tego zmuszony, w obronie swojej lub w obronie innych. Ale nie czuł do nikogo nienawiści, w każdym razie nikomu nie życzył źle.

To wszystko, co było w nim najlepsze, było z miłości. Żył w jej blasku i chyba można było powiedzieć, że żył z jej łaski. Żył w jej promieniach i żył dzięki niej, ale czy sam był do niej zdolny?

Jest matka i jej piękna bezradna miłość. Ale, czy miłość może być bezradna? Czeka tam na niego, czuwa i nasłuchuje z głową odwróconą w stronę drzwi. Czy nie jest to beznadziejne, pozbawione nadziei czekanie?

Nie można było odmówić jej siły i uporu. Była wytrwała w swojej odmowie, w swoim trwaniu. Czy wiązało się to z melancholią, a może z depresją? Może. I Mohlowi wydawało się nie do rozplątania. Ale nie traćmy nadziei.

Spice wieź lśniły w blaskach słońca.

To, że Mohl był w czepku urodzony nie wykluczało jego męczeństwa i można było powiedzieć, że Mohl, na swój sposób, był męczennikiem. Ale to, co go trapiło i siłą piekła ściągało w dół, miało jednak mocną przeciwwagę, bo otoczony był miłością.

Zgiełk i chaos i to nie była domena Mohla. Czy miał stać się taki jak oni? Przecież nie był taki jak oni i ani mu w głowie było, żeby połączyć się z nimi, w gromadę. A jednak do nich przyszedł.

Ktoś go osłabiał, drażnił, rozbrajał i wymazywał, w środku, i chociaż mógł to być początek czegoś dobrego, to jednak mógł to być także początek jego końca, tak to można było widzieć, z zewnątrz.

Jaka była w tym siła i jaki cel? To teraz trudno było ustalić.

Czuł, że ktoś mu towarzyszy, jest z nim bliżej lub dalej, ale zawsze obok, ktoś drugi, gdy był sam i ktoś trzeci, gdy był z kimś. I to nie była presja, ale obecność.

Krzysztof Myszkowski



Walt Whitman

Pomyśleć o czasie*

1

Pomyśleć o czasie – o tym, co minęło,
Pomyśleć o dniu dzisiejszym i wiekach, co przyjdą.

Sądzisz, że ty sam przestaniesz istnieć?
Boisz się robaków?
Lękasz się, że przyszłość okaże się nicością?

Czy dzień dzisiejszy to nicość? czy przeszłość bez początku to nicość?
Jeśli przyszłość to nicość, one też pewnie są nicością?

Pomyśleć, że słońce wschodziło na wschodzie – że mężczyźni i kobiety
byli gibcy, realni, żywi – że wszystko żyło,
Pomyśleć, że ty i ja nie widzieliśmy, nie czuliśmy, nie myśleliśmy, ani nie
graliśmy swojej roli,
Pomyśleć, że jesteśmy teraz tutaj i gramy swoją rolę.

* Część 6 tego poematu ukazała się w *Mowie związanej* Czesława Miłosza, Warszawa 1986 – antologii jego przekładów.

Ten, co był Prezydentem – już pochowany, ten, co jest Prezydentem – będzie pochowany.

4

Wspomnienie typowego losu,
Próbka biografii prostego człowieka,
Różnie się życie układa.

Bryzgi zimnych fal na przystani promów, lodowa kasza na rzece, na wpół
zamarznięte błoto na ulicach,
szare, przygnębione niebo, ostatni krótki dzień roku,
Karawan i dyliżansy, pogrzeb starego woźnicy z Broadwayu, w kondukcje
przeważnie woźnice.

Konie idą stępa na cmentarz, podzwonne – jak być powinno,
Mijają bramę, stają przy świeżo wykopanej mogile, żyjący wysiadają,
otwierają karawan,
Wyciągają trumnę, spuszcza ją do grobu, bat łąduje na trumnie, szybko
zasypują dół ziemią,
Wyrównują kopczyk szpadlami – milczenie,
minuta – nikt się nie rusza, nie mówi – skończone,
Miał przyzwoity pochówek – cóż więcej można?

To był dobry kompan, szczery, zapalczywy, niebrzydki,
Gotów skoczyć za przyjaciela w ogień, uwielbiał kobiety i hazard, lubił
zjeść i wypić,
Kiedyś wiedział, co znaczy być przy forsie, pod koniec upadł na duchu,
chorował, trzeba było zrobić na niego składkę,
Umarł w czterdziestym pierwszym roku życia – a teraz go chowano.

Gest kciuka, palec w górze, fartuch, peleryna, rękawice, rzemień, uniform
na niepogodę, odpowiedni bat,
Szef, obserwator, nowicjusz, stajenny, ktoś się objaja, ty się objiasz, naprzód,
człowiek przed i człowiek za,
Rad z minionego dnia albo nierad, łagodne konie albo złośliwe, wyjeżdża
pierwszy albo ostatni, powrót nocą,

Pomyśleć, że wszystko to jest tak ważne dla innych woźniców, a jego to już
nie obchodzi.

5

Rynki, rządy, zarobki robotników, pomyśleć, jakie mają dla nas znaczenie
– w dzień i w nocy.

Pomyśleć, że dla innych robotników będą miały równie wielkie znaczenie,
ale to niewiele będzie nas obchodziło albo wcale

Nieokrzesañcy i ludzie wytworni, to, co nazywasz grzechem i to, co nazywasz
dobrocią, pomyśleć, jak ogromna między nimi różnica,
Pomyśleć, że różnice będą dotyczyć też innych, ale nas to nie będzie obchodzić.

Pomyśleć, ile jest rzeczy przyjemnych,
Czy dobrze się bawisz w mieście? zająłeś się interesami? planujesz
kandydować w wyborach? chcesz być z rodziną i żoną?
Może z siostrami i matką? oddać się pracom domowym? macierzyńskim
obowiązkom przy dzieciach?
Wszystko to płynie z innymi, ty i ja też płyniemy,
Lecz we właściwym czasie będzie nas mniej obchodziło.

Twoja farma, dochody, plony – pomyśleć, jak cię to wszystko pochłania,
Pomyśleć, że wciąż będą farmy, dochody, plony, ale co ty będziesz miał
z tego?

6

To, co będzie, będzie w porządku, bo to, co jest, jest w porządku,
Zajmować się czymś jest w porządku, i nie zajmować – w porządku.

Rodzinne szczęście, codzienna krzątanina czy interesy, stawianie domów
to nie urojenia, ma to swoją wagę, formę, miejsce,
Farmy, dochody, plony, rynki, zarobki, rządy – nic w tym z urojeń,
Różnica między dobrocią a grzechem to nie złudzenie,
Ziemia to nie echo, człowiek i jego życie, i wszystkie sprawy są dobrze
przemysłane.

I nie miotają tobą wiatry, zbierasz się w sobie sam – bezpiecznie i pewnie,
Ty, ty, ty sam – już zawsze!

7

Nie po to zrodziłeś się z ojca i matki, by się rozwiać, lecz po to, aby się
zaznaczyć,

Nie o to chodzi, żebyś był nieokreślony, ale określony,
Coś bezkształtnego długo szykowało się, by znaleźć formę w tobie,
Odtąd – cokolwiek się wydarzy – jesteś już bezpieczny.

Nici splatają się, wątek krzyżuje się z osnową, wzór wyraźniej.

Wszystkie przygotowania miały swoje racje,
Orkiestra nastroiła instrumenty, pałeczka dyrygencka dała znak.

Gość, co tak zwlekał z przyjściem, jest już w domu,
To jeden z tych urodziwych szczęśliwców, których sam widok i towarzystwo
to już dużo.

Prawa przeszłości nie można uchylić,
Prawa terażniejszości i przyszłości nie można uchylić,
Prawa żyjących nie można uchylić – jest wieczne,
Prawa rozwoju i zmiany nie można uchylić,
Prawa bohaterów i dobroczyńców nie można uchylić,
Prawa pijaków, donosicieli, skąpców ani na jotę nie można uchylić.

8

Niespieszne, czarne orszaki nieustannie przemierzają ziemię,
Niosą człowieka z Północy i człowieka z Południa, idą Wschodnim Wybrzeżem,
idą też Zachodnim,
I środkiem kraju idą, gdzie płynie Mississippi, przemierzają świat.

Wielcy mistrzowie przemierzający wszechświat są w porządku, podobnie
bohaterowie i dobroczyńcy,
Znani przywódcy i wynalazcy, i bogaci posiadacze, i pobożni, i wybitni
– też może są w porządku,

Ale to jeszcze nie wszyscy, jest ich całe mrowie.
Niekończące się hordy prostaków i nikczemników – one też się liczą,
Barbarzyńcy z Azji i Afryki – też się liczą,
Maszerujące pokolenia ludzi płytkich – także one się liczą.

O tym i o wszystkich sprawach
Śniłem, i o tym, że nie zmienimy się tak bardzo, ani obowiązujące nas prawo
Śniłem, że bohaterowie i dobroczyńcy będą podlegali obecnemu i przeszłemu
prawu,
I że mordercy, pijacy, łgarze będą podlegali obecnemu i przeszłemu prawu,
Bo śniłem, że prawo, któremu teraz podlegają, wystarcza.

I śniłem, że istotą i celem znanego, przemijającego życia
Jest ukształtowanie i ustanowienie tożsamości dla życia nieznanego i trwałego.

Gdyby jednak wszystko miało się obrócić się w proch i gnój,
Gdyby dzieła miały dokończyć robaki i szczury, wtedy – Biada nam!
– bo pachnie tu zdradą.
I może to znaczyć, że śmierć istnieje.

Podejrzewasz, że śmierć istnieje? gdyby istniała, umarłbym w tej chwili,
Sądziś, że mógłbym spokojnie i rad zmierzać ku zagładzie?

Oto idę spokojnie i rad,
Dokąd idę, nie potrafię określić, ale wiem, że tak jest dobrze,
Cały wszechświat świadczy o tym, że tak jest dobrze,
Przeszłość i terażniejszość świadczą o tym, że tak jest dobrze.

Jak piękne i doskonałe są zwierzęta!
Jak doskonała ziemia i najdrobniejsza rzecz na niej!
To, co nazywamy dobrym, jest doskonałe, i to, co nazywamy złym, jest
równie doskonałe,
Rośliny i minerały – wszystkie są doskonałe, i tajemnicze płyny też są
doskonałe;
Niespiesznie i pewnie osiągnęły swój stan obecny, a przecież niespiesznie
i pewnie mijają.

9

Przysięgam: sądzę teraz, że każda rzecz bez wyjątku ma wiecznie żywą duszę!
Mają duszę tkwiące w ziemi drzewa! i morskie wodorosty! i zwierzęta!

Przysięgam: sądzę, że nie istnieje nic poza nieśmiertelnością!
Świadczy o tym cudowny plan i płynące mgławice i spójność!

I wszystkie przygotowania – i tożsamość – i w ogóle wszystkie substancje
i życie!

Walt Whitman
przełożył Andrzej Szuba



Marguerite Duras

BÓL

Odnalazłam ten Dziennik zapisany w dwóch zeszytach, były schowane w pomalowanych na niebiesko szafach w Neauphle-le-Chateau.

W ogóle nie pamiętam, że go napisałam.

Wiem, że to zrobiłam, że to ja go napisałam, rozpoznaję swój charakter pisma i szczegóły, o których opowiadam, mam w pamięci to miejsce, dworzec Orsay, dojazdy, ale nie widzę siebie piszącej ten Dziennik. Kiedy mogło się to dziać, w którym roku, w jakich porach dnia, w którym domu? Niczego już nie wiem.

Oczywiste i pewne jest jedynie to, że wydaje mi się nie do pomyślenia, żebym mogła napisać go w czasie, kiedy czekałam na Roberta L.

Jak mogłam napisać tę rzecz, której jeszcze nie umiem nazwać, a która przeraża mnie za każdym razem, kiedy ją czytam. Jak też mogłam zostawić ten tekst przez tyle lat w tym domu na wsi, gdzie w zimie regularnie zalewają go powodzie.

Po raz pierwszy się nad tym zastanowiłam, gdy pismo „Sorcières” poprosiło mnie o któryś mój tekst z czasów młodości.

Ból to jedna z najważniejszych rzeczy w moim życiu. Nazwa „tekst” nie byłaby odpowiednia. Miałam przed sobą strony wypełnione po brzegi drobnym, regularnym, uporządkowanym pismem. Miałam przed sobą kolosalny

nieporządek myśli i uczuć, którego nie ośmieliłam się dotknąć i wobec którego literatura napawa mnie wstydem.

Kwiecień

Naprzeciwko kominka telefon, stoi koło mnie. Po prawej drzwi do salonu i korytarz. W głębi korytarza drzwi wejściowe. Może wrócić prosto do domu, zadzwoni do drzwi: „Kto tam. To ja”. Może też zadzwonić, kiedy tylko dotrze do punktu tranzytowego: „Wróciłem, jestem w hotelu Lutetia, załatwiam formalności”. Może nie być żadnych sygnałów, które by to zapowiadały. Zadzwoni. Przyjdzie. Takie rzeczy się zdarzają. Niektórzy jednak wracają. On nie jest jakimś szczególnym przypadkiem. Nie ma jakiegoś szczególnego powodu, żeby nie wrócił. Nie ma powodu, żeby wrócił. Możliwe, że wróci. Zadzwoni: „Kto tam. – To ja”. W takich sprawach różne rzeczy się zdarzają. Wreszcie przekroczyli Ren. Granica w Avranches wreszcie przestała istnieć. Wreszcie się wycofali. Wreszcie doszło do tego, że dożyłam końca wojny. Muszę uważać: wcale nie byłoby to takie nadzwyczajne, gdyby wrócił. Byłoby to normalne. Trzeba się bardzo mieć na baczności, żeby nie traktować tego jak jakiegoś nadzwyczajnego wydarzenia. Czegoś nadzwyczajnego się nie oczekuje. Muszę zachowywać się rozsądnie: czekam na Roberta L., który ma wrócić.

Dzwoni telefon: „Halo, halo, macie jakieś wiadomości?”. Muszę sobie powiedzieć, że telefon służy także do tego. Nie wyłączać, odpowiadać. Nie krzyczeć, żeby mnie zostawili w spokoju. „Nie ma żadnej wiadomości. – Nic? Żadnego znaku? – Żadnego. Słyszała Pani, że Belsen zostało wyzwolone? Tak, wczoraj po południu... – Słyszałam”. Cisza. Czy znowu o to zapytam? Tak. Pytam o to: „Co należy o tym sądzić? Zaczynam się niepokoić”. Cisza. „Nie wolno tracić odwagi, trzeba się trzymać, niestety nie jest Pani wyjątkiem, znam matkę czworga dzieci... – Wiem, przepraszam, muszę wyjść, do widzenia”. Odkładam słuchawkę. Siedzę cały czas w tym samym miejscu. Nie trzeba wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, szkoda energii, zachować siły na przetrzymanie tej męki.

Powiedzieli: „Słyszała Pani, że Belsen zostało wyzwolone?”. Nie wiedziałam o tym. Kolejny obóz wyzwolony. Powiedzieli: „Wczoraj po południu”. Nie powiedzieli tego, ale ja wiem, jutro rano mają nadejść listy z nazwiskami. Trzeba wyjść z domu, kupić gazetę, przeczytać listę. Nie. W skroniach czuję coraz głośniejsze uderzenia. Nie, nie przeczytam tej listy. Po pierwsze już od

trzech tygodni wypróbuję system list, jest to źle zrobiony system. Poza tym, im więcej będzie list, im więcej będzie się ich publikować, tym mniej będzie na tych listach nazwisk. Będą drukowane do końca. Jeśli ja będę je czytać, jego nazwiska nigdy tam nie będzie. Nadchodzi moment, żeby wykonać jakiś ruch. Podnieść się, zrobić trzy kroki, podejść do okna. Akademia Medyczna jest, ciągle tu stoi. Przechodnie będą tak ciągle chodzić, nawet wtedy, kiedy dowiem się, że on nigdy nie powróci. Zawiadomienie o śmierci. Ostatnio zaczęło zawiadamiać. Ktoś dzwoni do drzwi: „Kto tam. – Jestem pracownicą społeczną, przychodzę z merostwa”. Uderzenia w skroniach trwają. Powinam jakoś zatrzymać te uderzenia w skroniach. Jego śmierć jest we mnie. Uderza mnie w skronie. Nie ma mowy o pomyłce. Zatrzymać te uderzenia w skroniach – zatrzymać serce – uspokoić je – nigdy nie uspokoi się samo, trzeba mu w tym pomóc. Powstrzymać wylew rozsądku, który ucieka, opuszcza głowę. Zakładam płaszcz, wychodzę. Dozorczynie: „Dzień dobry, pani L.”. Nie wygląda dzisiaj jakoś wyjątkowo. Ulica też nie. Na dworze kwiecień.

Na ulicy śpię. Ręce wciśnięte głęboko w kieszenie, nogi idą do przodu. Unikać kiosków z gazetami. Unikać ośrodków tranzytowych. Alianci posuwają się na wszystkich frontach. Jeszcze kilka dni temu było to ważne. Teraz nie ma żadnego znaczenia. Nie czytam już komunikatów. To kompletnie niepotrzebne, teraz już dojdą do samego końca. Dzień, światło dnia rozlewające się do woli nad tajemnicą nazizmu. Kwiecień, to stanie się w kwietniu. Wojska alianckie zalewają Niemcy. Berlin płonie. Armia Czerwona nadal posuwa się zwycięsko na południu, przekroczyli Drezno. Wojsko posuwa się na wszystkich frontach. Państwo niemieckie zredukowane do samego siebie. Przekroczyli Ren, to było do przewidzenia. Wielki dzień wojny: Remagen. Potem zaczęło się to. W rowie, z głową w ziemi, z podkurczonymi nogami, rozłożonymi ramionami, umiera. Umarł. Jego szkielet wśród szkieletów Buchenwaldu. W całej Europie jest ciepło. Na szosie, koło jego ciała, przechodzą wojska alianckie, maszerujące do przodu. Nie żyje od trzech miesięcy. Tak jest, tak się właśnie stało. Posiadam tę pewność. Przyspieszam kroku. Jego usta są na wpół otwarte. Jest wieczór. Przed śmiercią myślał o mnie. Taki ogromny ból, dusi mnie, nie ma powietrza. Ból potrzebuje miejsca. Na ulicach jest stanowczo za dużo ludzi, chciałabym chodzić po szerokiej równinie, sama. Tuż przed śmiercią na pewno wymówił moje imię. Wzdłuż niemieckich szos wielu leży w pozycji podobnej do pozycji jego ciała. Tysiące, dziesiątki tysięcy, i on. On, który jest zawarty w tysiącu innych, i jednocześnie oderwany od tysiąca innych, żeby być tylko dla mnie

samej, zupełnie sam, osobno. Wiem wszystko to, co można wiedzieć, nie wiedząc nic. Na początku zaczęli ich ewakuować, a potem w ostatniej chwili ich pozabijali. Wojna to jakaś ogólna przesłanka, podobnie jak konieczności, jakie niesie za sobą, śmierć. Umierał, wymawiając moje imię. Jakież inne imię mógłby wymawiać? Ci, którzy żyją z ogólnych przesłanek, nie mają niczego wspólnego ze mną. Nikt nie ma nic wspólnego ze mną. Ulica. W Paryżu jest teraz dużo ludzi, którzy się śmieją, zwłaszcza młodych. Mam już samych wrogów. Jest wieczór, muszę wrócić, żeby czekać przy telefonie. Z drugiej strony też już jest wieczór. W rowie cień zapada coraz dalej, jego usta są teraz w ciemności. Czerwone słońce w Paryżu, powolne. Sześć lat wojny się kończy. To najważniejsza sprawa tego wieku. Nazistowskie Niemcy zostały pokonane. On też w rowie. Wszystko dobiega końca. Nie mogę przestać chodzić. Jestem chuda, sucha jak kamień. Obok rowu barierka mostu des Arts, Sekwana. Właśnie tak, na prawo od rowu. Rozdziela je ciemność. Nic już na świecie do mnie nie należy, poza tym martwym ciałem w rowie. Wieczór jest czerwony. To koniec świata. Nie umieram przy nikim. Prostota tej śmierci. Przeżyłam życie. Jest mi to obojętne, chwila, w której umieram, jest mi obojętne. Umierając, nie łączę się z nim, przestaję na niego czekać. Uprzedzę D.: „Lepiej umrzeć, co Pan ze mną pocznie”. Sprytnie to wymyśliłam, umrę, żyjąc dla niego, a potem, kiedy przyjdzie śmierć, D. odetchnie z ulgą. Takie podłe rachunki prowadzę. Trzeba wracać. D. na mnie czeka. „Jakieś wiadomości? – Nic”. Nikt się już mnie nie pyta, jak się czuję, nikt się już ze mną nie wita. Pytają mnie: „Jakieś wiadomości?”. Mówię: „Nic”. Usiądę zaraz obok telefonu, na kanapie. Milczę. D. się niepokoi. Kiedy na mnie nie patrzy, ma zatroskaną twarz. Już od tygodnia kłamie. Mówię do D.: „Niech mi Pan coś powie”. Nie mówi mi już, że zwariowałam, że nie mam prawa wpędzać wszystkich w chorobę. Teraz mówi już tylko: „Nie ma powodu, żeby on też nie wrócił”. Uśmiecha się, on też jest chudy, kiedy się uśmiecha, wykrzywia mu się cała twarz. Bez obecności D., wydaje mi się, że nie wytrzymałabym. Przychodzi codziennie, czasami dwa razy dziennie. Zostaje ze mną. Zapala światło w salonie, jest tu już od godziny, chyba jest dziewiąta, nie jedliśmy jeszcze kolacji.

D. siedzi daleko ode mnie. Patrę w stały punkt wychodzący poza czarny otwór okna. D. patrzy na mnie. Więc ja też patrę na niego. Uśmiecha się do mnie, ale jego uśmiech nie jest prawdziwy. W zeszłym tygodniu zbliżył się znowu do mnie, brał mnie za rękę, mówił: „Robert wróci, przysięgam”. Teraz wiem, że się zastanawia, czy warto jeszcze podtrzymywać nadzieję, może lepiej już przestać. Czasami mówię: „Przepraszam”. Upływa godzina, mówię:

„Jak to możliwe, żeby ciągle nie było żadnej wiadomości”. Mówi: „W obozach, do których alianci jeszcze nie doszli, przebywa tysiące więźniów, jak mogą o czymkolwiek zawiadomić?”. Trwa to długo, aż do chwili, kiedy proszę D., żeby mi przysiągł, że Robert wróci. Wtedy D. przysięga, że Robert L. wróci z obozu koncentracyjnego.

Idę do kuchni, wstawiam kartofle. Stoję tak. Przyciskam czoło do brzegu stołu, zamykam oczy. D. zachowuje się bezgłośnie, w mieszkaniu panuje cisza, jest tylko szum gazu. Jakby był środek nocy. Oczywiście spada na mnie, nagle, informacja: nie żyje od dwóch tygodni. Od piętnastu nocy, od piętnastu dni, porzucony, sam w jakimś rowie. Stopy w powietrzu. Pada na niego deszcz, pali słońce, pokrywa go pył zwycięskich wojsk. Dłonie ma otwarte. Każda z jego rąk jest więcej warta niż moje życie. Znam je. Tylko ja je znam w taki sposób. Krzyczę. Bardzo powolne kroki w salonie. D. przychodzi. Czuję na ramionach łagodny, stanowczy dotyk dwóch rąk, podnoszą moją głowę znad stołu. Stoję blisko D., mówię: „To straszne. – Wiem – mówi D. – Nie, nie może Pan tego wiedzieć. – Wiem – mówi D., ale proszę się postarać, wszystko można”. Niczego już nie mogę. Obejmujące ramiona przynoszą ulgę. Czasami można by nawet dopuścić do siebie myśl, że jest lepiej. Minuta powietrza, którym się oddycha. Siadamy do stołu. Natychmiast wracają mdłości. To ten chleb, którego on nie zjadł, którego brak go zabił. Chciałabym, żeby D. już poszedł. Znowu ta potrzeba pustego miejsca na mękę. D. wychodzi. Podłoga w mieszkaniu skrzypi pod moimi nogami. Gaszę światło, wchodzę do sypialni. Idę powoli, żeby zyskać na czasie, żeby nie mieć natłoku myśli w głowie. Jeśli nie będę uważać, nie zasnę. Kiedy w ogóle nie śpię przez całą noc, następnego dnia jest dużo gorzej. Zasypiam co noc obok niego, w czarnym rowie, obok niego, martwego.

Kwiecień

Idę do ośrodka zainstalowanego w Orsay. Mam duże trudności, żeby uzyskać pozwolenie na zorganizowanie tu Działu Poszukiwań, jaki prowadzi gazeta „Libres”, którą założyłam we wrześniu 1944 roku. Jako przyczynę odmowy podano fakt, że to nie jest oficjalne zamówienie. BCRA¹ już tu funkcjonuje i nie chce nikomu oddać swojego miejsca. Najpierw weszłam tam

¹ Bureau Central de Renseignements et d'Action (BCRA), Centralne Biuro Informacji i Działania, ośrodek szpiegowski zorganizowany przez Wolną Francję (francuski ruch polityczno-wojskowy kontynuujący walkę z hitlerowskimi Niemcami po kapitulacji Francji; utworzony w 1940 roku w Londynie, skupiony wokół Komitetu Wolnej Francji i generała Charles'a de Gaulle'a). (Przypis tłum.).

nielegalnie, podając fałszywe dokumenty, fałszywe przepustki. Udało się nam zebrać wiele informacji, które ukazywały się w „Libres”, na temat transportów, przesiedleń z jednego obozu do drugiego. Wiele wiadomości osobistych. „Proszę powiedzieć rodzinie takiego to a takiego, że ich syn żyje, widziałem go wczoraj, kiedy opuszczałem obóz”. Mnie i czterech moich kolegów wyrzucono za drzwi, tłumacząc: „Wszyscy chcą tu przychodzić, to niemożliwe. Przyjmujemy tylko ludzi z sekretariatu stalagów”. Sprzeciwiam się, podając argument, że nasza gazeta jest czytana przez siedemdziesiąt pięć tysięcy krewnych deportowanych i więźniów. „To istotnie szkoda, ale przepisy nie pozwalają na obecność osób z nieoficjalnych instytucji”. Odpowiadam, że nasza gazeta nie jest jakąś zwykłą gazetą, że jest jedyną gazetą, która publikuje wydania specjalne z listami nazwisk. „To nie jest wystarczający powód”. Rozmawia ze mną Frenay, wyższy oficer z ministerstwa, z departamentu zajmującego się powrotami więźniów z obozów. Ma zmartwioną twarz, zachowuje się z rezerwą. Jest uprzejmy. Mówi: „Bardzo mi przykro”. Mówię: „Będę walczyła do końca”. Idę w stronę biura dyrektora. „Dokąd Pani idzie?” – „Spróbuję jednak tu zostać”. Próbuję przemknąć się przez kolejkę jeńców wojennych, zajmującą całą szerokość korytarza. Wyższy oficer mówi mi, wskazując na jeńców: „Jak Pani chce, ale proszę uważać, oni jeszcze nie przeszli przez dezynfekcję. W każdym razie, jeśli zastanę tu jeszcze Panią wieczorem, będę niestety musiał Panią wyprosić”. Znaleźliśmy gdzieś mały stolik z jasnego drewna, który ustawiamy przy końcu kolejki. Przeprowadzamy wywiady z byłymi więźniami. Wielu zgłasza się do nas spontanicznie. Zbieramy setki wiadomości. Pracuję, nie podnosząc głowy znad papierów, myślę tylko o tym, żeby poprawnie zapisać nazwiska. Co pewien czas jakiś wyróżniający się od innych młody oficer w bardzo obcisłej, podkreślającej tors koszuli w kolorze khaki podchodzi do nas, pytając, kim jesteśmy. „Co to takiego, Ośrodek Poszukiwań Osób Zaginionych? Macie pozwolenie?”. Pokazuję sfalszowane pozwolenie, jakoś przechodzi. Potem kolej na urzędniczkę z sekcji do spraw powrotów: „Czego od nich chcecie?”. Tłumaczę jej, że pytamy o wiadomości z obozów. Pyta znowu: „A co potem robicie z tymi wiadomościami?”. To młoda platynowa blondynka w granatowym kostiumie i w dopasowanych do niego kolorem czółenkach, cienkich pończochach, wymalowanych na czerwono paznokciach. Odpowiadam, że publikujemy je w gazecie, która nazywa się „Libres”, która jest gazetą dla jeńców wojennych i więźniów obozów. Mówi: „»Libres«? To wy nie jesteście z ministerstwa?” (sic). Nie. „Macie pozwolenie, żeby to robić?”. Staje się nieprzyjemna. Mówię:

„Sami je sobie daliśmy”. Odchodzi, my dalej spisujemy informacje. Sprawę ułatwia nam fakt, że procedura związana z powrotem jeńców wojennych jest bardzo powolna. Między momentem, kiedy wysiadają z pociągu, a tym, kiedy docierają do poziomu pierwszego biura, to znaczy do biura kontroli dokumentów tożsamości, mija dwie i pół godziny. Dla więźniów wracających z obozów trwa to jeszcze dłużej, bo nie mają oni dokumentów i są nieskończenie bardziej zmęczeni, w większości wypadków na skraju wyczerpania. Przychodzi znowu jakiś oficer, czterdzieści pięć lat, kurtka spięta pasem, bardzo suchy ton: „Co tu się dzieje?”. Tłumaczymy od początku. Mówi: „Już jest jeden taki wydział w naszym ośrodku”. Ośmielam się: „W jaki sposób przekazujecie wiadomości rodzinom? Już wiadomo, że dopiero za trzy miesiące więźniowie będą mogli coś do nich napisać”. Patrzy na mnie i wybucha ironicznym śmiechem: „Niczego Pani nie zrozumiała. Nie chodzi o wiadomości. Chodzi o informacje dotyczące nazistowskich zbrodni. Zbieramy materiały”. Oddała się, potem wraca: „Skąd wiecie, że mówią prawdę? To bardzo niebezpieczne, co robicie. Chyba wiecie, że wśród nich ukrywają się milicjanci”². Nie odpowiadam, że nic mnie nie obchodzi to, że milicjanci nie zostali aresztowani. Nie odpowiadam. Oddała się. Po pół godzinie do naszego stolika zbliża się jakiś generał, za nim pierwszy oficer i kobieta w granatowym kostiumie, też w stopniu wojskowym. Jak policjant: „Dokumenty”. Podaje. „To nie wystarczy. Zezwalamy wam pracować na stojąco, ale nie chcę widzieć tutaj tego stolika”. Protestuję tłumacząc, że nie zajmuje on dużo miejsca. Mówi: „Ministerstwo oficjalnie zabroniło stawiać jakiegokolwiek stół w sali honorowej” (*sic*). Woła dwóch skautów, którzy usuwają stół. Będziemy pracować na stojąco. Co pewien czas słuchamy radia, program się zmienia, raz muzyka swingowa, innym razem muzyka patriotyczna. Kolejka więźniów wydłuża się. Co pewien czas podchodzę do okienka w głębi sali: „Ciągłe nie ma więźniów z obozów? – Nie ma”. Na dworcu wszędzie mundury. Kobiety w mundurach biura do spraw powrotu jeńców i więźniów. Nie wiadomo, skąd się biorą ci ludzie, te ubrania w doskonałym stanie po sześciu latach okupacji, te skórzane buty, te ręce, ten wyniosły, nieznoszący sprzeciwu ton, zawsze łaskawie pogardliwy, czy we wściekłości, czy w grzeczności. D. mówi mi: „Trzeba na nich patrzeć uważnie, niech Pani zapamięta, jacy oni są”. Zastanawiam się, skąd to się bierze, dlaczego nagle tak tu jest, i przede wszystkim, kim oni są. D. mówi do mnie: „Prawica. To właśnie jest prawica.

² Współpracujący z Niemcami milicjanci związani z rządem Vichy.

To, co Pani widzi, to personel gaullistowski zajmujący wolne miejsca. Prawica odnalazła się w gaullizmie nawet w czasie wojny. Zobaczy Pani, że będą przeciwni jakiemukolwiek ruchowi oporu, który nie wywodzi się bezpośrednio z gaullizmu. Zajmą całą Francję. Uzurpują sobie we Francji rolę opiekuna, będą myśleli za nas. Długo jeszcze będą zatruwać Francję, będziemy musieli nauczyć się z tym żyć”. Kobiety mówią o więźniach, używając wyrażenia „ci biedni chłopcy”. Do siebie zwracają się jak w jakimś salonie na przyjęciu. „Czy może mi droga Pani uprzejmie powiedzieć... szanowny Panie...”. Z niewielkimi wyjątkami mówią z akcentem charakterystycznym dla francuskiej arystokracji. Są tu po to, aby informować więźniów o rozkładzie pociągów. Mają specyficzny uśmiech kobiet, które chcą, żeby dostrzegano ich ogromne zmęczenie, ale także ich wysiłek, aby to ukryć. Duszą tu. Są naprawdę bardzo zaabsorbowane. Co pewien czas przychodzą do nich oficerowie, wymieniają się angielskimi papierosami: „No jak, ciągle nie zmęczona, nie do zdarcia? – Jak Pan widzi, kapitanie”. Śmiechy. Sala Honorowa rozbrzmiewa odgłosami kroków, prowadzonych szeptem rozmów, płaczu, skarg. Wciąż nadchodzą nowi. Przejeżdżają ciężarówki. Przybywają z Bourget. Grupami po pięćdziesiąt osób więźniowie wlewają się do wnętrza Ośrodka. Kiedy pojawia się jakaś grupa, szybko muzyka: „*Droga trwa, trwa, trwa, i nie widać końca...*”. Kiedy przybywa jakaś większa grupa, wtedy jest *Marsylianka*. Między jedną pieśnią a drugą cisza, ale bardzo krótka. „Biedni chłopcy” patrzą na salę honorową, wszyscy się uśmiechają. Otaczają ich oficerowie z biura do spraw repatriacji więźniów: „No, drodzy przyjaciele, do kolejki”. Stają w kolejce, nie przestając się uśmiechać. Ci, którzy pierwsi dostali się do okienka, gdzie trzeba pokazać dokumenty, mówią: „Długo to trwało”, ale zawsze mile się uśmiechają. Kiedy się ich prosi o informacje, przestają się uśmiechać, usiłują sobie przypomnieć. Ostatnio byłam na Gare de l’Est, jedna z tych pań zaczęła żołnierza z Legii, wskazała naszywkę na jego mundurze: „Cóż to, przyjacielu, nie salutuje się, przecież widzi Pan, że mam stopień kapitana” (*sic*). Żołnierz spojrział na nią, była piękna i młoda, więc się roześmiał. Dama oddaliła się biegiem: „Jaki źle wychowany”. Poszłam odnaleźć kierownika Ośrodka, żeby załatwić sprawę Biura Poszukiwań Osób Zaginionych. Ten pozwalał nam zostać, ale pod koniec całej procedury, przy kolejce od strony przechowalni bagażu. Dopóki nie ma transportów z więźniami powracającymi z obozów, jakoś się trzymam. Przyjeżdżają głównie do hotelu Lutetia, do Ośrodka w Orsay chwilowo przybyło zaledwie kilku. Boję się, że nagle zobaczę, jak wyłania się Robert L. Kiedy zapowiadają przyjazd więźniów,

wychodzę z Ośrodka, tak się umówiłam z moimi towarzyszami, wracam dopiero wtedy, gdy więźniowie odjeżdżają. Kiedy wracam, towarzysze dają mi znaki z daleka: „Nic. Żaden nie zna Roberta L.”. Wieczorem idę do redakcji gazety, przekazuję listy z nazwiskami. Co wieczór mówię do D.: „Jutro już nie pójde do Orsay”.

20 kwietnia

Dzisiaj przyjeżdża pierwszy transport więźniów politycznych z Weimaru. Dzwonią do mnie rano z Ośrodka. Mówią, że mogą przyjść, że tamci przybędą dopiero po południu. Idę pracować przed południem. Zostanę cały dzień. Sama już nie wiem, gdzie pójść, żeby móc znieść siebie samą.

Orsay. Wokół Ośrodka stoją żony jeńców wojennych tworząc zbitą masę. Od więźniów oddzielają je białe barierki. Krzyczą: „Macie jakieś wieści od Tego a Tego”. Czasami żołnierze zatrzymują się, niektórzy odpowiadają. Kobiety są już tu od siódmej rano. Niektóre zostają do trzeciej rano, i wracają o siódmej. Ale zdarza się i tak, że w środku nocy, między trzecią a siódmą, kobiety też tu stoją. Nie pozwala się im wejść do Ośrodka. Wiele osób, które nie oczekują na nikogo, przychodzą na dworzec Orsay, żeby popatrzeć sobie na to widowisko, powrót jeńców wojennych, a także sposób, w jaki kobiety na nich czekają, i na całą resztę, popatrzeć, jak to się odbywa, być może już nigdy nie będzie drugiej takiej okazji. Widzów tego spektaklu można rozróżnić po tym, że nie krzyczą i że trzymają się nieco na uboczu masy kobiet, tak, żeby móc zobaczyć zarówno powrót więźniów, jak i powitanie ich przez czekające kobiety. Więźniowie polityczni przyjeżdżają w sposób uporządkowany. Nocą przyjeżdżają w ogromnych amerykańskich ciężarówkach, wynurzają się z nich w oślepiającym świetle reflektorów. Kobiety wyją, klaszczą w dłonie. Więźniowie zatrzymują się, oślepieni, zaskoczeni. W dzień kobiety krzyczą, kiedy tylko zobaczą ciężarówkę wynurzającą się z mostu Solferino. W nocy krzyczą, kiedy tylko ciężarówka zwalniają, zbliżając się do Ośrodka. Wykrzykują nazwy miast niemieckich: „Noyeswarda?”³, „Kassel?”, lub numery stalagu: „VII A?”, „Komando III A?”. Więźniowie wydają się zdziwieni, przybywają prosto z Bourget i z Niemiec, czasami odpowiadają, najczęściej nie rozumieją dobrze, czego się od nich chce, uśmiechają się, oglądają się za Francuzkami, to pierwsze kobiety, jakie widzą od dawna.

³ Nie udało mi się odnaleźć tej miejscowości w indeksie atlasu, prawdopodobnie zapisałam ją tak, jak usłyszałam.

Źle mi się pracuje, wśród tych wszystkich nazwisk, które zapisuję po kolei, nigdy nie ma jego nazwiska. Co pięć minut chęć, żeby z tym skończyć, odłożyć ołówek, nigdy więcej już nie wypytywać się o wiadomości, wyjść z Ośrodka i nie wracać tam już do końca życia. Około drugiej po południu idę zapytać, o której przyjeżdża transport z Weimaru, omijam kolejkę, szukam kogoś, do kogo bym się mogła zwrócić. W kącie Sali Honorowej widzę grupę około piętnastu kobiet siedzących na ziemi, do których coś mówi jakaś kobieta w stopniu pułkownika. Podchodzę bliżej. Pani pułkownik jest wysoką kobietą w granatowym kostiumie, z Krzyżem Lotaryńskim⁴ w klapie, ma siwe włosy ułożone żelazkiem w loki, pomalowane na lekko niebieski kolor. Kobiety patrzą na nią, wyglądają na skrajnie wyczerpane, ale słuchają, zadziwione, pani pułkownik. Wokół nich walają się jakieś tobołki, walizki związane sznurkiem, na jednym z tobołków śpi małe dziecko. Są bardzo brudne, rysy ich twarzy są zmienione, jakby rozmazane. Dwie z nich mają ogromny brzuch. Inna kobieta w stopniu oficera przypatruje się, stojąc nieco na boku. Podchodzę do niej i pytam, o co tu chodzi. Patrzy na mnie, spuszcza wzrok i mówi wstydliwie: „Ochotniczki STO”⁵. Pani oficer mówi im, żeby wstały i poszły za nią. Wstają i idą za nią. Mają takie przerażone twarze, bo właśnie zostały wygwizdane przez żony jeńców wojennych, czekające przy wejściu do Ośrodka. Kilka dni temu byłam świadkiem przyjazdu ochotniczek STO. Przyjeżdżały jak inni, uśmiechnięte, potem powoli docierało do nich, co się dzieje, i wtedy rysy ich twarzy także stopniowo się zmieniały. Pani pułkownik zwraca się do młodej kobiety w mundurze, która udzieliła mi informacji, wskazuje palcem na kobiety: „Co z nimi robimy?”. Ta druga mówi: „Nie wiem”. Pani pułkownik już pewnie je poinformowała, że są uważane za zwykłe dziwki. Niektóre płaczą. Te, które są w ciąży, mają nieruchomy wzrok. Pani pułkownik każe im usiąść z powrotem. Siadają. Są to głównie robotnice, ręce mają czarne od oleju niemieckich maszyn. Dwie z nich to bez wątpienia prostytutki, widać zrobiony makijaż i pomalowane włosy, ale nawet te musiały pracować przy maszynach, mają tak samo czarne dłonie. Przychodzi oficer z biura do spraw powrotów: „Co to jest? – Ochotniczki STO”. Ton głosu pani pułkownik jest ostry, zwraca się ona do kobiet i grozi im: „Macie siedzieć cicho... Zrozu-

⁴ Krzyż Lotaryński stał się symbolem Wolnej Francji, w opozycji do swastyki. (Przypis tłum.).

⁵ STO (Service du Travail Obligatoire, Obowiązkowa Służba Pracy), utworzona w lutym 1943 roku. Do 1944 do pracy w Niemczech wyjechało ok. 650 000 francuskich pracowników (z tego około 1/3 ochotników), w tym 70 000 kobiet, co czyniło z Francji trzeciego (po ZSRR i Polsce) „dostawcę” darmowej siły roboczej dla Trzeciej Rzeszy. (Przypis tłum.).

miano? Nie myślcie sobie, że zostawimy was w spokoju...". Grozi im ręką. Oficer z biura do spraw powrotów podchodzi do ochotniczek, patrzy na nie i pyta pani pułkownik: „Czy są jakieś rozkazy w tej sprawie?”. Kobieta: „Nie otrzymałam żadnych, a Pan?”. – „Była mowa o sześciu miesiącach aresztu”. Pani pułkownik przytakuje piękną głową w lokach: „Należy im się”... Oficer puszcza kłęby dymu – camele – ponad głowami ochotniczek śledzących z nieprzytomnym wzrokiem rozmowę: „Zgoda!”, i oddala się, młody, elegancki kawalerzysta z camelem w rękę. Ochotniczki patrzą, czyhając na jakąkolwiek wskazówkę co do czekającego je losu. Żadnej wskazówki. Zatrzymuję oddalającą się panią pułkownik: „Czy wie Pani, o której przyjeżdża transport z Weimaru?”. Patrzy na mnie uważnie: „O trzeciej”. Patrzy na mnie znowu, znowu tym samym taksującym wzrokiem, i mówi nieco zmęczonym głosem: „Nie warto czekać i zajmować miejsca w Ośrodku, tu są tylko generałowie i prefekci, niech Pani wraca do domu”. Tego się nie spodziewałam. Wydaje mi się, że obrzucam ją obelgami. Mówię: „A inni?”. Wyprostowuje się: „Nie znoszę takiego sposobu myślenia! Niech się paniusia idzie wyplakać gdzie indziej”. Jest taka oburzona, że idzie to wszystko opowiedzieć niewielkiej grupce kobiet też w mundurach, te słuchają, oburzają się, patrzą na mnie. Podchodzę do jednej z nich. Mówię: „Ta to chyba na nikogo nie czeka?”. Patrzy na mnie ze zgorzaniem. Usiłuje mnie uspokoić. Mówi: „Tyle ma roboty, biedna, jest zdenerwowana”. Wracam do Działu Poszukiwań, tam, gdzie się kończy załatwiać wszystkie formalności. Chwilę potem wracam do Sali Honorowej. D. czeka tam na mnie ze sfalszowaną przepustką.

Około trzeciej ktoś rzuca: „Idą”. Wychodzę z kolejki, staję przy wejściu do korytarzyka, naprzeciwko sali honorowej. Czekam. Wiem, że Roberta L. nie będzie w tej grupie. D. stoi koło mnie. Ma za zadanie wypytać deportowanych, czy któryś nie poznał Roberta L. Jest błąd. Nie zajmuje się mną. W sali honorowej panuje wielki hałas. Kobiety w mundurach kręcą się wokół wolontariuszy i usadzają ich na podłodze w wydzielonej części Sali. sala honorowa jest pusta. W przyjazdach więźniów wojennych nastąpiła chwilowa przerwa. Oficerowie z wydziału repatriacji z Niemiec krążą po sali. Mikrofon też przez chwilę nie działa. Słyszę: „Minister”. Wśród oficerów rozpoznaję Frenaya. Stoję ciągle w tym samym miejscu przy wejściu do korytarzyka. Patrzę na to wejście. Wiem, że nie ma najmniejszej szansy, żeby Robert Antelme znalazł się tu. Ale może D. uda się zdobyć jakąś informację. Źle się czuję. Trzęsę się cała. Zimno mi. Opieram się o ścianę. Nagle ktoś rzuca: „Idą!”. Kobiety stojące na zewnątrz nie

wydały żadnego krzyku. Nie zaczęły klaskać. Nagle z korytarzyka wyłaniają się dwaj harcerze, podtrzymują jakiegoś mężczyznę. Mężczyzna trzyma się ich za szyje. Harcerze niosą go na splecionych pod udami rękach. Mężczyzna ubrany jest w cywilne ubranie, ma ogoloną głowę, zdaje się bardzo cierpieć. Jego twarz ma dziwny kolor. Chyba płacze. Nie można powiedzieć, żeby był chudy, to coś innego, zostało z niego niewiele, tak niewiele, że można wątpić, czy jeszcze żyje. A jednak tak, jeszcze żyje, jego twarz wykrzywia się w straszliwym grymasie, żyje. Nie patrzy na nikogo, ani na ministra, ani na salę honorową, ani na flagi, na nic. Ten grymas oznacza może uśmiech. To pierwszy deportowany z Weimaru, który przybył do Ośrodka. Nie zdając sobie sama z tego sprawy, posunęłam się o parę kroków do przodu, stoję teraz pośrodku sali honorowej, plecami do mikrofonu. Wchodzą znowu dwaj harcerze, podtrzymując jakiegoś następnego staruszka. Potem przychodzi około dwunastu mężczyzn, ci wyglądają lepiej niż poprzedni. Gdy się ich podtrzyma, mogą iść sami. Usadza się ich na ławkach z ogrodu, które postawiono w sali. Minister idzie w ich kierunku. Mężczyzna, który przyszedł jako drugi, starzec, płacze. Nie ma pewności, czy jest rzeczywiście taki stary, może ma dwadzieścia lat, nie sposób odgadnąć jego wieku. Minister podchodzi i zdejmuje kapelusz, idzie w stronę starca, podaje mu rękę, starzec oddaje uścisk, nie wie, że to ręka ministra. Kobieta w niebieskim mundurze krzyczy do niego: „To minister! Przyjechał specjalnie, żeby Pana przywitać!”. Starzec płacze nadal, nawet nie podniósł głowy. Nagle widzę D., siedzi koło starca. Jest mi bardzo zimno, szczękam zębami. Ktoś się do mnie zbliża: „Proszę tak tu nie stać, to nie ma sensu, jeszcze się Pani od tego rozchoruje”. Znam tego mężczyznę, to facet z Ośrodka. Zostaję. D. zaczyna rozmawiać ze starcem. Robię szybkie podsumowanie. Istnieje jedna szansa na dziesięć tysięcy, żeby ten starzec znał Roberta L. W Paryżu zaczyna się mówić, że wojskowi mają listy nazwisk ocalańców z Buchenwaldu. Poza płaczącym starcem i osobami chorymi na reumatyzm, pozostali nie wyglądają na bardzo chorych. Minister, a także starsi oficerowie, siedzą obok nich. D. długo rozmawia ze starcem. Patrę tylko na twarz D. Uważam, że rozmowa się przeciąga. Więc bardzo powoli przesuwam się w kierunku ławki, w polu widzenia D. D. dostrzega mnie, patrzy na mnie i potrząsa głową, „nie, nie zna go”. Oddalam się. Jestem bardzo zmęczona, mam ochotę położyć się na podłodze. Teraz kobiety w mundurach przynoszą więźniom jedzenie w mezażkach. Tamci jedzą, i jedząc odpowiadają na pytania, jakie się im zadaje. Zastanawiające jest to, że to, co się do nich mówi, nie wydadają się ich intereso-

wać. Dowiem się o tym jutro z gazet, wśród tych ludzi, tych starców, znajdują się: generał Challe, jego syn Hubert Challe – umrze tej samej nocy – student Saint-Cyr⁶, generał Audibert, Ferrière, dyrektor Monopolu Papierosowego, Julien Cain, administrator Biblioteki Narodowej, generał Heurteaux, Marcel Paul, profesor Suard z fakultetu medycyny w Angers, profesor Richet, Claude Bourdet, brat Teitgena, minister informacji, Maurice Nègre...

Wychodzę z Ośrodka koło piątej po południu, idę nabrzeżem. Jest bardzo ciepło, piękny słoneczny dzień. Chcę szybko wrócić do domu, zamknąć się z telefonem, znaleźć się znowu w czarnym rowie. Kiedy tylko kieruję się w stronę ulicy du Bac, miasto znowu staje się dalekie, a Ośrodek Orsay znika. Być może jednak wróci. Sama już nie wiem. Jestem bardzo zmęczona. Jestem bardzo brudna. Spędzam w Ośrodku również część nocy. Kiedy wrócę do domu, muszę w końcu zdecydować się, żeby wziąć kąpiel, nie myję się już chyba od tygodnia. Tak mi zimno tej wiosny, na samą myśl, że mam się umyć, cała drzę, jakbym miała stałe gorączkę, która już nigdy mnie nie opuści. Tego wieczoru myślę o sobie. Nigdy nie spotkałam równie tchórzliwej kobiety. Robię podsumowanie: z kobiet, które czekają, tak jak ja, nie, żadna nie jest taka tchórzliwa. Znam bardzo odważne. Nadzwyczajne. Moje tchórzostwo jest takie, że nie można go określić, tylko D. to potrafi zrobić. Moje towarzyszki z Wydziału Poszukiwań uważają mnie za osobę chorą. D. mówi: „W żadnym wypadku nie można się tak dać wykończyć”. Często mi to mówi: „Pani jest chora. Pani jest szalona. Proszę na siebie popatrzeć, do czego to podobne”. Nie udaje mi się zrozumieć, co ludzie chcą mi właściwie przekazać. (Nawet teraz, kiedy przepisuję te rzeczy z młodości, nie pojmuję sensu tych zdań). Ani przez sekundę nie widzę potrzeby, żeby być dzielną. Moje tchórzostwo polegałoby być może na tym, żebym się wykazywała dzielnością. Suzy trzyma się dzielnie, jeśli zważyć to, co stało się z jej synkiem. Dziecko, które ja miałam z Robertem L. umarło przy porodzie – kiedy rodziła się również wojna – w czasie wojny lekarze rzadko przyjeżdżali do domu w nocy, nie było dość benzyny. Jestem więc sama. Po cóż oszczędzać siły w moim wypadku. Nie proponuje się mi niczego, o co mogłabym walczyć. Walka, którą prowadzę, jest walką, której istoty nikt nie może zrozumieć. Prowadzę walkę z obrazami czarnego rowu. Są takie momenty, kiedy obraz jest silniejszy, wtedy krzyczę albo wychodzę

⁶ École Spéciale Militaire de Saint-Cyr mieszcząca się w miejscowości Coëtquidan, najsłynniejsza szkoła wojskowa, jedna z tak zwanych Grandes Écoles, zespołu francuskich uczelni, które funkcjonują poza publicznym systemem szkolnictwa wyższego.

i przemierzam Paryż. D. mówi: „Jak sobie kiedyś to Pani przypomni, będzie Pani wstyd”. Ludzie na ulicy zachowują się jak zwykle, przed sklepami stoją kolejki, pokazały się pierwsze czereśnie, kobiety czekają po nie w kolejce. Kupuję jakąś gazetę. Rosjanie są w Strausbergu, może nawet dalej, w okolicy Berlina. Kobiety, które stoją w kolejce po czereśnie, czekają na upadek Berlina. Ja też na to czekam. „Zrozumieją, jeszcze zobaczą, co ich czeka” – mówią ludzie. Cały świat na to czeka. Wszystkie rządy świata już się porozumiały. Kiedy serce Niemiec, piszą gazety, przestanie bić, wtedy naprawdę nastąpi koniec wszystkiego. Żukow ustawił armaty co osiemdziesiąt metrów wokół Berlina, bombardują centrum miasta. Berlin płonie. Zostanie wypalony do trzewi. Krew niemiecka będzie spływać wśród ruin. Czasami wydaje się, że można poczuć zapach tej krwi. Zobaczyć ją. Pewien ksiądz, były więzień, przyprowadził do Ośrodka niemieckiego chłopca, sierotę. Trzymał go za rękę, był z tego dumny, pokazywał go, tłumaczył, jak go znalazł, że przecież to biedne dziecko niczemu nie jest winne. Kobiety patrzyły na niego złym wzrokiem. Już sobie nadawał prawo do odpuszczania, już wybaczał. Nie przeżył żadnego bólu, żadnego wyczekiwania. Pozwalał sobie wykonywać prawo do przebaczenia, odpuszczania, tak oto, tutaj, natychmiast, zaraz, nie wiedząc niczego o tej nienawiści, która nas wypełniała, straszliwej i dobrej, przynoszącej pocieszenie, jak wiara w Boga. Więc o czym właściwie mówił? Jeszcze nigdy zachowanie żadnego księdza nie wydało mi się tak niestosowne. Kobiety odwracały wzrok, spluwały na jego uśmiech pełen miłosierdzia i światła. Nie zwracały uwagi na dziecko. Wszystko się rozdzielało. Z jednej strony był jednolity, niezwykły front kobiet. Z drugiej – ten samotny mężczyzna, który miał rację wyrażaną w języku, którego te kobiety już nie rozumiały.

Kwiecień

Monty jakoby przekroczył Elbę, ale to nie jest pewne, zamiary Monty’ego są mniej zrozumiałe niż Pattona⁷. Patton idzie jak burza. Patton dotarł do Norymbergii. Monty jakoby dotarł do Hamburga. Dzwoni żona Davida Rousseta⁸: „Są w Hamburgu. Przez kilka dni nie będzie żadnych wiadomości o obozach w Hamburgu-Neuengamme”. Ostatnio bardzo się niepokoiła, i nie bez przy-

⁷ Chodzi o generała amerykańskiego George’a Smitha Pattona (zmarł w 1945 roku w wypadku samochodowym w Kalifornii) i o oficera brytyjskiego marszałka Sir Bernarda Lawa »Monty« Montgomery’ego (zmarł w Londynie w 1976 roku). (Przypis tłum.).

⁸ Pisarz i lewicowy działacz polityczny (1912–1997), więzień obozów hitlerowskich, autor dwóch ważnych książek o rzeczywistości obozowej (*L’univers concentrationnaire*, *Świat koncentracyjny*, nagroda Renaudot, 1946 i *Les jours de notre morts*, *Dni naszej śmierci*, 1947). (Przypis tłum.).

czyny. David był w Bergen-Belsen. Niemcy rozstrzelali. Alianci posuwają się bardzo szybko, Niemcy nie mają czasu zabrać więźniów ze sobą, rozstrzelują na miejscu. Jeszcze nie wiemy, że czasami, kiedy nie mają czasu na rozstrzelanie, zostawiają więźniów w obozie. Hal zostało oczyszczone, Chemnitz wzięte, wojska posuwają się w kierunku Drezna, Patch⁹ oczyszcza Norymbergię. Georges Bidault¹⁰ przeprowadza rozmowy z prezydentem Trumanem dotyczące konferencji w San Francisco¹¹. Chodzę po ulicach. Jesteśmy zmęczone, zmęczone. W „Libération-Soir”: „Już nigdy nie będzie się mówiło o Vaihingen¹². Na mapach łagodny, zielony kolor lasów zejdzie w dół w kierunku Enz... Zegarmistrz zginął pod Stalingradem, w Paryżu fryzjer pracował w restauracji, Ateny zostały zajęte przez idiotę¹³. Teraz główna ulica jest beznadziejnie pusta, pokazuje wyrzuczone kostki bruku jak martwe ryby”. Sto czterdzieści tysięcy jeńców wojennych zostało odesłanych do swoich krajów. Na razie nie wiadomo o liczbie innych więźniów. Mimo wszelkich wysiłków czynionych przez służby ministerstwa, ostateczna liczba ciągle nie jest wystarczająco duża. Więźniowie czekają godzinami w Ogrodzie Tuileryjskim. Mówi się, że Noc Kina będzie miała w tym roku wyjątkową oprawę. We Francji aresztowano sześćset tysięcy Żydów. Już teraz wiadomo, że wróci jeden na sto. Wróci więc sześć tysięcy. Ludzie jeszcze w to wierzą. On mógłby wrócić z Żydami. Już od miesiąca mógłby przekazać nam jakieś wiadomości o sobie. Dlaczego właściwie nie z Żydami. Już chyba dość się naczekałam. Jesteśmy zmęczone. Niedługo nadejdzie kolejny transport z deportowanymi z Buchenwaldu. Otwarta piekarnia, może trzeba kupić chleb, nie marnować kartek. To zbrodnia marnować kartki. Niektórzy na nic nie czekają. Są też tacy, którzy już nie czekają. Przedwczoraj wieczorem, wracając z Ośrodka, poszłam uprzedzić pewną rodzinę mieszkającą na ulicy Bonaparte. Zadzwoiłam, ktoś podszedł do drzwi, powiedziałam: „Przychodzę z Ośrodka w Orsay, państwa syn wróci, dobrze się czuje”. Ta pani już o tym wiedziała, syn napisał do niej pięć dni temu. D. czekał na mnie przed drzwiami. Powiedziałam: „Już wiedzą o synu, napisał

⁹ Alexander McCarrell Patch (1889–1945), dowódca armii amerykańskiej. (Przypis tłum.).

¹⁰ Georges-Augustin Bidault (1899–1983), francuski polityk, trzykrotny premier Francji, minister spraw zagranicznych w pierwszym powojennym rządzie generała Charles’a de Gaulle’a. (Przypis tłum.).

¹¹ W dniach 25 IV–26 VI 1945 w San Francisco obradowała konferencja założycielska ONZ. (Przypis tłum.).

¹² Vaihingen nad rzeką Enz, miasto w Niemczech obok Stuttgartu, gdzie znajdował się obóz pracy. (Przypis tłum.).

¹³ Prawdopodobnie aluzja do zakodowanych wiadomości przesyłanych drogą radiową z ośrodka Ruchu Oporu w Londynie. (Przypis tłum.).

do nich. A więc mogą pisać". D. nic nie odpowiedział. To było dwa dni temu. Z każdym dniem czekam trochę mniej. Wieczorem przed bramą czyha na mnie konsjerżka, mówi, żebym poszła do pani Bordes, dozorczyńi szkoły. Odpowiadam jej, że pójdę jutro rano, żeby się tak nie przejmowała, bo dzisiaj wracał stalag VII A, nic jeszcze nie wiadomo o stalagu III A. Konsjerżka leci natychmiast jej to powiedzieć. Wchodzę powoli po schodach, jestem zmęczona i zasapana. Przestałam chodzić do pani Bordes, spróbuję pójść do niej jutro rano. Jest mi zimno. Usiądę na kanapie koło telefonu. Wojna się skończyła. Nie wiem, czy chce mi się spać. Już od pewnego czasu nie odczuwam potrzeby snu. Budzę się, stąd wiem, że spałam. Wstaję, przywieram czołem do szyby. Na ulicy Saint-Benoit, tłum ludzi, jak w ulu. Jest menu spod lady dla tych, którzy mogą zapłacić. To nienormalne tak czekać. Nigdy niczego się nie dowiem. Wiem tylko, że całymi miesiącami był głodny i że nie zobaczył kawałka chleba przed śmiercią, ani razu. Nie zaznał ostatniego pocieszenia umierających. Od siódmego kwietnia, mogę wybierać. Był może wśród dwóch tysięcy zastrzelonych w Belzen. W Mittel-Grattbach znaleziono tysiąc pięćset ciał w rowie. Na wszystkich szosach spotyka się długie kolumny mężczyzn wycieńczonych, bez sił, patrzących nieprzytomnym wzrokiem, gdzieś ich prowadzą, nie wiadomo dokąd, nawet kapo i kierownicy obozu nie wiedzą. Dziś dwadzieścia tysięcy ocalańców z Buchenwaldu składa hołd ponad pięćdziesięciu tysiącom ofiar obozu. Rozstrzelani w przeddzień wkroczenia Aliantów do obozu. Zostać zabitym na kilka godzin przed tym. Dlaczego? Podobno po to, żeby nie opowiadali. Czasami Alianci znajdowali ciała jeszcze ciepłe. Co się robi w ostatniej sekundzie przed przegraniem wojny? Rozbija się naczynia, rozbija się lustra, rzucając w nie kamieniami, zabija się psy. Już nie mam pretensji do Niemców, nie można teraz tego tak nazwać. Mogłam mieć do nich pretensję przez jakiś czas, było to jasne, było to ewidentne, byłam gotowa wybić ich wszystkich, wszystkich mieszkańców Niemiec co do jednego, wytrzebić ich, usunąć z powierzchni ziemi, sprawić, żeby to wszystko już nigdy się nie wydarzyło. Teraz pogubiłam się trochę i nie umiem rozróżnić między miłością, jaką czuję do niego, a nienawiścią, jaką czuję do Niemców. To jest ten sam obraz o podwójnym obliczu: na jednym z nich jest on, zwrócony przodem do Niemca, nadzieja, jaką żywił od roku, powoli znika z jego oczu, na drugim są oczy Niemca patrzące na niego przed strzałem. Oto dwa oblicza obrazu. Muszę wybrać między nimi, jego ciało toczące się w głąb dołu, albo Niemiec, który zawiesza z powrotem karabin na ramieniu i odchodzi. Nie wiem, czy mam zająć się nim, wziąć go w ramiona i pozwolić uciec Niemcowi, czy raczej zostawić Roberta L. i zająć

się Niemcem, który go zabił, i wykłuć mu oczy, które nie widziały oczu tamtego. Od trzech tygodni mówię sobie, że powinno się zabronić im zabijać, kiedy uciekają. Nikt niczego takiego nie zaproponował. Można było wysłać komanda spadochroniarzy, którzy utrzymaliby porządek w obozach przez tę dobę, jaka dzieli więźniów od wkroczenia Aliantów. Jacques Auvrey próbował to zorganizować, i to już na początku sierpnia 1944 roku. Okazało się to niemożliwe, bo Frenay¹⁴ nie chciał, żeby podobna inicjatywa wyszła od członków Ruchu Oporu. On sam, minister odpowiedzialny za jeńców wojennych i deportowanych więźniów, nie miał wystarczających środków, żeby to zrobić. Więc pozwolił, żeby więźniów rozstrzeliwano. Teraz będą rozstrzeliwać aż do końca w każdym wyzwalanym obozie. Nic im w tym nie może przeszkodzić. W moim obrazie o podwójnym obliczu czasami za Niemcem chowa się Frenay i patrzy. Dobrze mi robi tak przywierać czołem do zimnej szyby. Nie mogę już unieść głowy. Moje nogi i ramiona są ciężkie, ale nie tak ciężkie, jak moja głowa. To już nie jest głowa, to jakiś wrzód. Szyba jest chłodna. Za godzinę przyjdzie D. Zamykam oczy. Gdyby wrócił, moglibyśmy pojechać nad morze, to by mu sprawiło największą przyjemność. Wydaje mi się, że tak czy inaczej zaraz umrę. Jeśli wróci, też umrę. Powiedzmy, że zadzwoni: „Kto tam? – To ja, Robert L.”, mogłabym tylko otworzyć mu i zaraz umrzeć. Jeśli wróci, pojedziemy nad morze. Będzie lato, środek lata. Między chwilą, kiedy otwieram drzwi, a chwilą, kiedy stoimy twarzą do morza, nie żyję. W stanie zbliżonym do życia widzę, że morze jest zielone, że jest plaża w kolorze lekko pomarańczowym, piasek. W głowie mam słonawą bryzę, dzięki której nie myślę. Nie wiem, gdzie on znajduje się w momencie, kiedy patrzę na morze, ale wiem, że żyje. Że jest gdzieś na ziemi, po swojej stronie, że oddycha. Mogę więc wyciągnąć się na plaży i odpocząć. Kiedy wróci, pojedziemy nad morze, nad jakieś ciepłe morze. To mu sprawi największą przyjemność, a także dobrze mu zrobi ze względu na zdrowie. Przyjedzie, dojdzie do plaży, będzie stał na plaży i będzie patrzył na morze. Mnie wystarczy, że będę patrzyła na niego. Dla siebie nie proszę o nic. Głowa oparta na szybie. Być może to ja płaczę. Płacze jedna z sześciuset tysięcy. Ten mężczyzna stojący twarzą do morza to on. W Niemczech noce były zimne. Tu, na plaży, stoi w samej koszuli i rozmawia z D. Są zaabsorbowani rozmową. Ja umrę. Umrę zaraz po jego powrocie, nie może być inaczej, to mój sekret. D. o tym nie wie. Zdecydowałam się, że będę na niego czekać tak, jak

¹⁴ Henri Frenay zajmował wysokie stanowisko w departamencie do spraw jeńców wojennych, więźniów obozów koncentracyjnych i wywiezionych do obozów pracy (Commissariat aux Prisonniers, Déportés et Réfugiés). (Przypis tłum.).

czekam, że od tego umrę. To moja sprawa. Wracam na kanapę, wyciągam się na niej. D. dzwoni do drzwi. Idę otworzyć: „Nic? – Nic”. Siada w salonie obok kanapy. Mówię: „Myślę, że już nie ma wiele nadziei”. D. jest wyraźnie wykończony i nic nie odpowiada. Mówię dalej: „Jutro jest dwudziesty drugi kwietnia, dwadzieścia procent obozów zostało wyzwolonych. W Ośrodku widziałam Sorela, który mi powiedział, że wróci jedna osoba na pięćdziesiąt”. D. nie ma siły, żeby mi odpowiedzieć, ale ja ciągnę dalej. Ktoś dzwoni do drzwi. To szwagier Roberta L.: „No i co? – Nic”. Kiwa głową, zastanawia się, w końcu mówi: „To problem komunikacji, nie mogą pisać. Podobno w Niemczech poczta nie funkcjonuje normalnie”. Mówię: „Od tych z Buchenwaldu są wiadomości”. Przypominam, że transport Roberta L., ten z siedemnastego sierpnia, przyjechał do Buchenwaldu. „Skąd można wiedzieć, czy nie został przeniesiony gdzieś indziej na początku roku?”. Mówię im, żeby już poszli sobie, żeby wrócili do domu. Słyszę, jak rozmawiają między sobą, potem coraz mniej. Są długie chwile przerwy w rozmowie, a potem głosy nagle powracają. Czuję, że ktoś bierze mnie za ramię: to D. Zasnęłam. D. krzyczy: „Co Pani jest? Dlaczego Pani tak ciągle śpi?”. Zасыpiam znowu. Kiedy się budzę, M. już wyszedł. D. idzie po termometr. Mam gorączkę.

Gorączkując, widzę ją znowu. Stała trzy dni w kolejce wraz z innymi na ulicy des Saussaies. Miała około dwudziestu lat. Jej ogromny brzuch wysuwał się z jej ciała. Była tu z powodu swojego męża, którego rozstrzelano. Dostała wezwanie, żeby odebrać jego rzeczy. Przyszła. Ciągle jeszcze się bała. Dwadzieścia dwie godziny czekania w kolejce, żeby odebrać jego rzeczy. Pomimo upału, trzęsła się cała. Mówiła, mówiła cały czas, nie mogąc się zatrzymać ani na chwilę. Chciała odebrać jego rzeczy, żeby je raz jeszcze zobaczyć. Tak, rodzi za dwa tygodnie, dziecko nigdy nie pozna swojego ojca. Czytała bez końca innym kobietom w kolejce ostatni list od niego. „Powiedz naszemu dziecku, że byłem odważny”. Mówiła, płakała, niczego nie mogła zatrzymać w sobie. Myślę o niej, bo ona już nie czeka. Zastanawiam się, czy bym ją rozpoznała na ulicy, zapomniałam, jak wygląda, widzę tylko ten ogromny brzuch, który wychodzi z jej ciała, ten list trzymany w ręku, jakby chciała go komuś dać. Dwadzieścia lat. Ktoś podał jej składane krzeselko. Próbowwała na nim usiąść, ale zaraz wstawała, już tylko na stojąco mogła wytrzymać swoje ciało.

Niedziela, 22 kwietnia 1945

D. spał dziś u mnie. Tej nocy znowu nikt nie zadzwonił. Muszę iść zobaczyć się z panią Bordes. Robię sobie bardzo mocną kawę, zażywam tabletkę cory-

dranu. Zawroty głowy ustąpią, i te mdłości. Poczuję się lepiej. Jest niedziela, listy nie przychodzą. Zanoszę kawę D. Patrzy na mnie i uśmiecha się czule: „Dziękuję, kochana Marguerite”. Krzyczę, że nie. Nienawidzę mojego imienia. Po corydraniu, człowiek strasznie się poci, i gorączka ustępuje. Dzisiaj nie idę ani do Ośrodka, ani do drukarni. Trzeba kupić gazetę. Znowu zdjęcie z Belsen, bardzo długi rów, w którym leżą trupy, ciała tak chude, jak nigdy jeszcze nie widziano. „Centrum Berlina jest o cztery kilometry od frontu”. Komunikat rosyjski porzuca swoją zwykłą oschłość. „Pan Pleven¹⁵ udaje, że rządzi Francją, ogłasza uporządkowanie kwestii zarobków, rewaloryzację produktów rolnych”. Pan Churchill mówi: „Już nie będziemy długo czekać”. Alianci i Rosjanie może się dzisiaj połączą. Debru-Bridel¹⁶ protestuje przeciwko przeprowadzeniu wyborów bez więźniów i jeńców wojennych. Na drugiej stronie „F.N.”¹⁷ wiadomość o tysiącu deportowanych spalonych żywcem w jakiejś stodole trzynastego kwietnia rano w okolicach Magdeburga. W tekście *Sztuka i wojna*, Frédéric Noël pisze: „Niektórzy wyobrażają sobie, że Rewolucja artystyczna wynika z wojny, w rzeczywistości to wojny mają wpływ na różne aspekty rzeczywistości”. Simpson¹⁸ przejmuje dwadzieścia tysięcy więźniów. Monty spotkał się z Eisenhowerem. Berlin stoi w ogniu: „Stalin widzi ze stanowiska, skąd wydaje rozkazy, piękne, wspaniałe widowisko”. W ciągu ostatniej doby w Berlinie naliczono dwadzieścia siedem alarmów. Niektórzy jeszcze żyją. Przychodzę do pani Bordes. W drzwiach stoi jej syn. Córka leży na kanapie i płacze. Mieszkanie jest brudne, ponure, panuje bałagan. Mieszkanie jest pełne łez pani Bordes, przypomina Francję. „No to mamy problem – mówi syn – nie chce już wstawać”. Pani Bordes leży, patrzy na mnie, od łez jej twarz jest nie do poznania. Mówi: „No i tak”. Mówię raz jeszcze to samo: „Nie powinna Pani doprowadzać się do takiego stanu, z transportu III A nikt jeszcze nie wrócił”. Uderza pięścią w łóżko, krzyczy: „Już tydzień temu mi to Pani mówiła. – Nie wymyśliłam sobie tego, proszę przeczytać gazetę. – W gazecie nie jest to jasne”. Upiera się, nie chce na mnie patrzeć. Mówi: „Według Pani nikt jeszcze nie wrócił, a tyłu chodzi po ulicach”. Wiedzą, że ja bardzo często chodzę do Ministerstwa, do Departamentu Poszukiwań, gdzie pracuje Frenay. Jeśli się do

¹⁵ René Pleven (1901–1993), minister finansów i gospodarki narodowej w latach 1945–1946. (Przypis tłum.).

¹⁶ Jacques Debru-Bridel, pisarz związany z wydawnictwem Editions du Minuit. (Przypis tłum.).

¹⁷ „F.N.” („Front National”, „Front Narodowy”), pismo organizacji o orientacji prokomunistycznej. (Przypis tłum.).

¹⁸ William Hod Simpson (1888–1980), amerykański generał z okresu II wojny światowej. (Przypis tłum.).

tego odpowiednio zabiorę, pani Bordes znowu przez trzy dni będzie chodziła. Zmęczenie. To prawda, że ci z transportu III A powinni już być od dwóch dni wyzwoleni. Pani Bordes oczekuje ode mnie, żebym do niej mówiła. Tam na drodze jakiś mężczyzna wychodzi z kolumny. Seria strzałów. Chętnie bym jej dała umrzeć. Ale jej syn, młody chłopak, patrzy na mnie. Więc czytamy wiadomości: „Ci, którzy wracają...”, i wymyślamy dalszy ciąg. Idę po chleb, wracam na górę. D. gra na pianinie. Zawsze, niezależnie od okoliczności, grał na pianinie. Siadam na kanapie. Nie ośmielam się mu powiedzieć, żeby przestał grać. Boli od tego głowa, wracają mdłości. To jednak dziwne, żeby aż tak nie mieć żadnej wiadomości, do tego stopnia. Mają inne rzeczy na głowie. Miliony ludzi czekają, aż dokona się koniec. Niemcy rozbite na miazgę. Berlin w ogniu. Tysiąc miast zostało zmiecionych z powierzchni ziemi. Miliony cywili ucieka: ucieka elektorat Hitlera. Z różnych lotnisk wylatuje co minuta pięćdziesiąt bombowców. Tutaj wszyscy zajmują się wyborami do władz miejskich. Zajmują się także powrotem jeńców wojennych. Była mowa o przejmowaniu prywatnych samochodów i mieszkań, ale nie odważono się tego zrobić, nie chcąc narazić się tym, którzy je posiadają. De Gaulle wolałby tego uniknąć. De Gaulle dopiero na trzecim miejscu mówił o jeńcach politycznych, najpierw o swoim Froncie Afryki Północnej. Trzeciego kwietnia de Gaulle wypowiedział to kryminalne zdanie: „Dni płaczu minęły. Powróciły dni chwały”¹⁹. Nigdy tego nie wybaczmy. Powiedział także: „Wśród miejsc na naszej ziemi, które wybrał los, by się na nich zatrzymać, Paryż zawsze był miejscem symbolicznym... Działo się tak, gdy miasto się poddało w styczniu 1871²⁰, potwierdzając w ten sposób triumf niemieckich Prus... Podobnie w czasie sławetnych dni roku 1914... A także w roku 1940”. Nie wspomina o Komunie Paryskiej. Mówi, że porażka 1870 roku zdecydowała ostatecznie o powstaniu niemieckich Prus. Według de Gaulle’a Komuna Paryska uświęca tę niezdrową tendencję narodu do wierzenia we własne istnienie, w swą własną siłę. De Gaulle, z definicji wychwalający prawicę – gdy mówi, zwraca się jedynie do niej – chciałby, aby naród wykrwawił się ze swojej siły. Chciałby, aby naród był słaby i wierzący, chciałby, aby naród był zwolennikiem gaullizmu, jak cała burżuazja, chciałby, aby naród był burżuazją. De Gaulle nie mówi o obozach koncentracyjnych, to uderzające, do jakiego stopnia o nich nie mówi, do jakiego stopnia wyraźnie odrzuca fakt, że cierpienie narodu może wpisać się w zwycięstwo i stanowić

¹⁹ Aluzja do słów *Marsylianki*, francuskiego hymnu narodowego („I naprzód marsz, Ojczyzny dzieci / Bo nadszedł chwały naszej dzień”). (Przypis tłum.).

²⁰ Proklamacja przez Ottona von Bismarcka II Rzeszy. (Przypis tłum.).

jego część, a czyni tak z obawy, że w ten sposób umniejszy swą własną rolę, rolę de Gaulle'a. To on domaga się, aby wybory do władz miejskich odbyły się teraz. To oficer wydający rozkazy. W moim środowisku, po trzech miesiącach, sądzi się go surowo, odrzuca raz na zawsze. My, kobiety, nienawidzimy go. Później powie: „Dyktatura narodowej niezależności zawiera w sobie ryzyko, które jednostka powinna próbować zmniejszyć”. Czy mówił kiedykolwiek o niewyobrażalnym niebezpieczeństwie, jakie zawiera w sobie odpowiedzialność jednostki rządzącej? Wielebny Ojciec Panice powiedział w katedrze Notre-Dame, nawiązując do słowa „rewolucja”: „powstanie ludowe, strajk generalny, barykady... etc. To nadaje się na bardzo piękny film. Ale czyż istnieje rewolucja inna niż spektakularna, widowiskowa? Prawdziwa zmiana? Głęboka? Trwała? Spójrzcie na rok 1789²¹, 1830²², 1848²³. Po okresie przemocy i politycznego zamieszania, naród ogarnia zmęczenie, musi on wrócić do pracy, zarabiać na chleb”. Naród trzeba zniechęcić. Wielebny Ojciec Panice twierdzi również: „Kościół popiera bez wahania to, co wprowadza ład”. De Gaulle wprowadza żałobę narodową z powodu śmierci Roosevelta. Nie ma żałoby narodowej z powodu śmierci więźniów w obozach. Trzeba mieć wzgląd na Amerykę. Francja będzie nosiła żałobę po Roosevelcie. Żałoby, jaką przeżywa naród, się nie nosi.

Wobec tego oczekiwania człowiek przestaje istnieć. W głowie przewija się więcej obrazów niż na drogach w Niemczech. Serie strzałów co minuta w głowie. I nadal istniejemy, te strzały nie zabijają. Zastrzelony po drodze. Umiera z pustym żołądkiem. Jego głód krąży po głowie jak sęp. Nie można mu czegoś nie dać. Zawsze można wyciągnąć w pustkę kromkę chleba. Nie wiadomo nawet, czy on jeszcze w ogóle potrzebuje chleba. Kupuje się miód, cukier, makaron. Mówi się: „Jeśli on nie żyje, spalę wszystko”. Nic nie jest w stanie umniejszyć palącej rany, jaką wywołuje jego głód. Człowiek umiera na raka, w wypadku samochodowym, ale nie z głodu, nie umiera się z głodu, ginie się już przedtem. To, co uczynił z człowieka głód, kończy kula w serce. Chciałabym móc ofiarować mu swoje życie. Nie mogę nawet ofiarować mu kromki chleba. Takich myśli już się nie nazywa, wszystko jest zawieszona. Razem z panią Bordes istniejemy w terażniejszości. Możemy przewidzieć, że przeżyjemy jeszcze jeden dzień. Nie możemy przewidzieć trzech dni, kupić masło albo chleb na trzy

²¹ Wielka Rewolucja Francuska. (Przypis tłum.).

²² Rewolucja lipcowa, tzw. Les Trois Glorieuses, trzy dni chwały, w wyniku której została obalona dynastia Burbonów. (Przypis tłum.).

²³ Wiosna Ludów, symboliczne określenie ruchów rewolucyjnych w Europie z lat 1848–1849, skierowanych przeciwko autorytarnej władzy. (Przypis tłum.).

dni oznaczałoby obrazę pana Boga. Jesteśmy przywiązane do czegoś takiego jak Bóg, mamy z nim umowę. „Same głupstwa – mówi mi D. – co za idiotyzmy gadacie” ... Pani Bordes też. Wielu ludzi twierdzi teraz: „Trzeba pomyśleć o nadchodzącym wydarzeniu”. D. mówi do mnie tak: „Trzeba spróbować czytać. Powinno się móc czytać niezależnie od tego, co dzieje się na zewnątrz”. Próbowano się czytać, wszystkiego się próbowało, ale zdania nie układają się w logiczny porządek, a przecież można by przypuszczać, że taki porządek istnieje. Ale czasami można przypuścić, że nie istnieje, że nigdy nie istniał, że prawdą jest to, co dzieje się teraz. Teraz zależy od innego porządku: tego, który łączy jego ciało z naszym życiem. Może już nie żyje od dwóch tygodni, spoczywa w spokoju w czarnym dole. Już chodzą po nim robaki, mieszkają w nim. Kula w kark? w serce? w oczy? Jego blade usta dotykają niemieckiej ziemi, a ja ciągle czekam, bo jeszcze nic nie jest pewne, może jeszcze będzie żył przez sekundę. Bo po sekundzie może umrze, ale teraz jeszcze nie. I tak, po sekundzie życie nas opuszcza, wszelkie możliwości nas opuszczają, a czasami też życie powraca, wszystkie możliwości powracają. Może stoi w kolumnie, może idzie pochylony, krok po kroku, może nie zrobi już następnego kroku, tak jest zmęczony? Może już dwa tygodnie temu nie mógł zrobić następnego kroku? Pół roku temu? Godzinę temu? Sekundę temu? Nie ma we mnie miejsca nawet na pierwszą linijkę jakiegokolwiek książki. Jeśli chodzi o panią Bordes i o mnie, to wszystkie książki się spóźniły. Jesteśmy ekspertami walki, której nie można nazwać, walki bez broni, bez przelanej krwi, bez sławy, jesteśmy ekspertami czekania. Za nami rozciąga się cywilizacja zamieniona w popiół, wszystkie idee, które ludzkości udało się zgromadzić od wieków. Pani Bordes nie chce skłaniać się ku żadnej hipotezie. W głowie pani Bordes, jak i w mojej, pojawiają się jakieś bezkształtne zawirowania, nie wiadomo skąd wyłaniające się wyrwy, równie dziwne zduszone uderzenia, jakieś drogi do dalekich, niewyraźnie zarysowanych wyjść, które po chwili same się usuwają, redukują się niemal do śmiertelnej nicości, wszędzie tylko cierpienie, krew i krzyki, i właśnie dlatego nie może powstać żadna myśl, nie należy ona do tego chaosu, ale jest cały czas zastępowana przez chaos, bezsilna wobec niego.

Kwiecień – Niedziela

Ciągle na kanapie koło telefonu. Dzisiaj, tak, Berlin zostanie zdobyty. Codziennie nam to zapowiadają, ale dzisiaj to już naprawdę koniec. Gazety piszą, w jaki sposób się o tym dowiemy: syreny zawyją po raz ostatni. Ostatni raz w czasie wojny. Nie idę do Ośrodka, już tam nie będę chodzić. Wielu przy-

jeżdża do hotelu Lutetia, wielu przyjeżdża na Gare de l'Est. Koniec. Nie tylko już nie będę chodzić do Ośrodka, ale w ogóle już nie będę teraz wychodzić z domu. Tak mi się wydaje, wczoraj też mi się tak wydawało, a o dziesiątej wieczorem wyszłam, wsiadłam do metra, poszłam do D., zadzwoniłam do jego drzwi. Otworzył mi. Wziął mnie w ramiona: „Coś nowego? – Nic. Nie wytrzymam tego”. Wróciłam do domu. Nie chciałam nawet wejść do jego sypialni, miałam tylko ochotę zobaczyć D., żeby sprawdzić, czy jego twarz nie przybrała jakiegoś specjalnego wyrazu, czy nie ma na niej żadnego kłamstwa na temat śmierci. Nagle, koło dziesiątej, wstąpił we mnie strach. Strach o wszystko. Znalazłam się na ulicy. Podniosłam nagle głowę, mieszkanie wyglądało inaczej, zmieniło się światło lampy, stało się nagle żółte. I nagle pewność, seria pewności: on nie żyje. Nie żyje. Nie żyje. Dwudziestego pierwszego kwietnia, umarł dwudziestego pierwszego kwietnia. Stałam na środku pokoju. Stało się to w jednej sekundzie. Uderzenia w skroniach ustały. Jest teraz inaczej. Rysy mojej twarzy rozchodzą się, twarz się zmienia. Zmieniam się, rozkładałam się. W sypialni, gdzie się znajduję, nie ma nikogo. Nie czuję własnego serca. Koszmar powoli podchodzi mi do gardła jak powódź, topię się. Już nie czekam, strach wszystko opanował. To już koniec, to już koniec? Gdzie jesteś? Skąd to wiedzieć? Nie wiem, gdzie on się znajduje. Nie wiem też, gdzie ja się znajduję. Nie wiem, gdzie my się znajdujemy. Jak się nazywa to miejsce? Co to za miejsce? Co tu się dzieje? O co chodzi? Kto to taki, Robert L.? Ból przestał istnieć. Już nic mnie nie boli. Zaczynam rozumieć, że nic już nie łączy tego mężczyzny i mnie. Już lepiej czekać na innego mężczyznę. Ja już przestałam istnieć. A skoro przestałam istnieć, po co czekać na Roberta L.? Już chyba lepiej czekać na innego mężczyznę, jeśli komuś sprawia przyjemność czekanie? Nic już nie łączy tego mężczyzny i jej. Kto to taki, ten Robert L.? Czy w ogóle ktoś taki kiedykolwiek istniał? Co on robi, ten Robert L.? Dlaczego jest tak, że czeka się na niego, a nie na kogoś innego? Na co ona właściwie czeka? Na jakie inne oczekiwanie ona czeka? W co się bawi od dwóch tygodni, zawracając sobie głowę tym czekaniem? Co się dzieje w tej sypialni? Kim ona jest? D. wie, kim ona jest. Gdzie jest D.? Ona to wie, może się z nim zobaczyć i poprosić go o wytłumaczenie. Muszę się z nim zobaczyć, bo wydarzyło się coś nowego. Poszłam się z nim zobaczyć. Pozornie nic nowego się nie wydarzyło.

Wtorek, 24 kwietnia

Dzwoni telefon. Budzę się w ciemności. Zapalam światło. Widzę budzik: wpół do szóstej. Noc. Słyszę: „Hallo?...co?”. To D., spał dziś w pokoju obok.

Słyszę: „Co, co pan mówi? Tak, to tu, Robert L.”. Cisza. Stoję obok D., który trzyma słuchawkę. Usiłuję mu ją wyrwać. Trwa to długo, D. nie wypuszcza jej z rąk. „Coś nowego?”. Cisza. Dzwoni ktoś z drugiego końca Paryża. Usiłuję wyrwać słuchawkę, jest mi trudno, nie mogę tak dłużej. „No i co? Jacyś towarzysze”. D. wypuszcza telefon z rąk i mówi: „Koledzy Roberta przyjechali do Gaumont”. Ona wrzeszczy: „To nieprawda”. D. z powrotem bierze słuchawkę. „A Robert?”. Ona usiłuje mu wyrwać telefon. D. nic nie mówi, słucha, trzyma aparat. „Nie wie pan niczego więcej?”. D. odwraca się do niej: „Kiedy wyjeżdżali dwa dni temu, on żył”. Ona już nie usiłuje wyrywać telefonu. Leży na ziemi, upadła. Wraz ze słowami, że on dwa dni temu żył, coś pękło. Pozwala, żeby wypływało. Pęka, wycieka przez usta, przez nos, przez oczy. Musi wypłynąć. D. odłożył słuchawkę. Wypowiada jej imię: „Marguerite, moja kochana Marguerite”. Nie zbliża się do niej, nie podnosi jej, wie, że nie wolno jej dotykać. Jest zajęta. Zostawcie ją w spokoju. Woda wypływa zewsząd. Żyje. Żyje. Ktoś mówi: „Marguerite, moja kochana Marguerite”. Dwa dni temu żył, jak ty i ja. Mówi: „Proszę mnie zostawić w spokoju, zostawić w spokoju”. To wypływa też w skargach, w krzykach. Wszelkimi możliwymi sposobami. Wypływa. Ona na to pozwala. D. mówi: „Trzeba tam iść, oni są w Gaumont, czekają na nas, ale wypijmy kawę, zanim tam pójdziemy”. D. powiedział, bo chciał, żeby ona wypijała kawę. D. się śmieje. Mówi bez przerwy: „Ach! Co to za facet... jak można było przypuszczać, że się im da... cwany gość z tego Roberta... do końca się chował... a myśmy przypuszczali, że nie da sobie rady, taki drobny”. D. jest w łazience. Powiedział: „taki drobny”. Ona opiera się o szafkę w kuchni. To prawda, on nie wygląda tak, jak inni. Był roztargniony. Sprawiał wrażenie, jakby niczego nie zauważał, ciągle w drodze do środka absolutnej dobroci. Ona ciągle opiera się o szafkę w kuchni. Ciągle w drodze do środka absolutnego bólu myśli. Robi kawę. D. powtarza: „Za dwa dni będzie tu”. Kawa gotowa. Smak ciepłej kawy: on żyje. Ubieram się szybko. Wzięłam tabletkę corydranu. Ciągle gorączka, jestem cała spocona. Ulice są puste. D. idzie szybko. Dochodzimy do Gaumont, zamienionego w ośrodek tranzytowy. Jak było umówione, prosimy, aby przyszła Helena D. Przychodzi, śmieje się. Zimno mi. Gdzie oni są? W hotelu. Zaprowadzi nas.

Hotel. Wszystkie światła zapalone. Ludzie chodzą tu i tam, mężczyźni w więziennych pasiakach, pielęgniarki w białych bluzach. Więźniowie przyjeżdżają przez całą noc. Oto pokój, pielęgniarka odchodzi. Mówię do D.: „Proszę zapukać”. Serce skacze, nie będę mogła tam wejść. D. puka. Wchodzę razem z nim. Przy łóżku siedzą dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Nic nie mówią. To

rodzice. W łóżku leżą dwaj więźniowie. Jeden z nich śpi, ma może dwadzieścia lat. Drugi uśmiecha się do mnie. Pytam: „Pan Perrotti? – Tak, to ja. – Jestem żoną Roberta L. – Widzieliśmy go dwa dni temu. – W jakim był stanie?”. Perrotti patrzy na D.: „Niektórzy byli znacznie bardziej schorowani”. Młody się obudził: „Robert L.? A tak, mieliśmy razem uciekać”. Usiadłam obok niego. Pytam: „Rozstrzelowali?”. Obaj mężczyźni patrzą na siebie, nie odpowiadają od razu. „To znaczy... przestali rozstrzelować”. D. podejmuje rozmowę: „Na pewno?”. Odpowiada Perrotti. „Kiedy wyjechaliśmy z obozu, od dwóch dni już nie rozstrzelawali”. Dwaj więźniowie mówią między sobą. Młody pyta: „Skąd wiesz? – Powiedział mi to rosyjski kapo”. Ja: „Co Panu powiedział? – Powiedział, że dostali rozkaz, żeby już nie rozstrzelować”. Młody: „W niektóre dni rozstrzeliwali, a w inne nie”. Perrotti patrzy na mnie, patrzy na D., uśmiecha się: „Jesteśmy bardzo zmęczeni, proszę wybaczyć”. D. nie spuszcza oczu z Perrottiego: „Jak to się stało, że nie ma go z wami? – Szukaliśmy go razem w momencie odjazdu pociągu, ale go nie znaleźliśmy. – Chociaż szukaliśmy wszędzie. – Jak to się stało, że go nie znaleźliście? – Było ciemno, powiedział Perrotti. – Poza tym było nas jednak bardzo dużo. – Szukaliście go naprawdę wszędzie? – To znaczy...”. Patrzą na siebie. „Co to, to tak – powiedział młody – szukaliśmy dokładnie... nawet go wołaliśmy, było to nawet niebezpieczne. – To dobry towarzysz – mówi Perrotti – szukaliśmy go, robił odczyty o Francji. – Trzeba było widzieć, jak mówił, wszyscy słuchacze byli pod jego urokiem...”. Ja: „Jeśli go nie znaleźliście, to znaczy, że już nie żył? Że go rozstrzelano?”. D. podchodzi do łóżka, wymachuje szeroko rękoma, jest rozgniewany, powstrzymuje się, jest niemal tak błądy jak Perrotti. „Kiedy widzieliście go po raz ostatni?”. Dwaj mężczyźni patrzą na siebie. Słyszę głos kobiety: „Są zmęczeni”. Jakby się przesłuchiwało winnych, nie zostawia się im sekundy wytchnienia. „Ja w każdym razie go widziałem – mówi młody – jestem tego pewny”. Patrzy w pustkę i powtarza, że jest tego pewny, ale niczego nie jest pewny. Nic nie może powstrzymać D. „Proszę sobie przypomnieć, kiedy go widzieliście po raz ostatni. – Widziałem go w kolumnie, nie pamiętasz? Po prawej stronie? Było jeszcze jasno... To było godzinę przed dotarciem na dworzec”. Młody: „Trzeba powiedzieć, że byliśmy potwornie zmęczeni... ja w każdym razie widziałem go po jego ucieczce, jestem tego pewny, bo nawet umawialiśmy się, że razem stamtąd wyjdziemy, z dworca. – Co? Jak to po jego ucieczce? – Tak, próbował uciec, ale złapali go... – Co? Nie rozstrzeliwano tych, którzy próbowali uciekać? Kłamiecie”. Perrotti nic już nie może mówić, niczego nie wie, ma pamięć w kawałkach, przestaje rozmawiać. „Przecież mówimy

wam, że przyjedzie". W tym momencie D. ucina gwałtownie. Mówi, żebym się nie odzywała, potem zaczyna od początku. „Kiedy próbował uciekać?”. Patrzą na siebie. „Poprzedniego dnia? – Tak mi się wydaje”. D. prosi, błaga: „Postarajcie sobie przypomnieć, przepraszamy... ale postarajcie się”. Perrotti uśmiecha się. „Rozumiem, ale jesteśmy tak zmęczeni...”. Przez chwilę milczą. Kompletna cisza. Potem młody: „Ja jestem pewny, że go widziałem po jego ucieczce, widziałem go stojącego w kolumnie, teraz jestem pewny”. Perrotti: „Jak to? Kiedy? – Z Girardem, po prawej stronie, jestem pewny”. Powtarzam: „Skąd Pan wie, że rozstrzeliwano?”. Perrotti: „Nie ma się czego obawiać, wiedzielibyśmy o tym, zawsze wiedzieliśmy, SS-mani rozstrzeliwali z tyłu kolumny, potem koledzy powtarzali nazwisko aż do początku kolumny”. D.: „Chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego żeście go nie znaleźli. – Było ciemno – powtarza Perrotti. – Może uciekał po raz drugi – mówi młody”. „W każdym razie, widzieliście go po pierwszej ucieczce. – Na pewno – mówi Perrotti – pewniej być nie może. – Co z nim zrobili? – No, stłukli go porządnie... Filip opowie wam to lepiej niż ja, to był jego kolega”. Ja: „Jak to się stało, że go nie rozstrzelali? – Amerykanie byli bardzo blisko, już nie mieli czasu. – Poza tym, nie zawsze rozstrzeliwali” – mówi młody. Ja: „Umówiliście się przed ucieczką, że razem uciekniecie z dworca?”. Cisza, patrzą na siebie. „Rozumiecie, mówi D., jeśli rozmawialiście z nim po, byłby to jeszcze jeden argument, że na pewno żyje”. Nie, nic już nie wiedzą, tego nie mogą pamiętać. Pamiętają o jakichś ruchach kolumny, o niektórych zachowaniach towarzyszy, gdy ci rzucali się do rowów, żeby się schować, o Amerykanach, którzy byli wszędzie, też pamiętają. Ale o reszcie, nie, już nie pamiętają.

Zaczyna się inny okres męki. Niemcy są w płomieniach. On jest w środku Niemiec. Nie jest to pewne, niezupełnie. Ale można tak powiedzieć: jeśli nie został rozstrzelany, jeśli został w kolumnie, to obecnie znajduje się w centrum pożaru Niemiec.

24 kwiecień

Jest wpół do dwunastej rano. Dzwoni telefon. Jestem sama, odbieram. Dzwoni François Mitterand, pseudonim Morland. „Przyjechał Filip, widział Roberta tydzień temu. Robert miał się dobrze. Tłumaczę: „Widziałam Perrottiego, podobno Robert uciekł, i go złapali. Co wie Filip?”. François: „To prawda, próbował uciekać, ale zauważyły go dzieci”. Ja: „Kiedy go widział po raz ostatni?”. Cisza. François: „Uciekli razem, Filip doszedł dość daleko, Niemcy go nie widzieli. Robert był na skraju drogi, został pobity. Filip czekał,

nie usłyszał żadnego strzału". Cisza. „Na pewno? – Na pewno. – Niewiele to oznacza. Potem go nie widział?”. Cisza. „Nie, przecież Filipa już tam nie było, uciekł. – Kiedy to się stało? – Trzynastego”. Wiem, że te wszystkie dane zostały zebrane przez François Morlanda, że nie ma w nich najmniejszej pomyłki. „Co mam myśleć? – Nie ma dwóch zdań – twierdzi François – musi wrócić”. Ja: „Czy rozstrzeliwali ludzi w kolumnie?”. Cisza. „Jak czasem. Niech Pani przyjdzie do drukarni. – Nie, jestem zmęczona. Co o tym wszystkim myśli Filip?”. Cisza. „Nie ma dwóch zdań, powinien się tu zjawić w ciągu czterdziestu ośmiu godzin”. Ja: „W jakim stanie jest Filip? – Bardzo zmęczony, mówi, że Robert trzymał się, lepiej od niego. – Czy wie, w jakim kierunku jechał transport? – Nie, nie ma pojęcia”. Ja: „Nie opowiada mi tu Pan jakichś bujdy? – Nie. Proszę przyjść do drukarni. – Nie, nie pójdę. Proszę mi powiedzieć: a co, jeśli nie zjawi się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin? – Co mam na to powiedzieć? – Dlaczego wspomniał Pan o tylu właśnie godzinach, dlaczego czterdzieści osiem godzin? – Bo według Filipa, obóz został wyzwolony między czternastym a dwudziestym piątym. Więc inna możliwość nie wchodzi w grę”.

Perrotti uciekł dwunastego, przyjechał dwudziestego czwartego. Trzeba liczyć dziesięć–dwanaście dni. Robert powinien zjawić się jutro albo pojutrze, może jutro.

Czwartek, 26 kwietnia

D. zadzwonił po lekarza, gorączkuję nadal. Pani Kats, matka mojej przyjaciółki Jeanine Kats, zamieszkała u mnie, czeka na swoją córkę wywiezioną do Ravensbrück, zamieszkała także Marie-Louise, siostra Roberta. Zadzwonił Riby, poprosił Roberta do telefonu. Był w tej samej kolumnie, uciekł przed Perrottim, wrócił przed nim.

Piątek, 27 kwietnia

Nic. Ani w nocy, ani w dzień. D. przyniósł mi „Combat”²⁴. Wiadomość z ostatniej chwili, Rosjanie wkroczyli do stacji metra w Berlinie. Ale armaty Żukowa wciąż otaczają i bombardują ruiny Berlina co osiemdziesiąt metrów. Szczecin i Brno zdobyte. Amerykanie doszli do Dunaju. Całe Niemcy są w rękach Amerykanów. Nie jest łatwo zająć jakiś kraj. Co z nim zrobią? Upodobniłam się do pani Bordes, już w ogóle nie wstaję z łóżka. To pani Kats robi zakupy, gotuje.

²⁴ „Walka” – dziennik organizacji Ruchu Oporu Combat wydawany w podziemiu. (Przypis tłum.).

Choruje na serce. Kupiła mi amerykańskie mleko. Wydaje mi się, że gdybym była naprawdę chora, pani Kats mniej by myślała o swojej córce. Jej córka to kaleka, miała jedną nogę sztywną po przebytej gruźlicy kości, była Żydówką. Dowiedziałam się w Ośrodku, że kaleki są zabijane. Co do Żydów, już powoli wiadomo. Pani Kats czekała pół roku, od kwietnia do października 1945. Jej córka zginęła w marcu 1945, powiadomiono ją o tym w październiku 1945, trzeba było dziewięciu miesięcy, żeby odnaleźć nazwisko. Nie rozmawiam z nią o Robercie L. Wszędzie podawała rysopis swojej córki, w ośrodkach poszukiwań, na wszystkich granicach, wśród całej rodziny, nigdy nic nie wiadomo. Kupiła pięćdziesiąt puszek amerykańskiego mleka, dwadzieścia kilo cukru, dziesięć kilo konfitury, wapń, fosfat, alkohol, wodę kolońską, ryż, kartofle. Pani Kats mówi dosłownie: „Wszystkie jej ubrania są wyprane, zacerowane, wyprasowane. Podłożyłam podszewkę do jej czarnego płaszcza, doszyłam kieszenie. Wszystko włożyłam do dużego kufra z naftaliną, poukładałam, wszystko jest gotowe. Podkułam buty, załapałam wszystkie oczka w pończochach. Chyba o niczym nie zapomniałam”. Pani Kats rzuca wyzwanie panu Bogu.

27 kwiecień

Nic. Czarna dziura. Nie widać żadnego światła. Rekonstruuje dni postępujące jeden za drugim, ale jest tylko pustka, przepaść między chwilą, gdy Filip nie usłyszał żadnego strzału, a dworcem, gdzie nikt nie widział Roberta L. Wstaję z łóżka. Pani Kats poszła do swojego syna. Ubrałam się, siedzę przy telefonie. Przychodzi D. Stanowczo prosi, żebym poszła z nim do restauracji. W restauracji jest pełno. Ludzie mówią o końcu wojny. Nie jestem głodna. Wszyscy mówią o nazistowskich okrucieństwach. Już nigdy nie będę głodna. Niedobrze mi się robi patrząc na to, co ludzie jedzą. Chcę umrzeć. Jakby ostra żyletka odcinała mnie od reszty świata, nawet od D. Diabelskie rozumowanie: jeśli dziś wieczorem nie będę miała żadnych wiadomości, to znaczy, że on nie żyje. D. patrzy na mnie. Może sobie na mnie patrzeć, tamten nie żyje. Mogę sobie mówić, D. i tak mi nie uwierzy. W „Prawdzie” piszą: „Dla Niemiec wybiła ostatnia godzina. Wokół Berlina zaciska się krąg ognia i żelaza”. To już koniec. Nastąpi pokój, a jego nie będzie. Włoscy partyzanci uwięzili Mussoliniego w Faenza. Całe północne Włochy są teraz w rękach partyzantów. Mussolini zatrzymany, tylko tyle wiadomo. Thorez mówi o przyszłości, mówi, że trzeba będzie dużo pracować. Zachowałam wszystkie gazety dla Roberta L. Jeśli wróci, będę z nim jadła. Nie przedtem. Myślę o niemieckiej matce szesnastoletniego żołnierza, który umierał siedemnastego sierpnia

1944 roku, sam, leżąc na stosie kamieni na nadsekwańskim wybrzeżu, a ona ciągle czeka na swojego syna. Teraz, kiedy de Gaulle jest przy władzy, kiedy stał się tym, który przez cztery lata ocalał nasz honor, kiedy paraduje co dzień, skąpiąc narodowi pochwał, ma w sobie coś strasznego, coś potwornego. Mówi: „Jak długo będę, wszystko w tym domu będzie funkcjonować”. De Gaulle czeka już tylko na pokój, to my czekamy jeszcze, oczekiwanie znane z wszechczasów, oczekiwanie kobiet z wszechczasów, ze wszystkich miejsc na świecie: czekanie na mężczyzn powracających z wojny. Mieszkamy po tej stronie świata, gdzie trupy leżą pokotem poskręcane na jakimś zbiorowym cmentarzysku. Dzieje się tak w Europie. Tu właśnie pali się miliony Żydów. Tutaj się ich oplakuje. Ameryka w zadziwieniu patrzy, jak w Europie z gigantycznych krematoriów unosi się dym. Nie mogę przestać myśleć o tej starej kobiecie o siwych włosach, która zboleła będzie czekać na wiadomości o swoim synu, ten leży tak bardzo sam ze śmiercią, szesnastoletni, na nadsekwańskim wybrzeżu. Mojego chłopca może też ktoś zobaczyć, tak jak ja zobaczyłam tego, w rowie, gdy jego ręce wołały po raz ostatni o pomoc, a jego oczy już nie widziały. Ten ktoś nigdy się nie dowie, kim dla mnie był ten mężczyzna, a ja nigdy nie będę wiedziała, kim jest ta osoba. Należymy do Europy, to wszystko dzieje się właśnie tu, w Europie, tu jesteśmy odcięci od reszty świata. Wokół nas te same oceany, te same napaści, te same wojny. Pochodzimy z rasy tych, których pali się w krematoriach, z rasy zagazowanych w Majdanku, jesteśmy też z rasy nazistów. Wobec krematoriów Buchenwaldu wszyscy jesteśmy równi, wobec głodu też, wobec zbiorowych mogił Bergen-Belsen, jakaś część nas jest w tych grobach, te szkielety, tak niesamowicie do siebie podobne, to szkielety jednej europejskiej rodziny. Te wydarzenia nie miały miejsca na jakiejś wyspie Archipelagu Sundajskiego, ani w jakiejś krainie na Pacyfiku, ale na naszej ziemi, na ziemi Europy. Czteryście tysięcy szkieletów komunistów niemieckich, którzy zginęli w obozie Mittelbau-Dora w latach 1933–1938 leży również w europejskim wspólnym grobie, wraz z milionami Żydów, którym towarzyszy myśl Boga, każdy Żyd z myślą Boga, każdy Żyd. Amerykanie mówią: „Nie ma w całej Ameryce takiego człowieka, czy by to był fryzjer z Chicago czy rolnik z Kentucky, który by nie wiedział, co się działo w niemieckich obozach koncentracyjnych”. Amerykanie chcą nam pokazać wspaniały mechanizm amerykańskiej wojny, rozumieją przez to, że trzeba uspokoić rolnika i fryzjera, którzy nie byli na początku przekonani co do słuszności powodów, dla których ich syn został powołany do wojska i musiał iść się bić na froncie gdzieś w Europie. Kiedy Amerykanie dowiedzą

się o egzekucji Mussoliniego, powieszzonego na rzeźnickim haku, przestaną cokolwiek z tego wszystkiego rozumieć – będą w szoku.

28 kwietnia

Ci, którzy czekają na pokój, właściwie nie czekają na nic. Powinny już być jakieś wiadomości, jest coraz mniej powodów, żeby ich nie było. Pokój już blisko. To tak, jakby nadchodziła głęboka noc, to także początek zapomnienia. Jakby na dowód tego, Paryż jest teraz oświetlany nocą. Plac Saint-Germain-des-Près wydaje się być oświetlony przez morskie latarnie. W kawiarni Les Deux Magots jest pełno. Na tarasie nie ma ludzi, jest jeszcze za zimno. Ale małe restauracyjki także są przepełnione. Wyszedłam z domu, wydaje mi się, że pokój nastąpi lada chwila. Szybko wróciłam do domu, ścigana przez pokój. Przez chwilę widziałam, że jakaś przyszłość jest możliwa, że jakaś obca ziemia wyłoni się z tego chaosu, i wtedy już nikt nie będzie czekał. Dla mnie nie ma tu miejsca, nie ma mnie tutaj, jestem tam z nim, w tej strefie niedostępnej dla innych, innym nieznaną, tam, gdzie się ludzi pali i zabija. Podtrzymuje mnie cieniutka nitka, ostatnia z możliwych, taka, dla której w gazetach nie ma miejsca. To oświetlone miasto straciło dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, poza tym jednym: jest znakiem śmierci, znakiem przeszłości bez nich. Nie ma już teraźniejszości w tym mieście, chyba że dla nas, czekających. Dla nas jest to miasto, którego tamci nie zobaczą. Wszyscy niecierpliwie wypatrują pokoju, a ten ciągle nie nadchodzi. Na co czekają, żeby podpisać traktat pokojowy? Wszędzie się słyszy tylko to zdanie. Groźba staje się z każdym dniem coraz większa. Dziś dowiadujemy się, że Hitler jest umierający. Tak powiedział Himmler w niemieckim radiu, to jego ostatni apel, jednocześnie zwracał się do Aliantów z prośbą o kapitulację. Berlin w ogniu, broni go jedynie „około trzydzieści samobójczych batalionów”, i to właśnie w Berlinie jakoby Hitler miałby sobie odebrać życie strzałem w głowę. Hitler jakoby nie żyje, ale ta wiadomość nie jest potwierdzona.

28 kwietnia

Cały świat czeka. Himmler w swoim oświadczeniu mówi, że „Hitler jest umierający, jeśli się dowie o bezwarunkowej kapitulacji, nie przeżyje tego”. Ta kapitulacja mogłaby się okazać dla niego śmiertelnym ciosem. Stany Zjednoczone i Anglia odpowiedziały, że nie podpiszą aktu kapitulacji bez porozumienia ze Związkiem Radzieckim. Himmler wysłał propozycję warunków kapitulacji na konferencję w San Francisco. Z ostatniej chwili: „Combat”

zapowiada, że propozycja warunków kapitulacji została także przekazana Rosji. Stalinowcy nie chcą przekazać Mussoliniego Aliantom. Mussolini powinien zapłacić za swoje grzechy będąc ukarany rękami ludu, mówią gazety. Farrinacci²⁵ został skazany na śmierć przez sąd ludowy, egzekucja odbyła się na placu pewnego dużego miasta w obecności znacznego tłumu. W San Francisco sprawy Europy nie przedstawiają się dobrze, jej przedstawiciele są w mniejszości. Konferencji przewodniczy Stettinius²⁶. „Combat” pisze: „Widząc to przedstawienie, jakie dają wielkie potęgi, mniejsze kraje podnoszą głowę”. Już się mówi o tym, co nastąpi po zawarciu pokoju.

Jest ich bardzo dużo, bardzo dużo ludzi zginęło. Siedem milionów Żydów²⁷ zostało zgładzonych, przewiezieni bydlęcymi wagonami i zagazowani w specjalnie w tym celu zbudowanych komorach gazowych, a później spaleni w specjalnie w tym celu zbudowanych krematoriach. W Paryżu o Żydach jeszcze się nie mówi. Żydowskie noworodki zostały powierzone grupie KOBIEŃ MAJĄCYCH ZA ZADANIE ZABIJANIE ŻYDOWSKICH DZIECI POPRZEZ UDUSZENIE, miały wprawę w zabijaniu jednym naciśnięciem na tętnicę szyjną²⁸. To działo się bezboleśnie, mówią z uśmiechem. To nowe oblicze śmierci zorganizowanej, zracjonalizowanej, jaką odkryto w Niemczech, najpierw wprawia w osłupienie, potem dopiero oburza. Ludzie się dziwią. Jak można jeszcze być Niemcem? Szuka się jakichś innych tego typu zbrodni, popełnionych gdzie indziej, w innych czasach. Nie można znaleźć niczego podobnego. Niektórych ta wiedza porazi, nigdy nie będą się mogli otrząsnąć. Jeden z największych, najbardziej cywilizowanych narodów świata, od wieków muzyczna witryna Europy, w sposób metodyczny, perfekcyjny, przemysłowy, zamordował jedenaście milionów ludzkich istot. Cały świat patrzy na górę, na tę masę trupów, jakie człowiek, boskie stworzenie, ofiarował swemu bliźniemu. Podaje się nazwisko pewnego niemieckiego pisarza, którego to wszystko bardzo zasmuciło, który stał się ponury, któremu to, co się stało, daje wiele do myślenia. Jeśli nad tą nazistowską zbrodnią nie będzie się zastanawiać cały świat, jeśli nie będzie o niej wiadomo w skali całej ludzkości, człowiek z obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen, który zginął samotnie, przeżywając swoją śmierć w sposób

²⁵ Polityk i dziennikarz włoski, sekretarz partii faszystowskiej. (Przypis tłum.).

²⁶ Sekretarz stanu USA za kadencji prezydentów Franklina D. Roosevelta oraz Harry'ego S. Trumana, prezes amerykańskiej delegacji na Konferencję Narodów Zjednoczonych. (Przypis tłum.).

²⁷ Późniejsze cyfry mówią o sześciu milionach. (Przypis tłum.).

²⁸ Historycy nie potwierdzają istnienia takiej organizacji kobiecej, nawet jeśli poszczególne wypadki podobnych zbrodni z pewnością się zdarzały. (Przypis tłum.).

zbiorowy, mając świadomość klasową, tę samą świadomość, dzięki której pewnej nocy rozmontował śruby szyn w jakimś miejscu Europy, bez szefa, bez munduru, bez świadka – ten więzień został zdradzony. Jeśli potworna zbrodnia nazistowska będzie sądzona jedynie według kryteriów niemieckich, a nie kryteriów całej ludzkości, więzień z Belsen zostanie pomniejszony do wymiarów obywatela jednego tylko kraju, jednego tylko regionu. Jedyną możliwą reakcją na tę zbrodnię musi być uczynienie z niej takiej zbrodni, za którą jesteśmy wszyscy odpowiedzialni. Podzielenie się nią. Tak jak dzielimy się ideą równości i braterstwa. Aby ludzkość mogła udźwignąć ciężar tej zbrodni, zrozumieć, jak do niej doszło, musimy się tą zbrodnią podzielić.

Nie pamiętam już, kiedy dokładnie to się stało, czy to było jeszcze w kwietniu, nie, to było już w maju, pewnego dnia o jedenastej rano zadzwonił telefon. François Morland dzwoni z Niemiec. Nie mówi dzień dobry, jest niemal brutalny, jak zwykle mówi wyraźnie, o co chodzi. „Proszę mnie posłuchać. Robert żyje. Niech się Pani uspokoi. Tak. Jest w Dachau. Proszę słuchać dalej, słuchać ze wszystkich sił. Robert jest bardzo słaby, trudno sobie wyobrazić, jak bardzo. Muszę to Pani powiedzieć: to kwestia godzin. Może jeszcze żyć trzy dni, ale nie więcej. D. i Beauchamp muszą pojechać jeszcze dzisiaj, dziś rano, do Dachau. Proszę im to powiedzieć: niech natychmiast przyjdą do mojego gabinetu, wszyscy są już tam poinformowani, dostaną mundury francuskich oficerów, paszporty, podpisane delegacje, bony na benzynę, mapy sztabowe, przepustki. Niech tam idą natychmiast. Tylko to można jeszcze zrobić. Jeśli użyją drogi służbowej, będzie za późno”.

François Morland i Rodin uczestniczyli jakiś czas temu w misji organizowanej przez ojca Riquet, pojechali do Dachau i to wtedy odnaleźli tam Roberta L. Przedostali się do tej części obozu, do której wejście było wzbronione, gdzie składano trupy i przypadki beznadziejne. I to tam ktoś wyraźnie wymówił imię „François”. „François”, a potem oczy się znowu zamknęły. Rodin i Morland rozpoznali Roberta L. dopiero po godzinie. W końcu rozpoznał go Rodin, po zębach. Owinęli go w prześcieradło, tak jak się to robi ze zmarłymi, wynieśli z zamkniętej części obozu, położyli wzdłuż jednego z baraków w tej części obozu, gdzie znajdowali się ci, którzy przeżyli. W obozie nie było żołnierzy amerykańskich, dlatego udało się to zrobić, wszyscy żołnierze byli przy punkcie kontrolnym, przerażeni tyfusem.

Beauchamp i D. tego samego dnia wrócili do Paryża, wczesnym popołudniem. To było 12 maja, dzień Pokoju. Beauchamp nosił mundur pułkownika François Morlanda. D. – mundur porucznika francuskiego, miał przy sobie

dokumenty jednego z członków Ruchu Oporu na nazwisko D. Masse. Jechali samochodem całą noc, do Dachau przyjechali następnego dnia rano. Szukali Roberta L. przez parę godzin, w pewnym momencie przechodząc obok jakiegoś ciała usłyszeli, jak ktoś wymawia imię D. Mnie się wydaje, że oni go nie rozpoznali, ale Morland uprzedził, że nie można go rozpoznać. Zabrali go. I dopiero potem go rozpoznali. Pod ubraniami mieli trzeci mundur oficera francuskiego. Trzeba było go trzymać prosto, sam nie mógł się utrzymać, ale udało się im go ubrać. Musieli go powstrzymywać przed salutowaniem, gdy przechodzili przed barakami SS, musieli jakoś go przemycić przez punkty kontrolne, bronić go przed szczepieniami, które mogłyby go zabić. Amerykańscy żołnierze, głównie Murzyni, nosili maski gazowe przeciwko tyfusowi. Cała potworność tak wyglądała. Gdyby postępowali według rozkazów, to biorąc pod uwagę stan Roberta L., musieliby go natychmiast odstawić do obozowej umieralni. Po wyprowadzeniu Roberta L. z obozu, trzeba go było przeprowadzić do Citroëna 11. Gdy ułożyli go na tylnym siedzeniu, Robert L. zemdłał. Myśleli, że już koniec, ale nie. Podróż była strasznie ciężka, strasznie długa. Trzeba było się zatrzymywać co pół godziny z powodu dezynтерии. Kiedy tylko oddalili się od Dachau, Robert L. zaczął mówić. Powiedział, że wie, że nie dojedzie żywy do Paryża. Więc zaczął opowiadać, żeby wszystko zostało powiedziane przed śmiercią. Robert L. nikogo nie oskarżał, żadnej rasy, żadnego narodu, oskarżał człowieka. Gdy skończył się horror, Roberta L., umierającego, majaczącego, stać było jeszcze na to, żeby nikogo nie oskarżać, poza rządami, które pojawiają się i znikają w historii narodów. Chciał, żeby D. i Beauchamp powtórzyli mi po jego śmierci to, co powiedział. Tego samego wieczoru dotarli do granicy francuskiej, od strony Wissembourga. D. zadzwonił do mnie: „Dojechaliliśmy do Francji. Przed chwilą przekroczyliśmy granicę. Będziemy na miejscu jutro przed południem. Musi się Pani spodziewać najgorszego: nie pozna go Pani”. Kolację zjedli w oficerskiej mesie. Robert ciągle mówił, ciągle opowiadał. Kiedy wszedł do mesy, wszyscy oficerowie wstali i zsalutowali przed Robertem L. Robert L. nie zauważył tego. Takich rzeczy nigdy nie zauważał. Mówił o męczeństwie Niemców, o tym męczeństwie, które jest wspólne wszystkim ludziom. Opowiadał. Tego wieczoru powiedział, że przed śmiercią chciałby zjeść pstrąga. W opustoszałym Wissembourgu, znalazł się pstrąg dla Roberta L. Zjadł kilka kęsów. Potem znowu mówił. Mówił o miłosierdziu. Słyszał kilka kazań Wielebnego Ojca Riquet, i wtedy powiedział to tajemnicze zdanie: „Kiedy ktoś wspomni o chrześcijańskim miłosierdziu, ja odpowiem: Dachau”. Nie skończył tego zdania. Tej nocy

spali koło Bar-sur-Aube. Robert L. spał kilka godzin. Do Paryża dotarli przed południem. Tuż przed przyjściem na ulicę Saint-Benoit, D. zadzwonił jeszcze raz do mnie: „Dzwonię do Pani, aby Panią uprzedzić, że to jest straszniejsze od wszystkiego, co można sobie wyobrazić. On jest szczęśliwy”.

Usłyszałam zduszone krzyki na schodach, jakieś zamieszanie, odgłos kroków. Potem trzaśnięcia drzwi i krzyki. To już. To oni wrócili z Niemiec.

Nie mogłam go wyminąć. Zeszłam na dół, żeby uciec. Beauchamp i D. podtrzymywali go pod pachami. Zatrzymali się na pierwszym piętrze. Patrzył w górę.

Nie wiem dokładnie. Chyba na mnie popatrzył, poznał mnie i uśmiechnął się. Zawylałam, że nie, że nie chcę patrzeć. Pobiełam z powrotem na górę. Wylałam, to pamiętam. Wojna wychodziła z mojego ciała tym wyciem. Sześć lat bez krzyku. Znalazłam się u sąsiadów. Wmusili we mnie trochę rumu, wlewali mi go prosto do ust. Wśród krzyków.

Nie wiem już dokładnie, kiedy znalazłam się na wprost niego, Roberta L. Pamiętam tylko jeden wielki szloch w domu, to, że lokatorzy długo stali na klatce schodowej, że drzwi zostały otwarte. Potem dopiero powiedziano mi, że dozorczyńni udekorowała drzwi wejściowe do budynku na jego przywitanie, i że kiedy on tylko przeszedł przez nie, natychmiast wszystko zerwała, i zamknęła się w swoim mieszkaniu, nikogo do siebie nie dopuszczając, żeby płakać.

W moich wspomnieniach w pewnym momencie hałas ustaje i widzę go. Ogromny. Przede mną. Nie poznaję go. Patrzy na mnie. Uśmiecha się. Pozwala, żeby na niego patrzeć. W jego uśmiechu widać nienormalne zmęczenie, zmęczenie kogoś, komu udało się dożyć do tej chwili. To po tym uśmiechu nagle go poznaję, ale jakby z bardzo daleka, jakbym go widziała na końcu jakiegoś tunelu. To uśmiech zawstydzenia. Przeprasza, że tu jest, zredukowany do tego odpadu. A potem uśmiech znika. I on znowu staje się kimś nieznanym. Ale świadomość, że ten nieznanym to on, Robert L., w całym swoim istnieniu, nie znika.

Chciał obejrzeć mieszkanie. Podtrzymaliśmy go, i obszedł wszystkie pokoje. Jego policzki marszczyły się, ale nie odklejały się od szczęk, uśmiech widać było tylko w jego oczach. Kiedy wszedł do kuchni, zobaczył ciasto, które zrobiliśmy dla niego. Przestał się uśmiechać: „Co to jest?”. Powiedzieliśmy mu. Z czym to jest? Z czereśniami, teraz jest sezon. „Mogę zjeść? – Jeszcze nie wiemy, lekarz musi się wypowiedzieć”. Wrócił do salonu, położył się na kanapie. „Więc nie

mogę tego zjeść? – Jeszcze nie. – Dlaczego? – Bo już były w Paryżu przypadki, kiedy za szybko podano jedzenie więźniom, którzy wrócili z obozu”.

Przestał pytać, co się wydarzyło w czasie jego nieobecności. Przestał nas widzieć. Na twarzy znowu pojawił się ogromny, niemy ból, bo znowu odmówiono mu jedzenia, bo nadal jest tak, jak w obozie. I tak jak w obozie, zgodził się na to w milczeniu. Nie widział, że płakaliśmy. Nie widział także, że z trudem przychodziło nam patrzeć na niego, z trudem mogliśmy mu odpowiadać.

Przyszedł lekarz. Zatrzymał się nagle, z ręką na klamce, bardzo blady. Spojrzał na nas, potem spojrział na tę formę leżącą na kanapie. Nie rozumiał. A potem zrozumiał: ta forma nie umarła jeszcze, pływała między życiem a śmiercią, i zadzwoniliśmy do niego, lekarza, żeby spróbował podtrzymać ją jeszcze trochę przy życiu. Lekarz wszedł. Podszedł do formy, a forma się do niego uśmiechnęła. Ten lekarz będzie przychodził parę razy dziennie przez trzy tygodnie, o dowolnej porze dnia i nocy. Kiedy tylko strach stawał się za silny, dzwoniliśmy do niego, przychodził. Uratował Roberta L. On także dał się ponieść gorącej woli uratowania Roberta L. przed śmiercią. Udało mu się.

Kiedy zasnął, wynieśliśmy ciasto z domu. Nazajutrz pojawiła się gorączka, przestał mówić o jakimkolwiek pożywieniu.

Gdyby coś zjadł od razu po powrocie z obozu, jego żołądek rozdarłby się pod ciężarem pożywienia, albo jego ciężar położyłby się na sercu, które, w przeciwieństwie do żołądka, w jaskini jego chudości stało się ogromne: biło tak szybko, że nie można było policzyć uderzeń, nie można było powiedzieć właściwie, że bije, ale że drży, jakby się czegoś potwornego przestraszyło. Nie, nie mógł jeść i nie umrzeć. A z drugiej strony nie mógł nadal pozostać bez jedzenia i nie umrzeć. Na tym polegała cała trudność.

Walka zaczęła się bardzo wcześnie, ze śmiercią. Trzeba było postępować z nią bardzo ostrożnie, taktownie i zręcznie. Otaczała go ze wszystkich stron. Ale jednak istniał jeszcze sposób, żeby go osiągnąć, ta szczelina nie była duża, szczelina, przez którą można było się z nim porozumieć, ale życie jednak było w nim, zaledwie coś w rodzaju drzazgi, ale jednak drzazga. Śmierć stale przypuszczała atak. 39,5 pierwszego dnia. Potem 40. Potem 41. Śmierć się męczyła. 41: serce drgało jak struna skrzypiec. 41, ciągle, ale drga. Serce, myśleliśmy, serce nie wytrzyma. Ciągle 41. Śmierć uderza swoim pyskiem, ale serce jest głuche. To niemożliwe, serce się zatrzyma. Nie.

Papka, powiedział lekarz, łyżeczką od kawy. Sześć, siedem razy dziennie podawaliśmy mu papkę. Jedna łyżeczka papki sprawiała, że się dusił. Przywierał do naszych rąk, szukał powietrza i opadał na łóżko. Ale połykał. I także sześć do siedmiu razy dziennie chciał iść do ubikacji. Podnosiliśmy go biorąc go za kolana i pod ramiona. Ważył chyba około trzydziestu siedmiu–trzydziestu ośmiu kilo: kości, skóra, wątroba, wnętrzności, mózg, płuco, wszystko razem: trzydzieści osiem kilo rozłożone na ciele długości stu siedemdziesięciu ośmiu centymetrów. Sadzaliśmy go na wiadrze, którego brzegi wyłożone zostały małą poduszeczką: tam, gdzie stawy wychodziły ze skóry, skóra stawała się bardzo wrażliwa. (*Mała siedemnastoletnia Żydówka z ulicy Faubourg du Temple ma łokcie, które przedziurawiły skórę na ramionach, z pewnością z powodu jej młodego wieku i wrażliwości skóry, staw wyszedł na wierzch, zamiast zostać w środku, wychodzi nagi, czysty, nie bolą ją ani stawy, ani brzuch, z którego usunięto, jeden po drugim, w regularnych odstępach, wszystkie organy rodne*). Kiedy już siedział na wiadrze, wypróżniał się nagle, w ogromnym, nieoczekiwanym, wylbrzymionym bulgocie. To, czego serce nie mogło z siebie wyrzucić, odbył nie mógł zatrzymać, wyrzucał całe wnętrze. Wszystko, lub prawie, wyrzucało swoje wnętrze, nawet palce nie utrzymują już paznokci, wyrzucają je też. Tylko serce nadal zatrzymuje swoje wnętrze. Serce. I głowa. Błędny wzrok, ale głowa wspaniała, szlachetna, tylko ona wystawała poza tę truparnię, wynurzała się, pamiętała, opowiadała, rozpoznawała, domagała się. Mówiła. Mówiła. Głowa trzymała się ciała dzięki szyi, tak jak na ogół głowy się trzymają, ale ta szyja była do tego stopnia zwężona – można było ją objąć jedną ręką – do tego stopnia wysuszona, że nie wiadomo było, jak życie przez nią przechodzi, mała łyżeczka papki z trudem tamtędy przechodziła i wszystko zatykała. U podstawy szyja znajdowała się pod kątem prostym w stosunku do ramienia. W górnej części, szyja wchodziła do środka kręgosłupa, przylepiała się do górnych szczęk, okręcała się jak bluszcz dookoła wiązań. Na przestrzał widać było kształt kręgów, tętnicę szyjną, ścięgna nerwów, krtań, widać było, jak przepływa krew: skóra była cieniutka jak bibułka do robienia papierosów. Wyrzucał więc z siebie tę kleistą rzecz w kolorze ciemnozielonym, która kipiała, gównno, jakiego jeszcze nigdy nikt nie widział. Kiedy już się wypróżnił, kładliśmy go z powrotem, był skrajnie wyczerpany, oczy w półprzymknięte, przez długi czas.

Przez siedemnaście dni to gównno wyglądało tak samo. Było nieludzkie. Oddziało go od nas bardziej niż gorączka, bardziej niż chudość, niż palce bez paznokci, niż ślady po uderzeniach SS. Dawaliśmy mu złocisto-żółtą papkę, papkę dla niemowląt, a ona wychodziła z niego ciemnozielona jak

szlam z bagna. Zamknięte wiadro wydawało z siebie bulgotanie rozbijających się o powierzchnię baniek. Mogłoby to przypominać jakąś ogromną plwocinę, lepki śluz. Kiedy tylko wychodziło z niego, pokój napełniał się odorem, który nie był odorem rozkładu, odorem trupa – zresztą czy w jego ciele było jeszcze coś, co by się nadawało na trupa – lecz raczej odorem rozkładającego się próchna, suchych liści, takich, które leżą w zbyt gęstych warstwach ściółki leśnej. Był to zaiste odór ponury, gęsty jak odblask tej gęstej nocy, z której się wynurzał, i której my nigdy nie poznamy. *(Opierałam się na żaluzjach, ulica przechodziła pod moimi oczami, ponieważ oni nie wiedzieli, co dzieje się w tym pokoju, miałam ochotę im powiedzieć, że w tym pokoju, ponad nimi, pewien mężczyzna wrócił z obozów niemieckich, i żyje).*

Oczywiście w obozie grzebał w śmietnikach, żeby znaleźć coś do jedzenia, jadł trawę, pił wodę z silników, ale to wszystkiego nie tłumaczyło. Postawieni wobec rzeczy nieznaney, szukaliśmy jakiegoś wytłumaczenia. Mówiliśmy sobie, że może tu, przed naszymi oczami, jadł swoją wątrobę, śledzionę. Skąd można wiedzieć? Skąd wiedzieć, co ten żołądek zawiera jeszcze nieznanego, jaki ból?

Przez siedemnaście dni wygląd tego gówna się nie zmieniał. Przez siedemnaście dni to gówno nie wyglądało, jak coś znanego. Za każdym razem, kiedy robił kupę, siedem razy dziennie, wachamy ją, patrzymy na nią, nie rozpoznając jej. Przez siedemnaście dni chowamy przed jego wzrokiem to, co z niego wychodzi, podobnie jak chowamy przed nim jego własne nogi, stopy, jego ciało, nieprawdopodobne.

Nigdy nie przyzwyczailiśmy się do tego widoku. Nie można było się do tego przyzwyczaić. Nieprawdopodobne było to, że on jeszcze żył. Kiedy ludzie wchodzili do pokoju i widzieli tę formę przykrytą prześcieradłem, nie mogli znieść tego widoku, odwracali wzrok. Wielu wychodziło i już nie wracało. On nigdy nie zauważył naszego przerażenia, nigdy, ani razu. Był szczęśliwy, przestał się bać. Nosił go od gorączki. Siedemnaście dni.

Pewnego dnia gorączka opada.

Po siedemnastu dniach śmierć się zmęczyła. Już nie bulgotce w wiadrze, staje się wodnista, ciągle jest zielona, ale ma już nieco bardziej ludzki zapach, zapach ludzki. A pewnego dnia gorączka opada, wstrzyknięto mu dwanaście litrów serum, i pewnego dnia gorączka opada. Leży pod swoimi dziewięcioma poduszkami, jedna pod głową, dwie pod ramionami, dwie pod rękami, dwie pod stopami; bo to wszystko nie mogło znieść swojego własnego ciężaru, trzeba było, żeby puch pochłonał ten ciężar, unieruchomił go.

I pewnego razu, pewnego ranka, gorączka wychodzi z niego. Gorączka powraca, ale opada znowu. Znowu wraca, trochę mniejsza, i opada znowu. A potem pewnego ranka on mówi: „Jestem głodny”.

Kiedy gorączka była wysoka, głód zniknął. Powrócił, gdy gorączka opadła. Pewnego dnia lekarz powiedział: „Spróbujmy, spróbujmy dać mu coś jeść, zacznijmy od soku wyciśniętego z mięsa, jeśli to znieśie, proszę mu to podawać, ale jednocześnie dawać mu wszystko, najpierw małymi porcjami, zwiększając porcje co trzy dni, za każdym razem trochę więcej”.

Przed południem chodzę od restauracji do restauracji na Saint-Germain-des-Près, szukając wyciskarki do mięsa. Znajduję na bulwarze Saint-Germain, w jakiejś dużej restauracji. Nie mogą mi pożyczyć. Mówię, że to dla więźnia politycznego, który jest w bardzo złym stanie, że to kwestia życia lub śmierci. Kobieta zastanawia się, mówi: „Nie mogę Pani tego pożyczyć, ale mogę Pani wynająć, tysiąc franków dziennie (*sic*)”. Podaję swoje nazwisko, adres, daję kaucję. Mięso kupuję po cenie kosztów w restauracji Saint-Benoit.

Świetnie trawił sok wyciśnięty z mięsa. Więc po trzech dniach zaczął jeść pokarmy twarde.

Jego głód wywołał jego głód. Ten głód stał się coraz większy, nienasycony. Przybrał przerażające proporcje.

Już nie karmiliśmy go. Kładliśmy dania przed nim, zostawialiśmy go samego, a on jadł. Funkcjonował. Robił wszystko to, co trzeba robić, żeby żyć. Jadł. Było to zajęcie, które zajmowało mu cały czas. Czekał godzinami na jedzenie. Pochłaniał, nie wiedząc, co je. Potem oddalaliśmy talerz z jedzeniem, a on czekał, żeby jedzenie wróciło.

On sam zniknął, na jego miejscu pojawił się głód. Pojawiła się otchłani, wróciła na swoje miejsce. On oddaje wszystko otchłani, wypełnia to, co było puste, odarte z wszystkiego wnętrzości. To właśnie robi. Jest posłuszny, służy, zaopatruje jakąś tajemniczą funkcję. Skąd wie, że to chodzi o głód? Jak może zrozumieć, że tego właśnie potrzeba? Posiada tę dziwną wiedzę, która nie ma sobie równej.

Je kotlet z baraniny. Potem ze spuszczonego wzrokiem ssie kość, uważając, żeby nie zostawić ani jednej cząsteczki mięsa. Potem bierze następny kotlet z baraniny. Potem trzeci. Nie podnosząc wzroku.

Siedzi w salonie pogrążonym w półmroku, w fotelu, obok na w pół otwartego okna, otoczony poduszkami, obok ma swoją laskę. W spodniach jego nogi

unoszą się w powietrzu jak inwalidzkie kule. Kiedy jest słońce, jego dłonie stają się tak przezroczyste, że wszystko przez nie widać.

Wczoraj z ogromnym wysiłkiem zbierał z podłogi okruchy chleba, które spadły mu na spodnie. Dzisiaj już kilka zostawia.

Kiedy je, zostawiamy go samego w pokoju. Już nie musimy mu pomagać. Wrócił do sił na tyle, żeby móc utrzymać tyżeczkę, widelec. Ale kroimy mu mięso. Zostawiamy go samego z jedzeniem. Unikamy rozmów w sąsiednich pokojach. Chodzimy na palcach. Patrzymy na niego z odległości. Funkcjonuje. Nie ma jakichś potraw, które by mu smakowały bardziej, niż inne. Coraz mniej jest takich potraw. Pochłania wszystko, istna otchłań. Kiedy potrawy nie pojawiają się dość szybko, szlocha i mówi, że go nie rozumiemy. Przedwczoraj po południu ukradł chleb z lodówki. Kradnie. Mówimy mu, żeby uważał, żeby nie jadł za dużo. Wtedy płacze.

Patrzyłam na niego, stojąc w drzwiach salonu. Nie wchodziłam. Przez dwa-trzy tygodnie, patrzyłam, jak je, nie mogąc się do tego przyzwyczaić, tkwiąc w nieustannej radości. Czasami ta radość sprawiała, że ja też płakałam. Nie widział mnie. Zapomniał o mnie.

Siły wracają.

Ja też zaczynam z powrotem jeść, z powrotem spać. Przybieram na wadze. Będziemy żyć. Tak jak on, przez siedemnaście dni, nie mogę jeść. Tak jak on, przez siedemnaście dni nie spałam, czy też zdaje mi się, że nie spałam. Naprawdę śpię dwie-trzy godziny na dobę. Zasypiam gdzie bądź. Budzę się w przerażeniu, to potworne, za każdym razem wydaje mi się, że kiedy spałam, on umarł. Ciągle mam w nocy trochę gorączki. Lekarz, który przychodzi do niego, niepokoi się też o mnie. Zapisuje mi jakieś zastrzyki. Igła łamie się, natrafiając na mięsień w moim udzie, z powodu skurczy mięśnie są jak z kamienia. Pielęgniarka nie chce już mi robić zastrzyków. Brak snu powoduje problemy ze wzrokiem. Przytrzymuję się mebli, żeby móc chodzić, podłoga ugina się pode mną, boję się, że się poślizgnę. Jemy mięso, z którego wycisnęliśmy sok dla niego. Smakuje jak papier, jak wata. Już niczego nie gotuję, robię tylko kawę. Czuję się bardzo blisko śmierci, której chciałam. Jest mi to obojętne, i nie myślę już nawet o tym, że jest mi to obojętne. Moja tożsamość przemieściła się. Jestem tylko tą, która się boi, kiedy się budzi rano. Tą, która chce zamiast niego. Moja osoba jest tu, w tym pragnieniu, i to pragnienie, nawet kiedy Robert L. czuje się bardzo źle, jest niewyraźalnie silne, bo Robert L. jeszcze żyje. Kiedy zmarł mój mały braciszek, i moje malutkie dziecko,

straciłam także ból, był on w pewnym sensie bez przedmiotu, zbudowany na przeszłości. Teraz nadzieja jest całkowita, ból jest wrośnięty w nadzieję. Czasami dziwię się, że nie umarłam: lodowato zimne ostrze wbite głęboko w żywe ciało, dzień i noc, a pomimo to żyje się.

Siły powracają.

Uprowadzono nas przez telefon. Przez miesiąc ukrywaliśmy przed nim tę wiadomość. Jak już nabrał sił, podczas pobytu w Verrière-le-Buisson, w ośrodku rekonwalescencji dla więźniów obozów, powiedzieliśmy mu o śmierci jego młodszej siostry, Marii-Luizy L. Było to nocą. Oprócz mnie była jego najmłodsza siostra. Powiedziałyśmy mu: „Musimy Ci powiedzieć o czymś, co żeśmy ukrywały przed Tobą”. Powiedział: „Ukrywacie przede mną śmierć Marii-Luizy”. Do rana zostaliśmy razem w pokoju, nie mówiąc o niej, nie mówiąc. Wymiotowałam. Chyba wszyscy wymiotowaliśmy. Siedząc na łóżku, z rękoma opartymi na lasce, powtarzał słowa: „Dwadzieścia cztery lata”, nie płakał.

Siły powróciły jeszcze bardziej. Któregoś dnia powiedziałam mu, że będziemy musieli się rozwieść, że chcę mieć dziecko z D., że inaczej będzie problem z nazwiskiem, które to dziecko będzie nosić. Zapytał mnie, czy jest możliwe, żebyśmy kiedyś się znowu zeszli. Powiedziałam, że nie, że nie zmieniałam zdania od dwóch lat, od kiedy poznałam D. Powiedziałam mu, że nawet gdyby D. nie było, nie zostałabym z nim. Nie zapytał mnie o przyczyny, dla jakich odchodzę, ja też mu ich nie wyjawiałam.

Któregoś razu jesteśmy w Saint-Jorioz nad jeziorem Annecy, w domu wypoczynkowym dla więźniów obozów. Jest to hotel-restauracja przy drodze. Jest sierpień 1945, tam dowiadujemy się o Hiroszimie. Ciężar wrócił, jeszcze większy. Nie ma siły nieść ciężaru z poprzedniego okresu. Chodzi z tą laską, którą ciągle mam przed oczyma, gruba, z ciemnego drewna. Czasami jakby chciał uderzyć tą laską, ściany, meble, drzwi, nie ludzi, nie, ale wszystkie te rzeczy, które napotyka na drodze. Nad jeziorem Annecy jest także D. Nie mamy pieniędzy, żeby iść do hoteli, za które będziemy płacić.

Nie pamiętam, żeby przebywał blisko nas podczas tego pobytu w Sabaudii, otaczają go jacyś obcy ludzie, znowu jest sam, nie mówi ani słowa, o czym myśli. Coś ukrywa. Jest ponury. Na skraju drogi, pewnego ranka, ten ogromny tytuł w jakiejś gazecie: Hiroszima.

Wydaje się, że chce bić, że jest zaślepiiony przez jakąś złość, przez którą musi przejść, zanim zacznie z powrotem żyć. Po Hiroszimie, tak mi się zdaje, rozmawia z D. D. to jego najlepszy przyjaciel. Hiroszima to chyba pierwsza rzecz, jaka przydarzyła się na zewnątrz jego życia, którą dostrzeża, o której czyta.

Innego razu, to było przed Sabaudią, siedzi na tarasie kawiarni Flore. Jest dużo słońca. Chciał iść do Flore „żeby sobie popatrzeć”, jak powiedział. Kelnerzy witają się z nim. I wtedy znowu go widzę, krzyczy, wali łaską w ziemię. Boję się, żeby nie zbił szyb. Kelnerzy patrzą na niego, bliscy płaczu, skonsternowani, bez słowa, a potem widzę, jak siada i długo nic nie mówi.

Potem upłynęło jeszcze trochę czasu.

To było pierwsze lato pokoju, 1946.

To było na jakiejś plaży we Włoszech, między Livorno a La Spezia.

Minał rok i cztery miesiące, od kiedy wrócił z obozów. Wie już o swojej siostrze, od wielu miesięcy wie o naszym rozstaniu.

Stoi tu, na plaży, patrzy, jak zbierają się ludzie. Nie wiem, kto. Jak on patrzy, jak on się stara zobaczyć, to właśnie umierało pierwsze w moim wyobrażeniu jego śmierci w Niemczech, kiedy czekałam na niego w Paryżu. Czasami siedzi długo nic nie mówiąc, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ciągłe jeszcze nie może się przyzwyczaić do śmierci swojej młodszej siostry: dwadzieścia cztery lata, ślepa, z odmrożonymi stopami, ostatnie stadium gruźlicy, przewieziona samolotem z Ravensbrück do Kopenhagi, umarła w dniu przyjazdu, był to dzień podpisania rozejmu. Nigdy o niej nie mówi, nigdy nie wypowiada jej nazwiska.

Napisał książkę o tym, co, jak przypuszcza, przeżył w Niemczech: *Gatunek ludzki*²⁹. Kiedy książka została napisana, wydana, już nigdy więcej nie mówił o niemieckich obozach koncentracyjnych. Nigdy nie wymówił tych słów. Nigdy więcej. Nigdy więcej nie wymówił tytułu książki.

To dzień *libeccio*³⁰.

W tym świetle, które towarzyszy wiatrowi, ustaje myśl o jego śmierci.

Leżę obok Ginetty, poszłyśmy plażą pod górę, zanurzając się głęboko w trzciny. Rozebrałyśmy się. Wychodzimy ze świeżości kąpieli, słońce pali tę świeżość, ale jeszcze jej nie dosięgnęło. Skóra dobrze ochrania. W górnej części moich żeber, w zagłębieniu, na skórze, widzę, jak bije moje serce. Chce mi się jeść.

Inni zostali na plaży. Grają w piłkę. Robert L. nie gra. Jeszcze nie.

Ponad trzcinami widać zaśnieżone stoki kamieniołomów marmuru w Carrare. Jeszcze wyżej góry lśniące od bieli. Z drugiej strony, nieco bliżej, widać Monte Marcello, tuż nad ujściem La Magra. Nie widać wioski Monte Mar-

²⁹ Robert Antelme, *L'Espèce humaine*, ukazała się we Francji w 1947 roku. Książka nie została wydana po polsku. (Przypis tłum.).

³⁰ Silny wiatr występujący we Włoszech i na Korsyce. (Przypis tłum.).

cello, tylko wzgórze, lasy figowe, i na samym szczycie ciemne stoki pokryte drzewami sosnowymi.

Słychać: śmieją się. Zwłaszcza Elio. Ginetta mówi: „Słyszysz, śmieje się jak dziecko”.

Robert L. nie śmieje się. Leży pod parasolem. Ciągle jeszcze nie może znieść słońca. Patrzy, jak grają.

Wiatrowi nie udaje się przedostać przez trzciny, ale przynosi nam odgłosy z plaży. Panuje potworny upał.

Ginetta bierze dwie połówki cytryny, daje mi jedną. Wyciskamy cytrynę nad otwartymi ustami. Sok z cytryny kapie kropla po kropli do gardła, spada na nasz głód i uzmysławia nam jego głębię, jego siłę. Ginetta mówi, że cytryna to świetny owoc na taki upał. Mówi: „Popatrz, jakie ogromne są te cytryny z równiny Carrare, mają grubą skórę, która je chroni przed słońcem, ich sok jest taki, jak sok z pomarańczy, ale mają ostry smak”.

Ciągle słychać graczy. Roberta L. ciągle nie słychać. To właśnie w tej ciszy wojna jest wciąż jeszcze obecna, przenika przez piasek, przez wiatr.

Ginetta mówi: „Bardzo żałuję, że nie znałam Cię, kiedy czekałaś na powrót Roberta”. Uważa, że jest on w dobrej formie, ale ma wrażenie, że się bardzo szybko męczy, można to zwłaszcza zauważyć, kiedy chodzi, kiedy pływa, widać to po tej jego tak bolesnej powolności. Ponieważ nie znała go przedtem, mówi, że nie może być pewna tego, co mówi. Ale obawia się trochę, że on już nigdy nie odnajdzie formy przed obozu.

Kiedy tylko słyszę to imię, Robert L., płaczę. Ciągle płaczę. Będę płakać całe życie. Ginetta przeprasza i już nic więcej nie mówi.

Codziennie myślę, że będę mogła mówić o nim, a ja ciągle jeszcze nie mogę. Ale tego dnia mówię jej, że myślałam, że pewnego dnia stanie się to możliwe. I że już coś napisałam o tym powrocie. Że próbowałam powiedzieć coś o tej miłości. Że to było wtedy, podczas jego agonii, wtedy właśnie najlepiej poznałam tego mężczyznę, Roberta L., że wtedy pojęłam już na zawsze, jaki to był człowiek, co było jemu, i tylko jemu, właściwe, jemu, nikomu i niczemu innemu na tym świecie, że mówiłam o tej szczególnej wytworności Roberta L., tej wytworności i elegancji, które były mu właściwe, dzięki którym mógł przejść przez obozy, o inteligencji, miłości, książkach, polityce, i o całej niewyraźności dni, o tej jego tak szczególnej gracji, złożonej po równo z rozpaczy nas wszystkich.

Upał stał się nieznośny. Założyłyśmy z powrotem kostiumy kąpielowe, przebiegłyśmy plażę. Wbiegłyśmy prosto do morza. Ginetta popłynęła daleko. Ja zostałam na brzegu.

Libeccio się uspokoił. Albo był to jakiś inny dzień bez wiatru.

Albo był to inny rok. Inne lato. Inny dzień bez wiatru.

Morze było niebieskie, tu, przed nami, kiedy na nie patrzyłyśmy, i nie było fal, tylko bardzo łagodny ruch wody, oddech podczas głębokiego snu. Inni przestali grać i przykucnęli na piasku na ręcznikach plażowych. On wstał i podszedł do morza. Podeszłam do brzegu. Spojrzałam na niego. Zauważył, że na niego patrzę. Marszczył oczy zza okularów i uśmiechał się do mnie, potrząsał powoli głową, jakby chciał sobie zażartować. Wiedziałam, że wie, że wie, że przez wszystkie godziny, przez cały dzień, codziennie, myślałam o tym: „Nie, on nie umarł w obozie koncentracyjnym”.

Marguerite Duras
przełożyła Agnieszka Grudzińska



Agnieszka Grudzińska

„W czterech ścianach mego bólu...”*

Kwiecień 1945 rok. Wojna ma się zaraz skończyć. Wojna się skończyła. Europa się cieszy. De Gaulle kroczy triumfalnie po Polach Elizejskich: porażka Niemiec sprawiła, że jego wybór polityczny – zorganizowanie Ruchu Oporu kierowanego z Londynu – okazał się słuszny. Przez długi jeszcze czas Francja będzie mówiła o Londynie, nie o Vichy. O bohaterach, nie o zdrajcach. O nowym, wspaniałym świecie, nie o więźniach obozów. Jeszcze długo nie dotrze do świadomości Europy wiedza o tym, co działo się w gettach, obozach, na frontach.

Marguerite Duras przez całą wojnę, którą spędziła w Paryżu, mieszkając przy ulicy Saint-Benoît, w Dzielnicy Łacińskiej, pisała. Notowała wszystko aż do roku 1949. Zachowała swoje zapiski, większość z nich to projekty później wydanych książek, jak *Tama na Pacyfiku*. Cztery zeszyty nazwane zostały przez pisarkę „Zeszytami wojennymi” („*Cahiers de la guerre*”). To bardzo ważne teksty, w których jest mowa o zasadniczych dla życia i twórczości pisarki wydarzeniach: śmierć pierwszego dziecka – żyło zaledwie kilka dni, śmierć jej „małego braciszka”, działalność w Ruchu Oporu, kiedy to Marguerite, wraz z późniejszym prezydentem Francji François Mitterrandem (noszącym pseudonim François Morland), torturowała towarzysza podejrzanego o zdradę

* z: Aleksander Wat, *Wiersze*, Kraków 1957, cykl *W okolicach cierpienia*.

i uwodziła z sukcesem – dla słusznej sprawy – policjanta współpracującego z rządem Vichy, który zaarrestował jej męża (po wojnie zostanie on rozstrzelany, głównie na podstawie zeznań Duras). Opisuje też aresztowanie, wywózkę do obozu i powrót jej męża, Roberta Antelme’a, narodziny w 1947 roku Jeana, syna Marguerite i Dionysa Mascolo. Ten ostatni miał zresztą córkę z... żoną owego konfidenta Gestapo, a zeznania Marguerite były jakoby zemstą zdrażonej, zranionej kobiety. Całe towarzystwo, pomimo wojny, niebezpieczeństwa (a może właśnie dlatego) żyło ryzykowną pełnią życia.

Dwa z tych zeszytów, które jakoby zapodziała w „pomalowanych na niebiesko szafach w Neauphle-le-Chateau”, jak pisze we wstępie, i odnalazła w 1985 roku, wyjdą w tym samym roku pod tytułem *Ból* (*La Douleur*). Krytycy zarzucać jej będą manipulację: według nich, nie jest możliwe, aby ten tekst był pisany pod koniec wojny, jego cudowne odnalezienie jest chwytem pisarki, która chce po latach „wy tłumaczyć” swoje postępowanie, istotnie dalekie od ogólnie przyjętej mieszczańskiej moralności. Duras poczuła się zraniona tymi uwagami. Trzeba jednak przyznać, że styl tego autobiograficznego tekstu zbliżony jest w dużym stopniu do tak charakterystycznego później „durasowskiego sznytu”: niezwykle współcześnie brzmiące, suche, ubogie, pozornie obiektywne zdania, w których zawarty jest cały tragizm sytuacji, wybuchający z ogromną siłą, porównywalną do bolesnych reakcji fizycznych protagonistów tego dziwnego opowiadania.

Ból to zapis czekania, oczekiwania przez Marguerite Donnadiu (właściwe nazwisko Duras) na jej męża, Roberta Antelme’a (w tekście Robert L.), który za udział w Ruchu Oporu został wysłany do Buchenwaldu, i nie wraca, podczas gdy ci, co przeżyli, już przyjechali. Żyje? Nie żyje? Kiedy Antelme, czy też to, co z niego zostało, w końcu wróci, to pytanie będzie właściwie ciągle aktualne, nie wiadomo, czy „ta forma” jest jeszcze człowiekiem. „Zastanówcie się, czy to jest człowiek”, jak by powiedział Primo Lévi. „Musisz wiedzieć – pisze Antelme w liście do swojego przyjaciela – że w czasie pierwszych dni [po powrocie, A.G.], kiedy leżałem w swoim łóżku, kiedy rozmawiałem z wami, z Tobą, a zwłaszcza z Marguerite, nie byłem stworzeniem z tej ziemi”.

Antelme napisze wkrótce książkę o swoich obozowych przejściach zatytułowaną *Rodzaj ludzki* (*L’espèce humaine*), która ukaże się w 1947 roku. Jest to jedno z pierwszych świadectw o nazistowskim systemie obozowym (*Medaliony* Zofii Nałkowskiej ukazały się w 1946, poza opowiadaniem *Przy torze kolejowym*, wydanym w 2010 roku, do dziś nie zostały przetłumaczone na francuski). Tekst Antelme’a jest równie pozbawiony „wzruszających” opisów i płacznego patosu, co tekst Duras. „Przytaczam tu tylko to, co sam przeżyłem. Nie ma

tu jakiegoś gigantycznego horroru. (...) Horror, to ciemność, absolutny brak wszelkich odniesień, samotność, bezustanny terror, powolne unicestwienie. (...) Motywacją do walki, prowadzonej niemal zawsze samotnie, było wściekłe domaganie się od samych siebie, aby do końca pozostać ludźmi”.

Marguerite w czekaniu i w opiece nad Antelme’em towarzyszy jej i jej męża najlepszy przyjaciel, Dionys Mascolo (w tekście D.). Są parą od 1942 roku. Robert L. nie wie o tym. Powiedzą mu dopiero, jak nieco wydobrzeje. Na razie są inne, ważniejsze, dużo pilniejsze sprawy, trzeba mu ratować życie.

Obraz chorego, wycieńczonego, zagłodzonego Roberta L. – człowieka bez ciała – jest tak potworny, że pierwszym odruchem Marguerite na jego widok jest ucieczka. Tyle się naczekała, sama wpędziła się w chorobę, jest w kompletnej hysterii, ma halucynacje, zawroty głowy, nie może zasnąć bez silnych leków przeciwbólowych. O jej nienajlepszym stanie zdrowia, skołatanych nerwach, ambiwalentnych uczuciach dowiemy się z tekstu bardzo dużo. Duras pisze w sposób hermetyczny, a jednocześnie otwarty, denerwująco egotyczny, narcystyczny. Babrze się w swoim ciele, sercu, głowie. Kiedy opisuje opłakany stan Roberta L., robi to jakby z żalem, jakby z obowiązku, żeby zaraz potem znowu wrócić do opisu własnego cierpienia, własnego bólu. Nawet lekarz, który przychodzi do chorego byłego więźnia niemieckiego obozu, niepokoi się stanem Marguerite. Ją też trzeba leczyć!

A jednak właśnie te kilka stron o fizyczności, czy wręcz fizjologii tego, który wrócił z obozowego piekła, zawierają w sobie tak wiele. Obóz i powrót z obozu to były przede wszystkim krew, pot i łzy. Kał niepodobny do ludzkiego kału, smród, rany, wystające kości, pękająca skóra, niewidzące oczy. Inny świat. Chyba to właśnie najlepiej opisuje obozowe *universum*. Zresztą tę fizyczność ludzkiej kondycji w obozie przekaże także Antelme w swojej książce, gdzie nie znajdziemy opisów komór gazowych, krematoriów, właściwie nie ma tam przemocy – jest nagi człowiek, którego ciało jest bólem, a jedynym celem – przeżycie. Kiedy się czyta zestawione razem oba te tak różne teksty – Duras i Antelme’a – uderza dziwna między nimi korespondencja, tajemne porozumienie.

Najważniejszą sprawą w obozie i po wyjściu z niego jest głód i jego zaspokajanie. Obsesja głodu, jedzenia, doboru odpowiednich potraw, przeżuwanie, wydalania, oglądania, wdychania zapachu i nadstuchiwanie odgłosów kipiących wydzielin. Zaangażowane są w to wszystkie wyostrzone do granic wytrzymałości zmysły świadków powrotu do życia Antelme’a. Jego natomiast charakteryzuje najbardziej swoista psychiczna nieobecność, niewidzenie siebie samego, no i brak wstydu, wstyd to jedno z uczuć właściwe „normalnemu” światu, nie ma

na niego miejsca w innym świecie. Antelme jest dosłownie jedną nogą na tamtym świecie. Nie zajmuje się takimi rzeczami jak zasady dobrego wychowania, konwenanse, zwracanie uwagi na innych. Ma co innego do roboty: czepia się życia. Każda część jego wyniszczonego ciała czepia się kurczowo życia.

Ów fizjologiczny opis wracania do życia jest ważniejszy dla zrozumienia, czym był obóz, niż umoralniające dyskursy na temat „zachowania człowieczeństwa w warunkach ekstremalnych”. „Ta forma” wahająca się między życiem a śmiercią nagle staje się metonimią obozu, wojny, ludzkiego okrucieństwa i ludzkiego cierpienia. Obraz tego ciała zastępuje opis obozu, o którym i bez realistycznych szczegółów wiemy wszystko.

To także tekst o trudnej, bolesnej sztuce przyjęcia do wiadomości tego wszystkiego, co działo się w obozach. O niemożliwości, nieumiejętności wysłuchiwania ofiar (te szybko się zresztą zniechęca, po co mówić, nikt nie słucha), braku woli patrzenia na ofiary. A przecież to właśnie spojrzenie, otwarte oczy, wymagają również największego bohaterstwa. Nie wszyscy się na nie zdobyli. Kiedy otworzyły się obozy, można było zamknąć oczy, spuścić wzrok, nie umieć powstrzymać paniki, wstrętu, strachu. Wytworzyć (w) sobie na długo strategię obronne, pancerz, zbroję. Nie chceć widzieć, nie chceć wiedzieć. Życie bez tej wiedzy. Życie jest piękne, po co nam ona.

We wspomniałym filmie o miłości i śmierci Alaina Resnais *Hiroszima, moja miłość*, do którego scenariusz i dialogi napisała Marguerite Duras, można znaleźć sporo – dalekich – odniesień do *Bólu*. Miłość Francuzki do Niemca w Nevers, w czasie okupacji, za które to „przewinienie” zostaje ona po wyzwoleniu napiętnowana i ogolona przez ludzi uważających się za pełnoprawnych sędziów ludzkich uczuć. I to zdanie, które stanie się zdaniem „wzorcowym”, kiedy wspomina się o niemożliwości poznania horroru przez pozorny tylko ogląd. Bohaterka filmu mówi pod koniec do swojego japońskiego kochanka, który ją oprowadzał po Hiroszynie: „Wszystko widziałam w Hiroszynie”. Ale on, który widział skutki bomby atomowej, odpowiada jej stanowczo: „Niczego nie widziałas w Hiroszynie”.

Marguerite Duras nikomu nie prawi morałów – nie bardzo ma do tego prawo – ale zdaje się nam mówić, że takie życie, kiedy nie chce się widzieć/wiedzieć naprawdę, to nie jest prawdziwe ani spełnione życie. I że to nie takie życie może nam zagwarantować, że horror się nie powtórzy.

Agnieszka Grudzińska



Barbara Bray

O Marguerite Duras

Marguerite Duras zaczęła pisać sztuki w połowie lat pięćdziesiątych. Pierwszą ważną inscenizacją w Paryżu był *Le Square*. Dramat ten, jak większość swoich tekstów, redagowała i przepisywała wielokrotnie, raz był dłuższy, raz krótszy. Sam [Beckett] widział tę inscenizację, podobała mu się, zasugerował, żeby sztukę zrealizować w BBC. Byłam redaktorem naczelnym Działu Słuchowisk w *Radio 4*, którym później kierował Martin Esslin. Naszym celem było zapoznanie słuchaczy z najważniejszymi osiągnięciami literatury i nowego dramatu, tak brytyjskiego jak i europejskiego. Bardzo mi zależało na umiędzynarodowieniu zespołu naszych autorów. Sam zachęcił mnie do przetłumaczenia tekstu Duras, posłuchałam go, później postanowiłam także reżyserować jej teksty. Poznałam Marguerite najprawdopodobniej w okresie realizacji *Le Square*. Bardzo szybko się zaprzyjaźniłyśmy, nie tylko na planie profesjonalnym. Pamiętam, znalazłam młodą Angielkę, która w ramach wymiany szkolnej przyjechała do syna Duras, Jeana, nawiasem mówiąc wielkiego urwisa. Dobrze poznałam Marguerite, a także jej ówczesnego partnera, na krótko przed jego śmiercią. Byłyśmy jak niebo i ziemia, całkowicie różne.

No ale może właśnie dlatego, że byliśmy tak różnego usposobienia, nasze stosunki układały się bardzo dobrze. Dopełniałyśmy się. Myślę, że nasze punkty widzenia były tak odległe, że nie warto było nawet dyskutować o różnicach poglądów.

W tamtym okresie Marguerite wystukiwała zazwyczaj na maszynie swoje teksty, czasami dawała je komuś do przepisania na maszynie z rękopisu, potem wysyłała je mnie i muszę powiedzieć, że pełno w nich było pomyłek i sprzeczności. Często chwytalam za telefon i mówiłam jej: Marguerite, w tej kwestii ktoś mówi jedną rzecz, a za chwilę pojawia się coś kompletnie innego, wręcz sprzecznego. Wtedy prosiła, bym przeczytała na głos, co jest w jej własnym tekście. Czytałam, a ona na to: „Ale to mi się podoba, zostawmy tak, jak jest”. Nawet kiedy znalazło się tam jakieś nieistniejące słowo. Nieustannie zmieniała swoje teksty, uzupełniała, ponownie przepisywała, przerabiała, z filmów robiły się sztuki teatralne, prozę adaptowała na scenę, a ze sztuki robiła prozę, zdarzało się jej także wydawać dwie różne wersje tekstu w tym samym gatunku literackim, zmieniała dowolnie anegdotę i zakończenie. Cały czas coś sobie notowała, korygowała, i trudno było w tym doszukać się wytłumaczenia, z jakiego powodu i w jakim celu – zmiany te były bowiem całkowicie arbitralne. Wiedziałam, że ktoś, kto spróbuje uporządkować jej teksty, będzie miał piekielne zadanie, choćby zrozumieć, czemu służą wszystkie te zmiany. No, może nie były one całkowicie arbitralne, ale przypadkowe, jeśli zmieniła coś w tekście przypadkiem, wprowadzała tę zmianę w sposób arbitralny, zazwyczaj arbitralny. Mimo to byłam pod wielkim wrażeniem jej dzieł, choć, jak wspomniałam, byliśmy jak ogień i woda.

Co do przyjaźni na gruncie prywatnym, to po jakimś czasie niespecjalnie chciałam ją kontynuować, ponieważ w gruncie rzeczy, tak naprawdę, w głębi serca, nie lubiłam towarzystwa, w którym Marguerite się obracała. Byli to pisarze, dziennikarze, artyści, ludzie z tak zwanych środowisk twórczych. Większość z nich raczej złośliwie i uszczypliwie wyrażała się o innych, jedni do drugich nie byli nastawieni zbyt przyjaźnie, często całymi nocami się wyklócali, prawie zawsze pod wpływem alkoholu. To mi się zdecydowanie nie podobało. Kiedyś, w czasie takiego wieczoru u Duras, na który, pamiętam, przyszła Jannet Flanner – pisała korespondencje z Paryża do tygodnika „New Yorker” – oraz żona Gerorge’a Orwella, Sonia, zostałam dosłownie zgnieciona przez całą grupę, stałam u dołu schodów i naraz wszyscy dosłownie się na

mnie zwalili. Nie chciałam być miażdżona na śmierć zbyt często [śmiech]. Trochę się więc odsunęłam od tego kręgu.

No, ale przyjechałam zaproszenie Marguerite, abym jej towarzyszyła, w okolicach 1958 roku, na festiwal Sztuki Nowoczesnej w Holandii. Dość zwariowane to było, wzięła z sobą Jeana. To był syn z małżeństwa z Dionysem Mascolo – za którego wyszła po rozwodzie z Robertem Antelme – biedne dziecko, biedaczek, choć tak naprawdę był z niego niezły gagatek, zresztą to była ich wina, wciąż zostawiali go samego, kłócili się w jego obecności, ona mówiła, że ma zrobić to, a Mascolo, że coś zupełnie innego. Wysłali go do szkoły z internatem ponieważ niezbyt dobrze się uczył. Drażnili się z nim, czuł się od nich gorszy, więc starał się zachowywać tak niegrzecznie jak tylko potrafił. Za każdym razem, kiedy miałam wyjść na kolację z Dionysem i Marguerite, robiła się z tego wielka afera, Jean rozpoczynał sceny, nie chciał iść spać, wszyscy naraz obrzucali się wyzwiskami, to było straszne! Tak, bili go, wiem, Marguerite też była bita w dzieciństwie, to mnie wcale nie dziwi. Żyli bardzo chaotycznie, wciąż ta nerwowość, po co wychodzić z domu, jeśli coś takiego się dzieje? Jeanowi nie brakowało inteligencji, po prostu chciał jak najbardziej przeszkadzać. Marguerite bardzo była tym przygnębiona, kochała go, no ale to była po prostu nieszczęśliwa rodzina. Unikałam Duras później, ale nie przestałam tłumaczyć jej książek.

No więc wtedy, w drodze do Holandii, to był wyjazd oficjalny, poprosiła, bym z nią tam pojechała, cała wyprawa okazała się dosyć przyjemna, nawet zabawna, no ale Marguerite wzięła z sobą chłopca i oczywiście nie obyło się bez awantur. W drodze powrotnej, za Antwerpią, w pociągu był niegrzeczny i nieposłuszny, tak się zachowywał, że ludzie w przedziale zagrozili, że jeśli nie przestanie i nie uspokoi się, to będzie musiał opuścić pociąg! Żenujące.

To był międzynarodowy festiwal sztuki i muzyki, spektakle teatralne i różne dyskusje, setki ludzi z całej Europy, ale znowu wytworzyła się sytuacja surrealistyczna. Gdy tylko dotarliśmy na miejsce, okazało się, że wszystko spowiła gęsta mgła, nie widać było czubka nosa. W tym centrum sztuki na wszystkich ścianach były malowidła ściennie Magritte'a, dzień i noc mieliśmy wokół siebie Magritte'a, aż do obłędu, a na zewnątrz cały czas ta mgła, nikt nigdzie nie wychodził, to było nad samym morzem, w pewnym momencie, po południu, Marguerite, która czuła się jak w klatce, miała już dosyć, podniosła się nagle z miejsca, otworzyła duże, przeszklone drzwi i ruszyła bez słowa przed siebie,

nie oglądając się. Rozpłynęła się we mgle, jakby weszła do morza, po pewnej chwili wszyscy za nią pobiegli i próbowali skłonić do powrotu, w końcu to im się udało. Gest zupełnie pozbawiony sensu, ale zapamiętałam go, całkiem w jej stylu. To mi się podobało. Lubiłam ją.

W pewnym sensie miałyśmy podobne poczucie humoru, czasami. Tylko, że Marguerite była taka... intensywna, i śmiertelnie poważna, najmniejszego dystansu nie miała w stosunku do siebie, była bez reszty skupiona na sobie. Mówiła na przykład: „Skonczyłam tę sztukę, jest cudowna, wspaniała”, albo: „Myślę, że ten tekst jest naprawdę doskonały”, tak jakby wypowiadała się o jakimś – innym – geniuszu. Komuś, kto, jak ja, obdarzony jest krotocwilnym poczuciem humoru, kto jest raczej typem żartownisia, trudno to pojąć, to się wydaje niepoważne, trudno pojąć, jak można tak poważnie brać swoje dzieło, nie mieć w stosunku do niego żadnego dystansu.

Uważam, że Duras była geniuszem, uważam, że niektóre jej utwory należą do najważniejszych dzieł prozy XX wieku, chociaż sporo jej tekstów jest wyłącznie na pokaz i nie ma wielkiej wartości. Nie zgadzam się z tymi jej wielbicielami, którzy twierdzą, że każde jej słowo ma wartość Ewangelii. W moim mniemaniu była osobowością wewnętrźnie podzieloną, o wielu obliczach.

Wydaje mi się, że już w jej wczesnych utworach zawarte zostało w zarodku wszystko, co ma znaczenie dla całej jej twórczości. Na przykład w opowiadaniu *Le Boa* wyartykułowane są tematy kluczowe dla późniejszych dzieł. Kiedy jednak później w swoich utworach zaczęła pisać o kazirodztwie i seksie i różnych tego typu sprawach, straciły one, według mnie, na znaczeniu.

Tak. Poza tym podejmując tematy polityczne, zdarzało jej się nieco zagałopować. No i jeszcze morderstwo – to osobny temat. W sumie, po refleksji, nie sądzę, żeby to wszystko było tak szalone, jak mogło się wtedy wydawać, ponieważ już bardzo wcześnie – i tu będę się jednak upierać przy tym, żeby wciąż sięgać do jej wczesnych utworów – stworzyła swój własny, osobny, zakodowany język. Kiedy Duras mówi *crime* (ang. „przestępstwo”), po francusku to słowo, w odróżnieniu od angielskiego *crime*, czyli „złamania prawa”, zazwyczaj oznacza „morderstwo”, przestępstwo pozbawienia życia. *Crime* to dla niej synonim morderstwa, to słowo najczęściej sygnalizuje jakąś apoteozę przestępstwa, rozumianego przez nią jako coś, co w pewnych okolicznościach *musiało być* popełnione.

Z jej perspektywy, zbrodnia była pewnym gestem przeciwko burżuazyjnemu społeczeństwu. Kiedy w tekście Duras ktoś popełnia zbrodnię, albo kiedy na bohatera utworu kreuje ona zbrodniarza, przestępcę, to moim zdaniem nie wynika z tego, że sądzi, iż bycie przestępcą jest czymś heroicznym, lecz raczej postrzega przestępców jako ludzi, którzy chcą wstrząsnąć ustalonym porządkiem, występują przeciw mieszczańskiej cywilizacji, którą Duras uważała za straszną. Weźmy np. *Les petits cheveux de Tarquinia*, kiedy zbiegły więzień poznaje kobietę z warstw średnich. *Pseud Corner* – w brytyjskim piśmie satyrycznym „Private Eye” był taki dział, w którym zamieszczano bez żadnego komentarza publiczne wypowiedzi o pretensjonalnym i pseudointelektualnym charakterze – i moje nazwisko tam się znalazło po emisji programu BBC *Critics*, w którym wypowiadałam się o Duras. Angolicy są jak wiadomo, bardzo nieufni i sarkastyczni wobec czegokolwiek, co wydaje im się przeintelektualizowane. No ale jak wytłumaczyć językiem krytyki coś, co czytelnik powieści, nawet niewyrobiony, od razu pojmie bez trudu?

Mówiłam wtedy, że Duras naprawdę udało się pokazać, jak umysły dwojga ludzi spotykają się w połowie drogi, oddziałują, nakładają się na siebie, zderzają się, czasami kolidują, tak że diametralnie różne typy psychiczne wchodzą w dialog, a my, czytając o tym lub oglądając w teatrze, mamy wrażenie, że dwie odrębne jednostki psychiczne składają się na jedną całość, sumują w jedną całość, zupełnie różną od nich wziętych z osobna. Przywykliśmy usprawiedliwiać swoje działania, a innych potępiać za czyny, które podciąga się pod jakieś miano, którymi nakleja się etykiety odnoszące się do społecznych stereotypów, tymczasem Duras potrafi zbliżyć się do ludzi, którzy mimo iż tak bardzo różnią się psychiką, usposobieniem, charakterem, można powiedzieć wszystkim, to przecież stają się jednym, osiągają zrozumienie i porozumienie, zazwyczaj poza słowami. Duras, którą na ogół uważa się za autorkę piszącą nie o ludziach prawdziwych, rzeczywistych, tylko „wymyślonych”, za sprawą owego światła, które nagle zabłyśka w ludziach, zbliża, łączy z sobą, daje charakterystykę psychologiczną bezpośrednio wziętą z życia i bardzo rzeczywistą. Myślę, że to bardzo u niej cenne. Mówię tu oczywiście tylko o jednym aspekcie jej dzieła, ale już choćby to czyni z Duras bardzo oryginalną i kreatywną pisarkę, być może najbardziej kreatywną autorkę dwudziestego wieku.

Jej kluczowym tekstem, moim zdaniem, była konwencjonalna, dość konwencjonalna stylistycznie, autobiograficzna powieść o dzieciństwie, której

późniejszą wersją był *Kochanek*, ale oryginał nosił tytuł *Tama na Pacyfiku*, chyba najbardziej udana jej rzecz, najbogatsza, wszystko ważne u Duras już w niej jest, to powieść bardzo specyficzna, dziwna, powieść, która porusza, olśniewa. Jeżeli ktoś chce zrozumieć Duras, a rozszyfruje *Tamę na Pacyfiku*, będzie potrafił odnaleźć się w większości tego, co później wyszło spod jej pióra. Marguerite dożyła sędziwego wieku, jej twórczość zmieniała się w poszczególnych fazach, w niektórych bracia sypiali z siostrami, bohaterowie wyczyniali rozmaite, raczej niecodzienne rzeczy. Trudno było mi takie utwory tłumaczyć, nie jestem pruderyjna, ale tego typu teksty to dla mnie gonienie za sensacją. Nie uważam ich za najważniejsze. No a potem napisała książkę której bohaterem był Yann Andrea. Znałam go, był bardzo miły, wydaje mi się, że Marguerite chciała zadrwić sobie z konwencji solidności mieszczańskiej jego kosztem. Nie robiła tajemnicy z tego, o kim była ta książka, nie miała zahamowań. No a on pisał potem o niej.

Co jeszcze? Były utwory, w których identyfikuje się z Żydami. Nie można jej odmówić dobrych intencji, ale jeśli ktoś bierze siebie zbyt poważnie, nie-trudno popełnić impertynencję, utożsamiając się z ludźmi, którzy powiedzą: Nie, dziękujemy, sami sobie poradzimy, bez niczyjej pomocy.

Marguerite umiała wspaniale tworzyć atmosferę, ale na ogół z domieszką jakiejś... jak by to nazwać? propagandy, tendencyjności, jakiejś dziwnej agitacji, z tego powodu wiele z tego, co napisała, jest dla mnie zbyt arbitralne. Uważam jednak, że jest jedną z geniuszy stulecia, geniuszowi wolno jest robić nonsensowne rzeczy, przesadne, oni potrafią z przesadzonych, przerysowanych rzeczy zrobić coś interesującego.

Oczy niebieskie czarne włosy czy *Chory na śmierć*...? Utwory z lat osiemdziesiątych napisane są z wielką wprawą, bardzo zgrabnie – nie należą jednak do moich ulubionych. Myślę, że odznaczam się pewną wrażliwością na poezję, ale jestem z natury pragmatyczna, po co mam się zmuszać, żeby czuć coś, czego zwykle nie czuję, mieć myśli, które są mi obce? Poza tym wszystkie te uwagi o tym, kto przychodzi, kto wychodzi, kto opiera się o ścianę, a kto leży, ja tego nie czuję, wydaje mi się to natrętne, wręcz... chorobliwe.

Marguerite, w odróżnieniu od Sama, nie miała w stosunku do siebie zmysłu krytycyzmu. Otaczała się pochlebami, którzy utwierdzali ją w przekonaniu, że jest centrum układu słonecznego, że wszystko, co napisała, jest takie wspaniałe. Żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy – albo żaden nie odważyłby

się na to – by jej powiedzieć: „Na twoim miejscu, zostawiłbym to na jakiś czas w szufladzie, raczej nie nadaje się jeszcze do druku”. A ona sama nie miała absolutnie poczucia dystansu wobec tego, co pisała, napisawszy niepotrzebne trzy zdania, nie była w stanie ich skreślić, choć tekst by na tym skorzystał. Była przekonana, że wszystko, co wyszło spod jej pióra, było cudowne.

Alkohol? Powiem tak: najlepsze jej dzieła można komentować trafnie i kompetentnie w ogóle nie biorąc alkoholu pod uwagę, nie mają związku z jej nałogiem. Prawdopodobnie potrzebowała alkoholu ze względu na... na napięcie nerwowe, ze względu na swój charakter, usposobienie, dosyć hulawczy tryb życia, jakąś rolę odgrywało też to, że przestawała z ludźmi, którzy sporo pili. Nie sądzę jednak, że... nie, jej proza, jej najlepsza proza jest bardzo trzeźwa, bardzo precyzyjna.

Alkohol pozwalał jej się skoncentrować? Hmm, niewątpliwie do pisania potrzebowała maksymalnej koncentracji, ale nie przez alkohol, wydaje mi się, że w jej wypadku skupienie pisarskie to wynik prawdziwej emocji, o wielkim stopniu intensywności, oraz równie intensywnego skupienia mózgu, intelektualnego. Mogę powiedzieć, jako że tłumacząc, *nolens volens* ma się jak pod mikroskopem całą tkankę słowną utworu. Z bliska? Tak...

Teksty pozornie proste w lekturze są w rzeczywistości bardzo trudne do przetłumaczenia, ale moim zdaniem nie ma jakiejś uniwersalnej metody, przekonać się o tym można metodą prób i błędów. Pamiętam, kiedy wysłałam tłumaczenie *Kochanka* redaktorowi [ukazało się w 1985 roku w Random House i Collins, przyp. M.K.], napisał wprawdzie, że świetne, ale zaczął sugerować: „A może by tak to zostawić tutaj, a tamto zastąpić czymś innym”. Natychmiast odpowiedziałam: w żadnym wypadku. Przyznał mi potem rację i napisał: tak, zgadzam się całkowicie. Zgodził się dopiero kiedy zrozumiał, że aby oddać tę dziwność tekstu oryginalnego, idiosynkrazje Duras, tłumacz również powinien dać ponieść się słowom i pozwolić sobie wejść w rodzaj transu. Gdyby zasiać do tłumaczenia całkowicie na zimno i tłumaczyć w ten sposób to, co chciała powiedzieć Duras w *Kochanku*, to byłoby tak, jakby zamiast szaty z egzotycznego jedwabiu uszyć coś z pospolitej bawełny. W przypadku pisarza, który w swojej twórczości porusza się w jakimś innym wymiarze, tłumacz również powinien spróbować wkroczyć w inny wymiar, własny inny wymiar. Inaczej czytelnik nie otrzyma czegoś choćby zbliżonego charakterem do dzieła w oryginale. Tak było z tekstami Duras. Były one zresztą wypadkiem

ekstremalnym, bo w jej wypadku, jeśli się tego nie uchwyci, kiedy się czyta jej tekst tłumaczony słowo w słowo, lektura niczego nie daje, czytelnik nie odnajdzie w tym żadnego sensu.

Przeżycia z czasów wojny w decydujący sposób ukształtowały Duras jako powieściopisarkę. Przetłumaczyłam książkę najbardziej bezpośrednio odnoszącą się do jej doświadczeń wojennych, *Ból*. O powrocie jej męża z obozu koncentracyjnego. Tak, miała wrogów, którzy twierdzili, że właściwie powinno się ją nazwać kolaborantką. Była w ruchu oporu, brała w nim aktywny udział, niektórzy uważają jednak, że jej triki wobec Gestapo i milicji faszystowskiej, tak jak i jej reakcje na triki Gestapo wobec niej, kwalifikują się już właściwie jako kolaboracja, ale z tym zdecydowanie bym się nie zgodziła. A już mówiąc o jej twórczości, w ogóle nie może być mowy o jakiejś nagannej postawie moralnej. Marguerite oczywiście, swoim zwyczajem, przesadzała i jak zwykle zbyt była powtarzalna, ale to miało szlachetne pobudki, tak. „Wszyscy są Żydami”, pisała, stawiając znak równania między Ofiarą a Żydem. Ofiarami wojny padło bardzo wielu Żydów – zgoda. Ja też jestem pochodzenia żydowskiego, ale uważam, że to nazbyt dydaktyczne i retoryczne. No, ale szanuję to, z jakim uporem przy tym obstawała, i jak silnie w jej książkach dochodzi do głosu kategoriyczny sprzeciw wobec wojny. Dzięki temu ten temat pozostał żywy, inaczej uległby szybciej zapomnieniu.

Nie, o wojnie nie rozmawialiśmy zbyt często. O apoteozie kolonii w tekstach sprzed wojny, pisanych na zamówienie ministerstwa, nie słyszałam, ale nawet jeśli, to były inne czasy i nie można do tego przykładać dzisiejszej miary. Zresztą kiedy się czyta *Tamę na Pacyfiku*, to nie ma się wątpliwości co do uczuć i odczuć Duras w stosunku do opresji i kolonializmu. Potępienie niesprawiedliwości w stosunkach międzyludzkich z powodu różnic rasowych ma przecież kluczowe znaczenie dla jej dzieła.

Tak, odwiedzałam ją w pewnym okresie dość często, ale nie po to, by u niej czy z nią pracować, miałam pytania, odpowiadała na nie, konsultowałam z nią pewne sprawy dotyczące tłumaczeń. Za dużo nie rozmawialiśmy o jej twórczości, zwłaszcza o jej twórczości w aspekcie ogólnym. Nie widziałam jej, kiedy pisała. Kiedy pisała, kiedy miała fazę intensywnej pracy, żyła w innym wymiarze, naprawdę znajdowała się w innym świecie.

Barbara Bray
przełożył i opracował Marek Kędziński

Marek Kędzierski

Marguerite Duras i Barbara Bray

Marguerite Donnadiu, urodzona w skolonizowanym przez Francuzów Sajgonie, opuściła Indochiny w 1932 roku, w wieku osiemnastu lat, i rozpoczęła studia w Paryżu. Z kierunku matematycznego przeniosła się po krótkim czasie na wydział prawa, po zdobyciu tam licencjatu w 1936 roku studiowała jeszcze ekonomię polityczną. Doświadczenie z zamorskich terytoriów podbudowane paryskimi studiami oraz błyskotliwą inteligencją, wspartą urokiem osobistym, pomogły jej w wieku dwudziestu pięciu lat zdobyć pracę w Ministerstwie do Spraw Kolonii, najpierw w serwisie informacji i dokumentacji, następnie w „komitecie propagandy banana francuskiego”. Jej pierwsza publikacja ukazała się kilka tygodni przed atakiem Hitlera na Francję – był nią napisany wspólnie z Philipem Roquesem esej polityczny *L’empire francais*, który opublikowało wydawnictwo Gallimard na zamówienie Ministerstwa. Klasyfikacja ras pod kątem przydatności do obrony imperium francuskiego (europejska, dalekowschodnia, bliskowschodnia i czarnoafrykańska, w tej kolejności) miała czynić wiarygodną tezę autorów, że w obliczu germańskiego barbarzyństwa jedynym ratunkiem dla Francji są własne kolonie.

We wrześniu 1939 roku Donnadiu poślubiła trzy lata młodszego kolegę ze studiów, Roberta Antelme. Na okupowanym już przez Niemców St. Germain, wpływowy powieściopisarz i lektor Gallimarda, Ramón Fernandez wyszukał im mieszkanie we własnej kamienicy przy rue Saint-Benoît. U Fernanda bywali nie tylko rodzimi kolaboranci, jak Céline i Drieu la Rochelle, ale i nazistowscy oficjałowie w rodzaju dyrektora Deutsches Institut czy szefa Propaganda Abteilung. Na schodach zdarzało się pewnie Marguerite minąć dyplomata o wyszukanych manierach i nienagannej elegancji, Otto Abetza, którego imieniem ochrzczono niesławną „listę Otto” – spis książek umieszczonych przez okupanta na indeksie. W następstwie bardziej obopólnej niż dobrowolnej ugody między francuskimi wydawcami i księgarzami a władzami nazistowskimi lista „zaleceń” wprowadzała do życia wydawniczego w okupowanej Francji zasadę autocenzury. Mocne sugestie Propaganda Abteilung dotyczyły usunięcia ze sprzedaży tysięcy książek, z grubsza biorąc autorów żydowskiego pochodzenia lub lewicowych przekonań, a z biegiem czasu również wszystkich niemal pisarzy rosyjskich i anglosaskich. Prawie pół miliona egzemplarzy wycofano z rynku, dżentelmeńska umowa dawała jednak wydawnictwom pewną swobodę manewru – dodając teksty kolaborantów, zwłaszcza w czasach, kiedy wojna sprzyjała okupantom, wydawnictwa mogły liczyć na kurtuazyjne przymykanie oka przez oddelegowanych do Kulturkampf oficerów z Rzeszy, pośród których sporo było entuzjastów literatury francuskiej. Nawet w księgarniach w centrum Paryża można było kupić spod lady nie tylko Claudela, Duhamela, Malraux, Maurois, lecz także Heinego, Freuda, Einsteina czy... H.G. Wellsa.

Skutecznym środkiem niezbyt z zewnątrz brutalnego, „cywilizowanego” manipulowania ruchem wydawniczym była reglamentacja papieru. „Wskazani nam przez Propaganda Abteilung wydawcy, którzy nie zachowali dyscypliny, zostaną skreśleni z listy odbiorców papieru z przydziału”, ostrzegano niesubordynowanych w okólniku komisji o nazwie „Comité d’organisation du livre”. Wnioski o przydział papieru należało składać w komórce administracyjnej o nazwie „La comission du contrôle du papier d’édition”. To właśnie w niej miała swoje biurko starsza referentka komisji przydziału papieru, Marguerite Donnadiu.

Tylko nieliczne wydawnictwa, na przykład Calman-Lévy przerwały pracę, nie chcąc kompromisów z niemieckim okupantem, albo nie wydawały tekstów sympatyzujących z ideą narodowego socjalizmu, jak Editions du Cerf. Gallimard nie mógł sobie na to pozwolić, dlatego zdecydował się w imię (w miarę)

świętego spokoju w innych działach, oddać redakcję prestiżowej „Nouvelle Revue Française” panu Drieu la Rochelle, jak już wspomniałem, częstemu gościowi Ramona Fernandez przy rue St. Benoît. Marguerite Donnadiu, posyłając do Gallimarda rękopis swej pierwszej, jeszcze nieporadnej stylistycznie i konstrukcyjnie powieści o rozczarowaniach miłosnych wrażliwej dziewczyny z prowincji, *Les impudents (Aroganci)*, nie omieszkła zauważyć, że należy już do kręgu autorów wydawnictwa, przypominając o publikacji *Imperium francuskiego*.

Jednym z interesantów referentki Donnadiu był pracownik Gallimarda, przystojny Dyonis Mascolo, w którym Marguerite błyskawicznie się zakochała. Wkrótce stał się on także duchowym bratem jej męża Roberta. Okupacja była zrazu dla młodej intelektualistki doświadczeniem ekscytującym i uczącym życia nie bez pewnego dreszczyku (sprzecznych) emocji. Marguerite przyjęła postawę wyczekującą, wierząc, że da się przeżyć prowadząc cygańskie życie, wypełnione przygodami, kuszeniem losu i romansami – przeżywanymi i pisanymi, bo pierwszą jej powieść wydało wydawnictwo PLON latem 1943 roku, kiedy pisała już drugą, *La vie tranquille (Spokojne życie)*, opublikowaną przez Gallimarda w 1944 roku. Nonkonformistka, spragniona nowych doświadczeń, początkowo spoglądała na – niektórych przynajmniej – okupantów z fascynacją graniczącą niemal z podziwem (Mascolo, ewokując *esprit* tego rodzaju, będzie później mówił, na przykład, o „erotyzmie egzekucji”). Z biegiem czasu jednakże wojna ukazała się jej od swojej realistycznej strony. Pierwszym ciosem dla Duras był syn, który przyszedł na świat martwy w maju 1943 roku, drugim – wiadomość z Indochin o śmierci ukochanego młodszego brata, trzecim – aresztowanie Roberta. Marguerite przestaje pisać powieści, angażuje się politycznie. Zaczynała wojnę tekstem o imperium francuskim, kończy ją, po wstąpieniu do partii komunistycznej, polemicznym tekstem zatytułowanym *Peur des Russes (Strach przed Rosjanami)*. Zewnętrznym znakiem przeobrażenia, tak egzystencjalnego jak i politycznego, jest zmiana nazwiska, którym będzie podpisywać swe teksty. Od tego czasu Donnadiu będzie się nazywała – od miejsca pochodzenia ojca – Duras.

Okres wojny to w biografii Marguerite Duras, tak pisarskiej, jak i osobistej, najważniejszy punkt odniesienia. Z doświadczeń wojennych będzie czerpała do ostatnich lat życia. To podczas okupacji powstał ów swoisty melanż, bez którego Duras nie byłaby Duras. Wtedy doszły do głosu i zostały wyartykułowane literacko wszystkie te sprzeczne namiętności, których się lęka,

a jednocześnie, targana gwałtownymi impulsami, za nimi podąża. Wtedy też zaznaczył się w pełni rozziw między temperamentem, żadnym mocnych wrażeń, a analitycznym umysłem, między żartem (rzadziej) a śmiertelną powagą bez dystansu.

Sądząc po ilości publikacji, a przede wszystkim wysokości nakładów, czasy popularności nowszej literatury francuskiej wśród czytelników skończyły się w Polsce definitywnie niedługo po upadku komunizmu. Być może z tego powodu, choć już w 1960 roku ukazał się przekład *Tamy nad Pacyfikiem*, a w latach dziewięćdziesiątych *Kochanka*, *Kochanka z Północnych Chin*, *Chorego na śmierć* i *Moderato cantabile*, w ostatnim dwudziestoleciu raczej się o niej nie pisało. Tym można zapewne tłumaczyć fakt, że do dzisiaj pozostaje nieznana jedna z podstawowych pozycji kanonu Duras, *Ból (La Douleur)*. Próbujemy tę lukę wypełnić publikacją słynnej powieści w przekładzie i z komentarzem Agnieszki Grudzińskiej. A jednocześnie postać francuskiej pisarki przywołujemy we wspomnieniach jej angielskiej tłumaczki, Barbary Bray, znanej czytelnikom „Kwartalnika Artystycznego” z wypowiedzi o Samuelu Becketcie i Haroldzie Pinterze. Bray opowiadała mi o Duras niedługo po ciężkiej chorobie, której następstwem był częściowy paraliż. Ewokacja dawnych czasów okazała się dla niej remedium na utrapienia terażniejszości. Tłumaczka zaznacza, że postrzega francuską autorkę z własnej perspektywy i nie chce być żadnym autorytetem. Mówiąc o niej w sposób nieskrępowany, może sobie pozwolić na całkowitą szczerość. Jej spostrzeżenia są dla nas cenne właśnie dlatego, że czasami bardzo odbiegają od standardowych wypowiedzi krytyków. Choć łączyła je przyjaźń, bardzo się od siebie różniły, podkreśla.

Dziesięć lat młodsza od Duras, Barbara Bray przyszła na świat w londyńskim Paddington w rodzinie imigrantów z Beneluxu o żydowskich korzeniach. Rodzina nie była zamożna i z tego powodu skorzystała z subwencji rządu brytyjskiego umożliwiającej zakup domu w okolicach Londynu po przystępnej cenie. Dzieciństwo w hrabstwie Middlesex określa Barbara jako podmiejską idyllę. Ojciec, drobny urzędnik, doceniając wagę wykształcenia, nauczył córki czytać i pisać jeszcze nim poszły do szkoły, a jej dyrektor wystarał się dla nich o stypendium na dalszą naukę w *grammar school*. Po wojnie, w czasie której niejednokrotnie Barbara uczyła się w podziemnych schronach, uzyskała państwowe stypendium na studia w Cambridge University, które skończyła z wyróżnieniem. Zaraz potem wyszła za mąż za kolegę ze

studiów, utalentowanego poetę, który służył uprzednio w brytyjskich siłach zbrojnych. Nawigator na pokładzie zestrzelonego przez hitlerowców samolotu RAF-u, trzy lata spędził w obozach w Niemczech i w Polsce, z tego powodu po powrocie do Anglii borykał się nie tylko z problemami zdrowotnymi, ale i psychicznie nie potrafił już dostosować się do wymogów normalnego życia. Wyjechali do zamorskich terytoriów, Bray uczyła angielskiego w Kairze i Aleksandrii, tam też przyszły na świat jej dwie córki. Małżeństwo jednak było nieudane, po rozstaniu z mężem – wkrótce potem zginął śmiercią tragiczną – Barbara wróciła do Londynu. Można doszukiwać się w biografii Duras i Bray punktów wspólnych – obie miały mocne matki, wbrew trudnościom finansowym zdobyły staranne wykształcenie na renomowanych uniwersytetach, obie miały przeszłość „kolonialną” (wietnamska kolonia imperium francuskiego i Bliski Wschód – brytyjskiego), dla obu wielkie znaczenie miała kwestia żydowska, obie były odważnymi intelektualistkami o lewicowych przekonaniach, walczącymi z panującą konwencją. Różnił je przede wszystkim temperament. Duras nie stroniła od prowokacji, zawsze pragnęła stać w świetle reflektorów, Bray wolała usuwać się w cień, Marguerite była skłonna do ekscesów, wodzenia na pokuszenie, przeciągania struny, Barbara – lojalna, trzeźwa, pragmatyczna, racjonalna aż do bólu, po anglosasku swemu czytelnikowi chciała przede wszystkim służyć.

W 1953 roku Bray rozpoczęła pracę w BBC. Jako producentka i redaktorka w dziale dramatu radiowego, lansowała w złotym okresie tego medium czołówkę awangardowej literatury z całego kontynentu, przede wszystkim jednak pisarzy francuskich – lub takich, co pisali po francusku, jak Samuel Beckett, z którym związała się na długie lata, najpierw przy produkcjach radiowych jego utworów, potem jako krytyk i doradca, a wreszcie najlepsza przyjaciółka. Około roku 1960 zamieszkała w Paryżu, jej głównym zajęciem z biegiem czasu stało się tłumaczenie książek z francuskiego, po kilku przeprowadzkach osiedliła się w mieszkaniu przy rue Seguiet, kilkaset metrów od rue St. Benoît.

Za namową Becketta Barbara Bray zainteresowała się twórczością Marguerite Duras i w miarę lat przetłumaczyła większość najważniejszych jej tekstów na angielski. Można śmiało powiedzieć, że do popularności tej autorki w świecie anglosaskim przyczynił się wielce translatorski kunszt Bray – te tłumaczenia krytycy brytyjscy uznali za kongenialne. Bez tandemu Duras–Bray, losy pisarki francuskiej w krajach anglosaskich być może wyglądałyby inaczej.

„Byłyśmy ulepione z innej gliny!”, miała często zwyczaj ostrzegać Barbara Bray, która przez długie lata towarzyszyła Marguerite, jeśli nie w towarzyskich, to w intelektualnych przygodach, wyprawach w strefę myśli, które nie powstałyby, gdyby nie podsunęły ich przedziwne nieraz Durasowskie słowa, kierowane swoistą, niekiedy zdaną na przypadek, gramatyką wyobraźni. W odróżnieniu od krytyków, którzy często piszą o autorce, aby zademonstrować własne tezy, tłumacz taki jak Barbara, wczuwa się w dyskretną tkanekę utworu, którą, czytając pobieżnie, rzadko się zauważa, i próbuje ją, tak jak potrafi, zrekonstruować we własnym języku, od-tworzyć. Bray, kilkakrotna laureatka najważniejszej w krajach języka angielskiego nagrody translatorskiej imienia Scotta Moncrieffa, potrafiła jednakowo bez uprzedzeń od-twarzać wyrafinowane struktury oryginału w wypadku tekstów bardziej zawitych, wręcz zawikłanych, które niezbyt ceniła (w rozmowie ze mną nie waha się nazywać je „wydumanymi”) i tych prostszych, na przykład *Bólu*, w których, w jej mniemaniu, francuska pisarka osiągnęła wyżyny tak stylu, jak i zrozumienia psychiki człowieka. Bray uznaje geniusz Duras nawet wtedy, gdy z rezerwą i dużym sceptycyzmem podchodzi tak do udziwniania przez nią stylu i form narracji, jak inscenizowania własnego życia. W swoich przekładach pozostaje cały czas instancją niewidoczną, niemal przezroczystą, ale kiedy przyjrzymy się im bliżej, na każdym kroku odkryjemy specyficzny dla niej koloryt, w doborze słów, w każdym zdaniu rozpoznamy wrażliwość i kompetencję językową tej usuwającej się w cień, jak Beckett, brytyjskiej robotnicy słowa.

Marek Kędziński

9.09.2011
7.10.2011

W hołdzie Henrykowi Mikołajowi Góreckiemu
FILHARMONIA POMORSKA im. J. Paderewskiego w Bydgoszczy

49. BYDGOSKI FESTIWAL MUZYCZNY

dyrektor naczelny i artystyczny
ELEONORA HARENDARSKA

Honorowy patronat Bogdan Zdrojewski Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

INAUGURACJA FESTIWALU

piątek, 9 IX 2011, godz. 19, Filharmonia
Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Narodowej
w Warszawie
Antoni Wit, dyrygent
Carol Wincenc, flet (USA)
Anna Górecka, fortepian

*Górecki – Male Requiem dla pewnej Polki op. 66,
Concerto Cantata
Lutosławski – Koncert na orkiestrę*

sobota, 10 IX 2011, godz. 19, Filharmonia

Adam Kruszewski, baryton
Krzysztof Bąkowski, skrzypce
Anna Górecka, fortepian

*Górecki – Preludia op. 1 na fortepian solo,
Wariacje op. 4 na skrzypce i fortepian,
Sonatina w jednej części op. 8 na skrzypce i fortepian,
Mała fantazja op. 73 na skrzypce i fortepian,
Trzy pieśni op. 3, Dwie pieśni sakralne op. 30 bis,
I Sonata op. 6 na fortepian solo*

Z OKAZJI ROKU MIŁOSZA

poniedziałek, 12 IX 2011, godz. 19, Filharmonia
„Tryktat rzymski” Jana Pawła II
„Traktat teologiczny” Czesława Miłosza
– dwugłos w sprawach istotnych
w dwóch częściach
czyta Andrzej Seweryn
Włodzimierz Nahorny muzyka i opracowanie muzyczne
gra Nahorny Sextet

wtorek, 13 IX 2011, godz. 19, Toruń

Sala Mieszczańska Ratusza Staromiejskiego
Orkiestra Kameralna Capella Bydgościensis
José Maria Florêncio, dyrygent
Patrycja Piekutowska, skrzypce

*H.M. Górecki – Trzy utwory w dawnym stylu
M. Górecki – Concerto notturno
Kilar – Orawa*

środa, 14 IX 2011, godz. 19, Filharmonia

Paderewski Kwartet Bydgoszcz
Aldona Cisewska, skrzypce I
Marcin Pawełczyk, skrzypce II
Zbigniew Milewski, altówka
Maciej Kamrowski, wiolonczela

*Mozart – Kwartet B-dur KV 458
Górecki – Kwartet nr 1
Beethoven – Kwartet nr 1 op. 18*

KONCERT DLA BYDGOSZCZAN

niedziela, 18 IX 2011, godz. 19.30, Bydgoszcz
Katedra Świętych Marcina i Mikołaja
Chór Opery Nova
Henryk Wierchoń, dyrygent
Górecki – Miserere dla Bydgoszcz

poniedziałek, 19 IX 2011, godz. 19, Filharmonia

Orkiestra Kameralna Polskiego Radia
AMADEUS
Agnieszka Duczmal, dyrygent
Jarosław Zolnierczyk, skrzypce

*H.M. Górecki – Trzy utwory w dawnym stylu
M. Górecki – Divertimento na orkiestrę smyczkową
Twardowski – Koncert na skrzypce i orkiestrę smyczkową
Musorgski – Obrazy z wystawy w opr. Agnieszki Duczmal*

PRZYJACIELE H.M. GÓRECKIEGO

poniedziałek, 19 IX 2011, godz. 19, Toruń
Dziedziniec Ratusza Staromiejskiego
wtorek, 20 IX 2011, godz. 19, Filharmonia
KAPELA JANA KARPIELA BUŁECKI – HURDA
(Zakopane)
muzyka polskich Tatr

W HOŁDZIE H.M. GÓRECKIEMU

piątek, 23 IX 2011, godz. 19, Filharmonia
Orkiestra Symfoniczna Filharmonii
Pomorskiej
Chór Opery Nova w Bydgoszczy
Gabriel Chmura, dyrygent
Iwona Sobotka, sopran
Małgorzata Pańko, mezzosopran
Henryk Wierchoń, przygotowanie Chóru
Mahler – II Symfonia c-moll „Zmartwychwstanie”

DWA ŚWIĄTY

niedziela, 25 IX 2011, godz. 19, Filharmonia
Orkiestra Kameralna Capella Bydgościensis
Adam Klocek, dyrygent
Konstanty Andrzej Kulka, skrzypce
Gaba Kulka, śpiew, fortepian
*Viavaldi – Cztery pory roku oraz utwory Gaby Kulki w stylu
progressywnego popu m. in. King of Rats, Królestwo i pół*

SPECJALNI GOŚCIE FESTIWALU

niedziela, 25 IX 2011, godz. 19, Toruń
Sala Mieszczańska Ratusza Staromiejskiego
poniedziałek, 26 IX 2011, godz. 19, Filharmonia
Cappella Chasydzka – Moskiewski Męski
Chór Żydowski
Alexander Tsaliuk, kierownik artystyczny, dyrygent
Baruch Finkelshtein, bas-baryton
główny kantor Synagogi w Moskwie i Sankt Petersburgu
Alexander Velikovsky, fortepian
muzyka synagogalna i popularne utwory chasydzkie

piątek, 30 IX 2010, godz. 19, Filharmonia

Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Pomorskiej
Zygmunt Rychert, dyrygent
Anna Górecka, fortepian
*H.M. Górecki – Koncert na fortepian
i orkiestrę smyczkową op. 40
M. Górecki – Capriccio
Kilar – Krzesany*

MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ MUZYKI

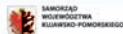
sobota, 1 X 2010, godz. 19, Filharmonia
Młoda Polska Filharmonia
Adam Klocek, dyrygent
Dimitry Vasiliev, skrzypce (Rosja)
Edicon Ruiz, kontrabas (Wenezuela)
Dudu Carmel, obój (Izrael)
*Mendelssohn – Uwertura koncertowa „Hebrydy”
Bach – Koncert na obój i skrzypce BWV 1060
Hoffmeister – Koncert kontrabasowy Es-dur
Preisner – Prawykonanie utworu napisanego
dla Młodej Polskiej Filharmonii
Mendelssohn – IV Symfonia A-dur op. 90 „Włoska”*

ZAKOŃCZENIE FESTIWALU

piątek, 7 X 2010, godz. 19, Filharmonia
Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Pomorskiej
Chór Polskiego Radia w Krakowie
Tadeusz Wojciechowski, dyrygent
Jerzy Mechliński, baryton
Artur Sędzielarz, przygotowanie Chóru
*R. Strauss – Poemat symfoniczny „Życie bohatera”
Górecki – Beatus Vir*

Podczas Festiwalu w foyer Filharmonii czynna będzie wystawa **WILNO MIŁOSZA** zorganizowana przez Muzeum Okręgowe im. Lenina Wyszcholskiego w Bydgoszczy przy współpracy Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Okręgowego im. Lenina Wyszcholskiego w Bydgoszczy. Prezentowane fotografie pochodzą ze zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu.

Filharmonia Pomorska współorganizuje z...
Samorząd Województwa Pomorskiego
Urząd Miasta Bydgoszczy
Urząd Miejski w Toruniu
Urząd Miejski w Gdańsku
Urząd Miejski w Gdyni
Urząd Miejski w Sopotnie
Urząd Miejski w Żarach
Urząd Miejski w Żelazowej Woli
Urząd Miejski w Żyrardowie
Urząd Miejski w Żywiecu
Urząd Miejski w Zielonej Górze
Urząd Miejski w Złoczynie



FILHARMONIA POMORSKA
Im. Ignacego Jana Paderewskiego
ul. Andrzeja Żerewskiego 6, 85-500 Bydgoszcz
tel. 52 321 04 67, fax 52 321 67 32

Kasa czynna w dni powszednie w godz. 14-18
z wyjątkiem dni wolnych od pracy.
Kierownik: Beata Kowalska, tel. 52 321 04 67
Tel. 52 321 04 14 w-mail: biuro@filharmonia.bydgoszcz.pl
Filharmonia zaprasza także przez portal:

FESTIWAL FIDELITY
Kultura
WARSZAWA
SOLBET
TFLAAM
ORTS
Kwartalnik Artystyczny

filharmonia.bydgoszcz.pl



EWA BATHELIER
VESTITO NUDO

Palazzo Zenobio per l'Arte | direzione artistica Marco Agostinelli
in stretta collaborazione con Collegio Armeno Moorat Raphael
e con il Patrocinio di Comune di Venezia
Provincia di Venezia
Regione Veneto

curated by Veronica Veronesi | Galleria OltreDimore

this exhibition includes the installation R.E.D. with Denise Focil
PALAZZO ZENOBIO | Dorsoduro 259 | VENEZIA | SEPT. 8th - NOV. 27th 2011

V A R I A

Krzysztof Myszkowski

Addenda (21)

Wir lektur, wir słów: Ezechiel, Miłosz, Hieronim, Ratzinger, Beckett, Bernhard, Witkacy i Błóński.

Ruch wokół Miłosza. Przegrupowywanie, które jakby samo się dokonywało, chociaż przecież nie dokonuje się samo.

Dobre wieści z Warszawy, dobre wieści z Krakowa i dobre wieści z Wrocławia. Dobre wieści z Gdańska i dobre wieści z Wilna. Dobre wieści z Paryża, ze Strasbourga i z La Pize. Dobre wieści z Torunia.

Zapisy, a właściwie przepisy z jednego zeszytu do drugiego.

Siedzą na rusztowaniach za plandekami i cegła po cegle odnawiają stary mur.

Za dziewiętnaście dni wiosna.

Dowiaduję się, że dżdżownice podchodzą pod powierzchnię, a cebula zrzuca ochronne warstwy.

Światło, którego jeszcze przed trzema tygodniami nawet nie można było sobie wyobrazić.

Kula zachodzącego słońca toczy się nad konarami drzew.

Piasek i skała. To tak, jakby nie mieć nic i mieć coś.

U.J.A. w *Grze z cieniem*: „Myślę, że w wielu sytuacjach szczególnie doniosłych człowiek musi wybrać samotność i dobrowolność tego wyboru pozbawia go prawa do skargi. To nie nieuniknione konieczności bezwzględnego losu czynią nas niejednokrotnie samotnymi, lecz my sami, jeśli posiadamy rozwiniętą świadomość życia własnego i życia w ogóle, samotną kondycję przyjmujemy”.

Piszę, czytam, nikt mi nie przeszkadza, chodzę na spacer, a wieczorami rozmawiam z Julią.

Edyta Stein: „Muszę umrzeć, a nie wiem – kiedy. Muszę umrzeć, a nie wiem – gdzie. Muszę umrzeć, a nie wiem – jak. Ale to wiem: Gdy umrę w grzechu śmiertelnym, będę zgubiona na zawsze. Pozwól mi, Panie, żyć i umierać w Twojej miłości. Amen”. Widzę, jak wszystkie słowa w tym fragmencie są konieczne.

Popiół, Słowo i moja biedna głowa.

Rozlega się i brzmi róg na Syjonie.

Najprostsze i najważniejsze: jest tylko miłość, oprócz miłości nie ma nic.

Blokady się rozluźniły. Czuję to i sprzyjam temu z wszystkich sił. Piekielne kleszcze.

U Mickiewicza: blokady rozumu i blokowanie, czyli obleganie fortecy; jest też podniesienie blokady.

A u Lindego blokada to osaczenie, opasanie, ostęp, dobywanie miejsca obleżonego, fortecy, od której chcą odjąć dowóz żywności.

– Ależ ja pracuję! – mówię. I słyszę: – Czy jednak nie za długo stałeś w miejscu? – Nie niepokój się. – odpowiadam. – Znam moje miary i wiem, że niewiele one mają wspólnego z twoimi.

Pobożne zwyczaje i pobożne życzenia. Zwyczaje i życzenia. Pobożne?

W środku za zamkniętymi drzwiami sam w ciszy i w spokoju ducha.

Czyż nie jest tak, jak mówi Mojżesz do ludu, powołując się na słowa, które Bóg wypowiedział do naszych ojców Abrahama, Izaaka i Jakuba? Położone przed nami są życie i śmierć, błogosławieństwo i przekleństwo i wybór należy do nas, do naszego rozumu i serca.

„Pan ciebie zawsze prowadzić będzie, nasyci duszę twoją na pustkowiach. Odmłodzi twoje kości tak, że będziesz jak zroszony ogród i jak źródło wody, co się nie wyczerpie. Twoi ludzie zabudują prastare zwaliska, wzniesiesz budowle z odwiecznych fundamentów. I będą Ciebie nazywać Naprawcą wyłomów, Odnowicielem rumowisk na zamieszkanie.” – mówi Izajasz.

Proch, duch i tchnienie życia. Jakie to wszystko jest słabe. I jakie mocne.

Cóż to za pozał się Boże przebiegłość, która prowadzi do największej, jaka tylko może być, katastrofy?

Prawo i bojaźń prawa to początek, to długi początek. A nad nimi jest miłość.

Na pustyni, na narożniku świątyni, w Mieście Świętym, na wysokiej górze diabeł kusi słowem Boga.

Słowa demona, które wspomagane i wspierane są przez innych, przez cały ten głośny i bezczelny rój.

Mówi: Bóg jest zły i zła chce dla ciebie. Ja chcę twojego dobra, chodź do mnie i mnie słuchaj, a dostaniesz, co zechcesz.

Po lewej i po prawej stronie: kozły i owce.

Żadnej pewności, że jeżeli pójdziesz dobrą drogą, to odstąpi od ciebie i zostawi w spokoju. Przeciwnie! Bądź pewny, że wtedy uderzy ze zdwojoną siłą i mocą, zaatakuje wścieklej i niebezpieczniej.

Tak jak Bóg jest przy każdym z nas, tak przy każdym z nas jest Zły i ani przez chwilę nie daje za wygraną.

W środku Wielkiego Postu jest Niedziela Radości i róz zamiast fioletu i czerwieni.

To Samuel namaszcza Dawida.

Jest dobre i jest złe postępowanie. Jest albo jedno albo drugie i nie ma innego.

Zamiast służyć, wpadają w gadulstwo i w bełkot, tokują, mnożą słowa bez ładu i miotają nimi na prawo i na lewo.

Jonasz i znak Jonasza. I coś więcej niż Jonasz.

Kwitną forsycje i ledwo się nimi zachwycić, przekwitają.

Jeżeli bardzo chcesz kimś być, to będziesz. Jeżeli bardzo o coś prosisz, to dostaniesz. Jeżeli naprawdę czegoś szukasz, to znajdziesz. Ważne jest chcieć, prosić i szukać. I to jest w twoim zasięgu.

Czy zastanawiałeś się, czy twój sposób życia i postępowania jest słuszny? Czy wiesz, dokąd idziesz, po co i kto ci towarzyszy?

Stopniowe i ostrożne zwiększanie sobie samemu wymagań. I jednocześnie radykalne zmniejszanie i usprawiedliwianie swoich błędów i win – bez stopniowania, bez miar i bez żadnego wstydu.

Czy wiesz, z kim zawarłeś przymierze? Spodziewaj się od niego.

Każdego dnia jesteśmy na górze Tabor i każdego dnia powinniśmy na niej być.

Idę osobno, ale nie idę sam.

Nad Bramą Żeglarską, od strony rzeki, oślepiający blask światła. I długie pasmo cienia wzdłuż murów.

Na jednej szali sądenie i potępienie, a na drugiej dawanie siebie innym. „Odmierzają wam bowiem taką miarą, jaką wy mierzycie”.

Czy wiesz jaka jest twoja miara? Czy trzymasz się jej?

Wiążą, ale nie rozwiązują, rozszerzają i wydłużają, ale nie wyjaśniają, rozpychają się, nastają i nie zważają na innych.

Co jest lepsze: mówienie czy słuchanie? Pisanie czy czytanie? Dawanie czy przyjmowanie?

Z góry – na dół. I z dołu – do góry. Raz tu, raz tam. Tam i z powrotem.

Pouczają i dają rady. Uderzają językiem, nie liczą się ze słowami. Płacą złem za dobro.

Im jest większy, tym jest mniejszy. I im jest mniejszy, tym jest większy. Nie ma innego prawa.

Dziki krzak na stepie i drzewo zasadzone nad wodą. Patrz, jakie są ich losy i patrz, jakie wydają owoce.

Purpura bogacza i łachmany Łazarza, i łono Abrahama.

Jeszcze nie został zapytany, a już mówi nie.

Życie według ducha, i miłość i śmierć. I miłość.

Dwie śmierci Łazarza: źle umarł i umarł jeszcze raz, umarł lepiej.

Diabeł, apostoł śmierci.

Samarytanka, ślepiec i Łazarz. Woda, ciemność i śmierć. Strumień Ducha, strumień światła i strumienie miłości.

„Łazarzu, wyjdź na zewnątrz”.

Czy wiesz, komu powierzyłeś swoją sprawę? Czy to wiesz?

Teraz tutaj rozbiłem swój namiot.

Czy jest gdzieś jeszcze taka laska jak ta, którą Mojżesz uderzył Nil? I czy jest gdzieś ktoś taki jak Mojżesz? To jest skala. I takie powinno być działanie.

Gwiazdy i księżyc na niebie. I tyle wystarczy: niebo, księżyc i gwiazdy.

Meriba i Massa: kuszenie i doświadczanie.

Śnieg i szron, wełna i popiół.

Belzebub – władca złych duchów, potwór, maskara i sprawca masakr.

Jego imię to: Sam przeciw sobie.

Ten, kto przez niego działa, działa przeciw Bogu, a działając przeciw Bogu, działa przeciw sobie.

To są ludzie z porwanymi i poszarpanymi duszami.

Ci, którzy upadają od ciosów wroga i ci, którzy upadają przez swoje winy.

Pokaleczeni i poranieni. Kto ich uleczy?

Świt poranka. Promienie, prędkie chmury i szybko znikająca rosa.

Strzeliste korony topól i ich szeroko rozpuszczone korzenie.

„Pan rzekł do Samuela: – Napełnij oliwą twój róg i idź”.

Mały Dawid, syn Jessego Betlejemity. Gdy Samuel namaścił go oliwą z rogu, duch Pana go opanował.

Ciemne i jasne doliny, ścieżki, zielone pastwiska i życiodajne wody.

„Zamieniłeś w taniec mój żałobny lament”.

Widzimy, jak byli ciosani przez proroków. Przez kogo my jesteśmy ciosani?

Bezowocne czyny ciemności. I jawność, którą osiąga się dzięki światłu.

Na kamiennym krużganku, nad sadzawką, w parku.

Czy mogę powiedzieć ja, że mam życie w sobie?

Cielec u stóp Horebu. Słowa Pana. I to, co trwa w nas.

Ja z jego ducha, w moim mieście.

Łazarz przyjaciel nasz.

Chleb, woda i pokarmy mizerne.

Miedziany wąż na wysokim palu. „Wy jesteście z niskości, a ja jestem z wysoka”.

Dźwięk rogu, fletu, lutni, harfy, psalterium, dud i różnych innych instrumentów.

W ogniu, w brzuchu rozpalonego pieca.

Abram, który stał się Abrahamem.

„Jeżeli Ja sam siebie otaczam chwałą, chwała moja jest niczym” – mówi Pan.

Pęta otchłani i sidła śmierci.

Czyż nie jadę, tak jak On, na osiołku?

Stoję z daleka. Ale, czy stojąc z daleka, nie przybliżam się?

Ogołocenie, kenoza. Ponizenie i wywyższenie.

W ogrodzie Getsemani. Smutek, lęk, trwoga i przerażenie. Opuszczenie i samotność. Modlitwa.

Pole garncarza zwane Polem Krwi.

Wino zaprawione goryczą. Przekleństwa, szyderstwa i potrząsanie głowami.

Ciało, płótno i grób.

Skała i kamień.

Pieczenie i straż.

Nadłamana trzcina, knotek o nikłym płomyku.

Na próżno, na darmo i na nic.

Wołanie Izajasza: „Posłuchajcie mnie, wyspy”.

„A po spożyciu kawałka chleba wszedł w niego szatan”.

„Przyjść z pomocą strudzonemu przez słowo krzepiące”. Czyż nie jest to najwyższy cel literatury?

Dobre wieści, pomoc, pokrzepienie i pociecha, radość, wesele, wieńce, i chwała. A tam: smutek i płacz, zranienie, żal i zgnębienie na duchu.

„Znalazłem Dawida, mojego sługę” – mówi Pan.

I wrócił do miasta swojego, gdzie się wychował.

Strona Jezusa i strona Piłata.

Od kogo masz, jeśli masz, wszelki wzrost i postęp duchowy?

„Po udrękach swojej duszy ujrzy światło i nim się nasyci”.

Jezus i uczniowie, Judasz, kohorta i strażnicy, arcykapłani i faryzeusze, Bóg, Szymon Piotr i Malchos, trybun, Żydzi, Annasz i Kajfasz, Jan, służąca odźwierna, słudzy arcykapłana i Piłat, Barabasz, żołnierze i Cezar, Matka Boska, jej siostra Maria, żona Kleofasa i Maria Magdalena, Józef z Arymatei i Nikodem.

Nowy grób w ogrodzie.

Ogień i światło.

Abraham, osiołek, dwaj słudzy, Izaak i drzewo do spalenia ofiary.

Słup obłoku, który raz był ciemnością, a raz oświecał noc.

„Oto ja osadzę twoje kamienie na malachicie i fundamenty twoje na szafirach. Uczynię blanki twoich murów z rubinów, bramy twoje z górskiego kryształu, a z drogich kamieni cały obwód twoich murów” – mówi Pan.

Kamień i anioł Pański.

Płótna i chusta.

Widzenie i niewidzenie.

Rozumienie i nierozumienie.

To, co w górze i to, co na ziemi.

Krzysztof Myszkowski

Marek Skwarnicki

Hejnał mariacki (8)

Graczyk donosi

Zawsze unikałem w życiu pisania recenzji albo omówień książek, które mi się nie podobały. Tym razem zmuszony jestem skomentować książkę Romana Graczyka pt. *Cena przetrwania...*, która ukazała się drukiem 22 lutego br. Odrzuciły ją dwa poważne wydawnictwa: Znak i Świat Książki, bojąc się prawdopodobnie kompromitacji. Ukazała się w końcu w Wydawnictwie Czerwono-Czarni. Historia tej publikacji liczącej ponad czterysta stron jest długa. Graczyk się męczył nad nią wiele lat, wciąż naciskany przez kolegów z nowej redakcji „Tygodnika Powszechnego”, redagującej to pismo od 1989 roku. Otrzymał na tę pracę jakieś stypendium, chyba IPN-u, w którym potem zaczął pracować. *Cena przetrwania...* opiera się na dokumentacji IPN. Ponieważ ta dokumentacja, dotycząca infiltracji w środowisku krakowskiego „Znaku”, w tym „Tygodnika Powszechnego”, jest bardzo dziurawa, przeto, by wypełnić zamówienie kolegów, zaspokoić własną ambicję, został zmuszony do zmyślenia i ta niby-historyczna książka jest zlepkiem ułomnych faktów i fantazji autora. Są to bardzo szkodliwe fantazje, ponieważ w wielu wypadkach dyskryminują moralnie niektórych redaktorów (w tym również i mnie) w sposób zupełnie skandaliczny. Na przykład z faktu zapisku oficera SB pod jakąś tam datą o wypiciu z nim przeze mnie herbaty w kawiarni, że Skwarnicki odmówił informowania o Watykanie, Graczyk wysnuwa domysł, że to było zakończenie donoszenia na Watykan, najprawdopodobniej uprawianego w poprzednich latach. Omówienia i recenzje książki Graczyka, jakie ukazały się w poważnej prasie

w istocie rujnują jej i historyczne, i moralne znaczenie. No, bo któż to jest Roman Graczyk? To jeden z komentatorów w obecnych mass mediach, tym razem głównie w „Tygodnika Powszechnego”. Czymżeż on miał zdobyć sobie autorytet moralny wydawania sądów głównie o Stefanie Wilkanowiczu, Halinie Bortnowskiej, Mieczysławie Pszonie i o mnie? Profesorowie Frischke i Paczkowski odmówili tej książce wartości prawdziwie historycznej. W aktach IPN poza jej jednozdaniowymi notatkami oficerów SB o tym, że wymienione osoby były TW, czyli tajnymi współpracownikami albo KO, czyli kontaktami operacyjnymi, brak jest jakichkolwiek pisemnych zobowiązań a także raportów z rozmów z tymi i z innymi redaktorami. Graczyk zupełnie nie orientował się pisząc książkę, że ani Bortnowska, ani Pszon, ani ja, chociaż mieliśmy nieraz merytoryczny wpływ na program i poczynania środowiska znakowego, to jednak prawdziwą władzą byli Jerzy Turowicz, Jacek Woźniakowski i Stefan Wilkanowicz. Na zebrania, o których redakcja nie zawsze wiedziała, dokoptowywano nieraz Krzysztofa Kozłowskiego, ale ponieważ w redakcji panowała absolutna demokracja i wzajemne zaufanie, przeto wiele decyzji, jeśli chodzi o linię pisma, poszczególne artykuły, podejmowanych było przez całe nasze grono. O tych sprawach niewiele mogła wiedzieć główna agentka w lokalu redakcyjnym słynna Pani Sabina, na której relacjach autor się głównie opiera. Jednym słowem owa *Cena przetrwania...* jest dzisiaj dezinformująca, a w przyszłości, kiedy ukażą się prawdziwe monografie zarówno miesięcznika „Znak” jak i „Tygodnika Powszechnego” oraz współtwórców naszego dzieła oporu przeciwko totalitaryzmowi oraz obronie Kościoła i religii, a także wszelkich wartości humanistycznych kultury polskiej i europejskiej, będzie bezwartościowa.

Graczyk potraktował twórców i współtwórców „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku” jak marne i strachliwe istoty, które współpracują z SB, by móc pracować i zarabiać. Świadczy to fatalnie raczej o nim, a nie redaktorach, pisarzach, artystach i intelektualistach, nie tylko katolickich.

W czym leży ta pasja Graczyka i chyba też tych, którzy mu kibicowali i kibicują, by merytorycznie i moralnie zniszczyć tzw. „legendę »Tygodnika«” – nie wiem. Co mu kazało szkodzić samemu sobie tym, że jego gruba i nudna książka mogłaby być z pewnością pracą doktorską jakiejś akademii im. Feliksa Dzierżyńskiego.

Dochodzę do wniosku, że bardzo długie przebywanie wśród archiwów SB zwłaszcza IV Wydziału do Spraw Kościoła zahipnotyzowało swoim sposobem myślenia i klimatem milicyjnego środowiska biednego Romana,

człowieka młodego, który co prawda w latach osiemdziesiątych pokręcił kilka razy korbką powielacza, ale nigdy nie był konfrontowany z ubecką sztuką opanowywania psychologicznego rozmówców. Odkryłem to, kiedy pełen dobrej woli, zgodziłem się na wywiad, gdy pisał książkę, który wyjaśni mi niejasną dokumentację sprawy. Skrypt dostarczony mi do autoryzacji przez Graczyka napisany był w tonie formułowania pytań i arbitralnego odtwarzania moich wypowiedzi w sposób taki, jaki mu odpowiadał. Sporządzał w rzeczywistości raport z ubeckiego przesłuchania osoby wezwanej. Wtedy zdecydowałem się nie autoryzować raportu Graczyka, czego on do tej pory nie rozumie. Bo Graczyk zupełnie nie rozumie, kim stał się, jako autor książki *Cena przetrwania...* Otóż stał się wykonawcą instrukcji Wydziału Administracji PZPR oraz władz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i kierownictwa Bezpieki w Krakowie zajmującej się sprawami Kościoła. Tym wszystkim ludziom aparatu przemocy zależało właśnie na „zeszmaceniu” środowiska krakowskiego w każdy dostępny sposób.

W książce Graczyka zastanawia też kompletny brak kontekstu kościelnego zachowania się poszczególnych redaktorów i pism. Współpraca „Tygodnika Powszechnego” z Wojtyłą, a potem Janem Pawłem II, była bardzo ścisła. Wyraźny i ostry antyklerykalizm zarówno Graczyka, jak i jego przyjaciół po prostu nie potrafi wziąć pod uwagę tego, że „Tygodnik” bierze żywy, aktywny udział w duszpasterskiej i apostołskiej pracy polskiego Kościoła, a zwłaszcza Kościoła krakowskiego. Mimo przyjaźni ze Stanisławem Stommą, czy Tadeuszem Mazowieckim nie z ich powodu robiłem to, co robiłem w tamtych dziesiątkach lat. W gruncie rzeczy poza korzyściami literackimi i publicystycznymi, jakie w przyszłości miałem, pracowałem na Wiślniej 12 i poza nią, z przyczyn religijnych i z przywiązania do polskiego Kościoła, jakkolwiek on tam był i jest obecnie. To doprowadziło mnie do służby Papieżom w Watykanie. A przecież byłem również aktywny w różnych ruchach laikatu w Europie Zachodniej. Jako jedyny świadek zza żelaznej kurtyny przyjeżdżałem na różne spotkania władz, do których należałem, na kongresy i sympozja działających w warunkach wolności słowa i działania.

Nie będę się dłużej rozwodził, zwłaszcza nad swoją dolą i niedolą pisarską, bo też nie bardzo nadawałem się na działacza i zawsze i wszędzie byłem człowiekiem pióra. Nie będę się też zastanawiał, czy było warto czy nie, bo o tym mogą zdecydować jedynie moi czytelnicy tego wszystkiego, co przez kilkadziesiąt lat drukowałem w „Tygodniku Powszechnego”, „Znaku”, „Więzi” i w książkach. Szkoda mi tylko Romana Graczyka, z którym się kiedyś mimo

półwiecznej różnicy wieku przyjaźniłem, że dał się tak zmarnować Służbie Bezpieczeństwa. Jest to być może ostrzeżenie dla wielu młodych historyków IPN, o ile zrozumieją poruszone wyżej problemy.

Beatyfikacja Jana Pawła II 1 maja tego roku jest wydarzeniem w Kościele powszechnym, ale gdy się mieszka w Krakowie, miało się z tym świętym człowiekiem do czynienia przez lat około czterdzieści, zwłaszcza za jego pontyfikatu, patrzy się na to wydarzenie krakowskimi oczami. To miasto, jedno z wielu miast średniowiecznych i renesansowych, a potem wzrastających przez wieki w Europie, okazało się wystarczająco silnym ośrodkiem artystycznym, religijnym i naukowym, by wydać człowieka tej miary, co Jan Paweł II. By wydać światowej miary przywódcę duchowego i męża stanu. U początków formułowania się umysłu i życia wewnętrznego Karola Wojtyły odnajdziemy jeszcze skromniejsze miasteczko niż Kraków – Wadowice, w których znajdowało się gimnazjum i liceum im. Miechowity z programem sprzed II wojny światowej, obejmującym naukę języka greckiego i łaciny. Uniwersytet Jagielloński, jeden z najstarszych w Europie uniwersytetów, a potem studia rzymskie już księdza Karola Wojtyły nie były budowaniem czegoś od początku, lecz nadbudowywaniem kolejnych pięter filozoficznych, teologicznych i artystycznych na fundamencie polskim. Po wyborze Jana Pawła II zapanowało zdumienie w środkach masowego przekazu, zwłaszcza Zachodu, że ten kardynał, przybyły z kraju kojarzonego z barbarią i dziczą jest taki sam jak włoscy, francuscy czy inni europejscy i amerykańscy kardynałowie. Ta równowartość ludzka pomiędzy kardynałami na każdym konklawe jest wielką i zdumiewającą wartością jedności Kościoła powszechnego. Tak było i w 1978 roku w październiku, gdy nowy papież oznajmił tłumom zgromadzonym na placu św. Piotra, że przybył z kraju dalekiego. Istnienie wówczas Żelaznej Kurtyny i dwóch światów – Wschodu i Zachodu, przedzielonych rzeką Łabą w Europie, robiło wrażenie m.in. na Polakach, że jesteśmy dalej położeni od Zachodu, aniżeli to wynika z geografii. Była to granica psychologiczna. Dzisiaj podróż z Krakowa nawet do dalekich krańców Europy to tylko trzy godziny lotu. A do Rzymu dwie.

Od tej pory w mieście, w którym – jak od wieków – rozbrzmiewa hejnał mariacki, nie będzie się mówiło „o, tutaj lubił spacerować Wojtyła”, albo „tam mieszkał kardynał”, lecz „tędy chodził święty”.

Miano świętego teologicznie zmieniło swoje znaczenie od czasów, gdy świętymi byli tylko ci, którzy zostali kanonizowani. Sobór Watykański II

mówi, że Kościół cały, a więc wszyscy ludzie ochrzczeni i niemający grzechu ciężkiego są narodem „świętym”, „ludem wybranym”. Mowa nawet o tym, że każdy człowiek wierzący uczestniczy w kapłaństwie Jezusa Chrystusa, z tym, że jedni z nas otrzymują sakrament kapłaństwa wstępując do stanu duchownego, a przeciętny wierny, który nie jest ani księdzem ani zakonnikiem, uczestniczy poprzez możliwość głoszenia Słowa Bożego w szerzeniu wiary tak jak każdy duchowny. Może chrzczyć, jeśli zajdzie taka potrzeba, także trzeba wiedzieć, że sakramentu małżeństwa mężczyzna i kobieta udzielają sobie nawzajem, a ksiądz jest tylko świadkiem ze strony instytucji Kościoła, że ten ślub został zawarty zgodnie z warunkami kanonicznymi. Jedynie eucharystia, sakrament pokuty (dzisiaj raczej nazywany sakramentem pojednania), sakrament chorych i bierzmowania leży w gestii kleru. Tak więc w świetle tych nowych praw ustanowionych przez II Sobór Watykański, to, że kogoś się beatyfikuje albo kanonizuje, jest kwestią kultu wyjątkowo doskonałych chrześcijan, którzy w specjalny, heroiczny sposób dowiedli swojego podobieństwa do Chrystusa i udziału w życiu Trójcy Świętej. Nie mamy wątpliwości, że tak się stało z Janem Pawłem II, któremu pomniki w Polsce stawiano już za życia. I tu natrafiamy na specjalny problem beatyfikacji Jana Pawła II w Polsce. Wiekowe związanie u nas życia religijnego z patriotycznym sprawiło, że jeszcze dziś istnieje bardzo duża masa rodaków upatrująca w postaci Jana Pawła II bardziej ideału bycia Polakiem, aniżeli człowiekiem świętym dla całego świata. Prawdę mówiąc nie ma w tym nic złego, jeżeli ideał Polaka – katolika nie zamienia się w ksenofobiczną ideologię i nacjonalistyczne podziały ludzi, ogólnie rzecz biorąc, wierzących w naszego Boga. Myślę, że czy to źle, czy dobrze, ale realistycznie patrząc na to, co się będzie działo w tygodniu beatyfikacyjnym w Polsce i w Rzymie, spodziewać się trzeba na pewno olbrzymiego napływu polskich wiernych do Stolicy Piotrowej. Włosi jednak liczą się z olbrzymim napływem wiernych z całego świata, gdyż kult Jana Pawła II, mimo że wielu Polaków o tym nie wie, szerzył się i szerzy głównie w Ameryce Łacińskiej i wielu innych krajach, które ten Papież-Pielgrzym odwiedził. One wszystkie poczuły, zwłaszcza w czasie jego obecności w danym kraju, że Jan Paweł II kocha wszystkich, których spotyka i których jest gościem. Tak było również w krajach, gdzie przeciętny ich mieszkaniec nie wiedział, jak dokładnie usytuować położenie Polski na mapie świata. Czekając więc na beatyfikację, spodziewamy się wielkiego wydarzenia i daj Boże, żeby wpłynęło ono na klimat naszego życia

narodowego, które nie przypomina tych wzorów, jakie w ciągu dziewięciu podróży do ojczyzny przedstawiał Polakom polski papież.

Ojciec Święty był wielkim patriotą Polski, dlatego wpisywanie go w poczet wielkich rodaków nie jest wcale czymś niestosownym. Warto jednak zawsze pamiętać, dlaczego był tym wielkim Polakiem. Jak myślał, jak czuł i jak postępował zarówno w kraju przed wyborem jak i potem, na świecie, gdy był już papieżem.

Marek Skwarnicki

Leszek Szaruga

Jazda (18)

51.

Określa się czasem Bobkowskiego mianem „chuligana wolności”. Nie jest to określenie pozbawione racji pod warunkiem, że samo pojęcie chuligana traktuje się z przymrużeniem oka. Jedno zdaje się nie ulegać kwestii – jego dziennikowe zapisy, które z pewnością mają wyższą literacko wartość niż utwory jako „literackie” właśnie pomyślane, zarówno z *Listów piórkiem*, jak z korespondencji, są popisem swobody połączonej z niebywałą intelektualną dyscypliną. Facet jest jak bodaj Jesienin, który chciał nasikać na księżyc. Wyobrażam go sobie w tej Gwatemali, jak dłubie przy tych swoich modelach samolotowych i kombinuje esej o Kosmopolakach.

Ci Kosmopolacy przypomnieli mi się nieprzypadkowo we Lwowie, do którego zostałem zaproszony z cyklem wykładów o paryskiej „Kulturze” i Jerzym Giedroyciu. Przedtem widziałem to miasto niejako w biegu, przelotnie (choć udało mi się nocować „u Georga”), teraz miałem aż dziesięć dni, podczas których sumiennie zdeptałem całe śródmieście i okolice, by zrozumieć, dlaczego Stanisław Lem (przechodziłem zresztą obok domu, w którym się urodził) tak się upierał przy tym, że musi to miasto odzyskać. Jest rzeczywiście oszałamiające – niezwykle palimpsest, którego specyficzny, ormiański tekst odsłonił przede mną dziennikarz i historyk Ihor Lilo. A tekstów do odczytania, które tu się na siebie nakładają i wzajemnie przenikają, jest sporo: żydowski, ukraiński,

polski (dla wielu u nas najważniejszy, co skądinąd rozumiałe), czy rosyjski lub austro-węgierski (niezwykle dla reinterpreterujących swą tożsamość Ukraińców ważny). Traktowane są z powagą, ale i z lekko ironicznym dystansem, jak choćby w knajpie „Kryjówka”, pozbawionej szyldu, piwnicznej, do której dostać się można jedynie pukając w zamknięte drzwi i, po ich uchyleniu przez uzbrojonego w kałasza „partyzanta”, wypowiadając hasło „Sława Ukrainie”. Usiłowałem sobie wyobrazić, jak czułby się wchodząc tam ksiądz Isakiewicz-Zaleski, ale jakoś nie bardzo umiałem sobie ten obraz narysować. Lecz nie dziwiło mnie także, gdy, wszedłszy do jednej z kawiarni, poprosiłem po rosyjsku o piepielnicę, za co zostałem skarcony czystą polszczyzną nakazującą mi poprosić o popielniczkę, podobnie jak nie zaskoczyło mnie, gdy w greckiej knajpce obsługiwała mnie Polka, która przyjechała tu z Niemiec.

Ihor, opowiadając o przemianach, jakim to miasto Herberta podlega, zwrócił mi uwagę na zjawisko niezwykle ważne. Otóż, opowiadał, jeszcze piętnaście lat temu, gdy urzędnika pytano, gdzie ma zamiar spędzić święta, odpowiadał, że jedzie „do siebie”, co oznaczało którąś z okolicznych miejscowości. To byli ludzie napływowi. Dziś już tak nie jest, ci ludzie są „u siebie” we Lwowie. I te przemiany na ulicach Lwowa widać i słyszać, choć oczywiście wzruszył mnie młody taksówkarz, który wioząc mnie opowiadał – czystą lwowską polszczyzną – że ukończył tu polską szkołę i że należy do nielicznych w mieście, którzy na tutejszym cmentarzu mają od kilku pokoleń własne groby rodzinne.

Chodząc więc po ulicach tego miasta zastanawiałem się nad tym, czym jest pamięć i czym może być *k u l t u r a p a m i ę c i*, chyba bardziej nam dzisiaj, w tej części Europy, potrzebna niż słynna „polityka historyczna”. Przypomniało mi to list, który otrzymałem od Giedroycia, w którym Redaktor pisał, że powinniśmy powoli rezygnować z pojęcia „kresy”, które naszym wschodnim sąsiadom kojarzy się nie najlepiej, na rzecz określenia „pogranicze”. Odpisując mu podkreślałem, że zapewne w odniesieniu do współczesności byłoby to wskazane, jednak w dyskursie historycznym czy historycznoliterackim trudno z niego całkowicie zrezygnować.

Ten wątek powracał w nieco zmienionej postaci w trakcie rozmów ze studentami (i nie tylko), którzy pytali o żywotność „koncepcji jagiellońskiej”. Próbowałem wyjaśniać, że, w moim przynajmniej rozumieniu, nie jest to już koncepcja, wedle której Polska miałaby w tym regionie Europy odgrywać dominującą rolę i że cały ten model należy zreinterpretować w duchu unijnym pojmovanym zarówno tradycyjnie (a więc jako swobodne zrzeszenie Polski i Litwy w czasach I Rzeczypospolitej), jak i współcześnie,

gdy Polska jest już członkiem szerszej struktury tworzącej Unię Europejską otwartą – przynajmniej deklaratorywnie – na przyjmowanie nowych członków i w której to strukturze wszelkie relacje międzynarodowe podporządkowane są interesom całej wspólnoty. Gdy Giedroyc formułował założenia swego programu w późnych latach czterdziestych i początku lat pięćdziesiątych, tłumaczyłem, Unia Europejska nie była nawet projektem, gdyż daleko było do jakiegokolwiek porozumienia między Niemcami (wówczas Zachodnimi) i Francją, nie było nawet mowy o Wspólnocie Węgla i Stali stanowiącej załążek dzisiejszej Unii. Giedroyc, wyjaśniałem, w swym programie zakładał przede wszystkim niepodległość Polski i ten cel był – niezależnie od szans na jego spełnienie – nieredukowalny, acz zakreślone zostały warunki jego realizacji, wśród których poczesne miejsce zajmowała suwerenność krajów położonych między Polską i Rosją, a także zjednoczenie Niemiec, co wówczas można było traktować jako swego rodzaju *political fiction*. Środki natomiast zmierzające do urzeczywistnienia tej wizji zależne były od zmieniających się okoliczności. Dopiero po odzyskaniu bytu politycznego Polska mogła mocą własnej decyzji przystąpić do utworzonej w ciągu tych lat wspólnoty europejskiej, a dziś, będąc jej częścią – choć wciąż jeszcze nasi rodacy mówią o UE raczej „oni” niż „my” – swoje poczynania musi koordynować z pozostałymi członkami, co sprawia, że raczej niemożliwe się staje w tych okolicznościach realizowanie jakichś dążeń do dominacji, podobnie zresztą, jak to ma miejsce w wypadku Niemiec mimo ich niewątpliwie olbrzymiego potencjału gospodarczego i politycznego.

Rozmawiając o tym wszystkim, wciąż powracaliśmy do tego samego problemu: konieczności postrzegania naszej sytuacji w sposób dynamiczny, zakładający nieustanną zmianę, a odrzucający widzenie rzeczywistości jako stanu stabilnego i danego raz na zawsze. Konieczna jest też ciągła reinterpretacja pojęć, jakimi się – także w sferze politycznej – posługujemy. Suwerenność nie jest we współczesnym świecie kategorią zdefiniowaną raz na zawsze, nie jest też stanem rzeczy, lecz zadaniem, które należy nieustannie na nowo podejmować, co z kolei nie pozwala kwestii z nią związanych delegować wyłącznie na polityków, lecz przeciwnie – nakazuje ją uspołecznic poprzez budowanie struktur *civil society*, co zakłada aktywizację różnych grup w najrozmaitszych dziedzinach życia publicznego. Takie właśnie grupy tworzą warunki dla działania dla „chuliganów wolności”, do których czołowych przedstawicieli należał Bobkowski piszący w swym szkicu o Conradzie: „Całkowite uwolnienie się od Polski jest dla Polaka niemożliwe, bo Rosjanie

nam na to nie pozwalają i kto wie, czy na dnie naszej nieuleczalnej antyro-
syjskości nie tkwi właśnie to. Conrad poszedł jednak w tym uwolnieniu się
znacznie dalej, niż się to na ogół przyjmuje. Nie był oczywiście Anglikiem, bo
człowiek urodzony w Polsce, żeby nie wiem co wyprawiał, żeby nawet sypiał
z parasolem, może być co najwyżej przysłowiowym Anglikiem z Kołomyi (...).
Był typowym okazem Kosmopolaka i jako do takiego okazu należy do niego
pochodzić. Jest to okaz jeszcze zupełnie niezbadany i nieprzestudiowany,
pokryty do dzisiaj wstydliwym milczeniem lub wklejanym na siłę w jakieś
polskie ramki choćby z nich co chwila wyskakiwał”.

Takie to też były moje rozmowy i refleksje w ciągu dziesięciu dni spędzo-
nych na brukach Leopoldis, gdy z zapamiętaniem wpisywałem w pamięć ten
tak ważny dla naszej – ale nie tylko naszej – kultury pejzaż miejski nie bez
wzruszenia wchodząc w mury uniwersytetu, którego wykładowcami byli
wielcy przedstawiciele logiczno-matematycznej szkoły lwowsko-warszaw-
skiej i powtarzając w duchu ostatni wers pięknego utworu Adama Zagajew-
skiego: „Lwów jest wszędzie”.

52.

Tymczasem świat rzeczywiście się zmienia. Podczas gdy siedziałem we
Lwowie – przy okazji wpadając do Tarnopola oraz do powoli lecz jednak
rekonstruowanego Zbaraża (te klimaty Sienkiewiczowskie!), na Bliskim
Wschodzie podniosła się fala społecznych buntów. Komentując je, powiada
Zbigniew Brzeziński: „Od wielu już lat piszę na temat czegoś, co nazywam
globalnym przebudzeniem politycznym. To proces, który rozwija się w świecie
od ponad dwustu lat, od początku rewolucji francuskiej. Dotychczas rozpo-
wszechniał się stopniowo i powoli, ale teraz wkroczył w decydującą fazę.
Ten fenomen ma obecnie miejsce w krajach arabskich. Prawie cała ludzkość
ma w tej chwili poczucie świadomości politycznej i aspiracji politycznych.
(...) Warto pamiętać, że w pierwszej fazie takiego zrywu mamy zazwyczaj do
czynienia z tendencjami populistycznymi, niekoniecznie demokratycznymi.
(...) To, czy region pograży się w chaosie, czy będzie się demokratyzował
i stabilizował, będzie między innymi zależeć od tego, jak rozegramy tę sytu-
ację, jak rozegra ją wspólnota międzynarodowa, w tym także Liga Arabska”.

Trudno się z tym nie zgodzić, jednakże nie sposób nie zauważyć, że owo
„globalne przebudzenie polityczne” może mieć zwłaszcza dla Europy dość
dramatyczne konsekwencje. Już zresztą ma, czego dowodzą głośne apele
Włochów o pomoc Unii w rozwiązaniu „problemu imigrantów” z Afryki

północnej, ale – przy okazji – także z głębi tego kontynentu. Sprawa nie jest nowa, lecz w obecnych okolicznościach zdaje się coraz bardziej dramatyczna. Od co najmniej trzech dekad Europa (przedtem zachodnia, ale obecnie także wszystkie państwa Unii) stała się celem migracji z Azji i Afryki. Próby zapobieżenia napływowi uchodźców trwają od dawna – dość wspomnieć patrole przemierzające regularnie wybrzeża Hiszpanii i usiłujące powstrzymać narastającą falę przybyszy. Obecnie jednak zaczyna się dyskutować o tym, w jaki sposób Stary Kontynent uchronić przed zalewem „barbarzyńców”. I są to dyskusje nie tylko spóźnione, ale też kompletnie bezprzedmiotowe, dowodzące jedynie niezdolności polityków do reagowania na wcześniejsze, dość wyraźne sygnały.

Żyjemy w okresie nowej wędrówki ludów. Dotąd napływ „obcych” był jednak powolny, pozornie niezauważalny. Wystarczy jednak uświadomić sobie, że Berlin, który jeszcze w początkach lat osiemdziesiątych był miastem w zasadzie „europejskim”, obecnie jest metropolią wielokulturową i „kolorową” (biały, przypominam, też jest „kolorem”): gdy koło południa jadę berlińskim metrem i obserwuję oraz słucham różnojęzycznej mowy współpasażerów, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wszyscy oni sądzą, że ja jeden w tym wagoniku jestem tubylcem. W Warszawie dostrzec można podobne procesy. I będą się one nasilały. Zaś gdy o tym piszę, nie mam najmniejszego zamiaru zastanawiać się nad tym czy to dobrze, czy źle: tak po prostu jest i tak coraz bardziej będzie. Tym natomiast, co mnie interesuje, jest postawa polityków wobec owego stanu rzeczy. Gdy bowiem słyszę i czytam, że zastanawiają się oni nad możliwością stworzenia barier dla „innych”, ogarnia mnie śmiech pusty. Takie bariery, o czym dowodnie przekonało się Cesarstwo Rzymskie, nie istnieją. Więcej: jest oczywistością, iż strumień przybyszy będzie się nasilał. Rzec nie w tym, jak go powstrzymać, lecz w tym, co wobec tego czynić, jak z nimi współżyć. Czemuż to o tym rozmawiać nie chcecie Panowie (i Panie)?

Nie mamy szansy stworzenia izolowanej od reszty świata nowej „*Festung Europa*”. I nie jest tak, jak w słynnym wierszu Konstandinosa Kawafisa, że otrzymamy pocieszającą wiadomość o tym, że „barbarzyńcy nie przyszli”. Dziś, „czekając na barbarzyńców” musimy sobie postawić pytanie, jakim to rozwiązaniem będzie dla nas ich nadejście. Opisując ten nowy świat trafnie zauważał Ryszard Kapuściński: „Będziemy w nim ciągle spotykać nowego Innego, który powoli zacznie wylaniać się z chaosu i zamętu współczesności. Możliwe, że ten Inny zrodzi się ze spotkania dwóch przeciwstawnych nurtów tworzących kulturę współczesnego świata – z nurtu globalizującego naszą

rzeczywistość i z drugiego, zachowującego nasze odmienności, nasze różnice, naszą niepowtarzalność. Że będzie ich płodem i spadkobiercą. I dlatego winniśmy szukać z nim dialogu i porozumienia”.

Znając „nas” nie sądzę, by ten dialog i porozumienie były sprawą łatwą, raczej spodziewam się dramatycznych konfliktów, a w każdym razie nieporozumień i poważnych spięć. Tym bardziej, że niewiele sygnałów świadczy o tym, że ktoś stara się tę problematykę wpisać, jak to się dziś określa, „na agendę” rozmów europejskich polityków. Wciąż, mimo pozorów, jest to polityka doraźna, której horyzonty nie sięgają dalej kolejnych wyborów i w dodatku jest to polityka raczej „technokratyczna” niż odwołująca się do wizji przyszłości. Tymczasem wielokulturowa i wieloetniczna Europa – czymkolwiek ma się ona stać – stoi za progiem.

Leszek Szaruga

Piotr Szewc

Z powodu i bez powodu (23)

Bez tytułu i daty (XVII)

Paweł Hertz powiedział mi w czasie jednego ze spotkań, że lubi spokojne tytuły. *Ład i nieład, Świat i dom, Patrzą się inaczej, Gra tego świata* – to kilka „spokojnych” tytułów jego książek. Spokojny tytuł nie interpretuje utworu, pozwala na jego swobodną, nieuprzedzoną lekturę. Mądre to i wielkoduszne. Kilka „spokojnych” tytułów innych autorów: *Mapa pogody, Na brzegu rzeki, Zdarzenia, Pостоje pamięci*.

Mógł to być rok 1967 lub 1968, jechaliśmy pakaesem z Zamościa do Tomaszowa Lubelskiego. Dworzec autobusowy mieścił się wówczas w obrębie Starego Miasta. Bezpośrednio z dworcem i kościołem św. Katarzyny sąsiedował ogród zoologiczny. Zaciągnąłem tam rodziców. Wyszliśmy z parką zielonych papużek falistych, hodowanych w pomieszczeniach administracji (pamiętam klatkę z nimi wystawioną w oknie). Te papużki pojechały z nami w papierowej torbie do Tomaszowa. Dały początek licznej hodowli, bo mnożyły się

wyśmienicie. Pamiętam jedną z innych papużek falistych z tamtego czasu – cytrynowo-jasnozieloną samiczkę. Ojciec zbudował dla papug obszerną klatkę – front z siatki, boki i tył z dykty – pod nią, trochę jak w komedzie, na dwóch półkach za ręcznie przesuwanymi szybami stały książki.

Średnie haiku to złe haiku.

Ewa Adamczyk, Ryszard Boczkowski, Marta Cisło, Elżbieta Cholewińska, Jadwiga Czugała, Alicja Flis – taki był początek listy uczniów w dzienniku zamojskiej szkoły podstawowej... Andrzej Soroka, Piotr Szewc, Wojciech Szewczuk, Jadwiga Szewczyk, Wiesław Tyrka, Elżbieta Zarębska – a taki jej koniec.

Bodaj w 1988 roku jechałem pociągiem z Krakowa do Warszawy w towarzystwie Jana Błońskiego i Jacka Łukasiewicza. Utkwiło mi w pamięci, że autor *Zmiany warty* zwracał się do autora *Szmaciarzy i bohaterów* Jaceczku. Bardzo mi się to podobało.

Krzysztof Myszkowski zapytał, czy moim zdaniem gorsze były kontakty pisarzy z funkcjonariuszami bezpieki w latach pięćdziesiątych czy w siedemdziesiątych. Odpowiedziałem, że za gorsze – bardziej obciążające – uważam te z lat siedemdziesiątych. Z paru powodów.

L. mówi o sobie, że jest tajemniczy. Chodzi o to, że uważa się za dyskretnego.

Stara obora w Czołkach była drewniana i kryta strzechą. Ściany od zewnątrz i od środka były białe, bo Babcia bielila je wapnem. Już za mojego dzieciństwa obora popadała w ruinę, no ale stała. Od strony domu miała część spichlerzową, z drugiego krańca – od strony stodoły – mały kurnik, też kryty słomą. Późną jesienią lub na początku zimy Dziadek ogacał oborę: za wbite w ziemię żerdzie z grabiny wkładał i ugniatał słomę. Ciężka to była praca. Około półmetrowa warstwa słomy zimą była schronieniem dla wróbli. Wypuszczane kury znosiły w słomie jajka, zwykle wysoko, pod strzechą, gdzie mościły gniazda. Należało pilnować – pilnowałem ja lub Babcia – żeby jajka nie popękały na mrozie. Z oborą, spichlerzem i kurnikiem ściśle, bardzo ściśle wiąże się moje dzieciństwo, najróżniejsze zabawy i wtajemniczenia; orbita w moim obecnym życiu prawie nierzeczywista. W połowie lat siedemdziesiątych, po drugiej stronie podwórka, naprzeciwko, stanęła nowa obora: z wysoką podmurówką z pustaków, kryta eternitem. Też miała trzy części: pomieszczenie dla krów, koni i świń, kurnik i spichlerz.

Miałem kilka lat, gdy Bożena Kawówna, wówczas panienska, śpiewała przy lada okazji po swojemu: „chłopiec z gitarom byłby dla mnie parom...”. W domowej tradycji utrwaliło się przypominanie tego śpiewania. Najudaniej, najśmieszniej naśladowała Bożenę Babcia.

Jechałem pekaesem z Chełma do Zamościa. W jednej z mijanych miejscowości, prawie bez kibiców, nie na stadionie, bo na drodze, odbywał się mecz piłkarski. Autobus miał postój na rynku. Stały tam drewniane domy pomalowane orzechową, olejną farbą – podobne i tak pomalowane domy pamiętam z lat sześćdziesiątych. Na krytym papą dachu jednego z domów zobaczyłem gołębie. Miałem wątpliwość, czy to gołębie zamojskie (jest rasa gołębi zamojskich), czy pocztowe. Gdy zobaczyłem je z bliska, okazało się, że są to gołębie zamojskie. Nie byłem pewny, gdzie się zatrzymaliśmy. – Ciecwierza – taką nazwę mijanego miasteczka podał mi ktoś z mieszkańców. To wszystko mi się śniło.

Ze słomy pszenicznej Dziadek wyplatał długi, kilkunastometrowy warkocz. I ten warkocz spiralnie, z pomocą szydła, zszywał. Tak powstawała słomianka, która w okresie zimowym leżała na podłodze w sieni – drewnianej przybudówce, którą od biedy można by nazwać gankiem. Gdy byłem małym chłopcem, sień pozostawała otwarta; drzwi zostały wstawione w późniejszym okresie. W sieni Babcia trzymała węgiel i drewno do palenia, tarę do prania, wannę, w cieplejszym okresie ziemniaki, warzywa... Na wewnętrznej ścianie zamontowany był licznik prądu. Po framugach na dach wdrapywały się koty, stamtąd miały wejście na strych. Latem przesiadywaliśmy na schodach i progu sieni. W ciepłe dni było to miejsce sąsiedzkich pogawędek. Ileż godzin, dni, może tygodni przesiadywały tam Babcia z panią Bilową, Chwiejczakową...

Piotr Szewc

RECENZJE

Paweł Mackiewicz

Pierwszy raz w Bieszczadach

Powiedzieć. Cokolwiek to kolejny, po *Wpisie do ksiąg wieczystych* (2009), tom Janusza Szubera. Tym razem wypada powstrzymać się od określenia „tomik wierszy” – gabaryty nowej książki niemałe (słuszna liczba stu stron), a utwory w niej pomieszczone to nie tylko wiersze, lecz także krótkie, cztero-, pięciostronicowe prozy. Można mieć wątpliwości, czy ich publikacja wspólnie w wierszami służy tym drugim – owszem, tematycznie tom jest spójny, jednak wierszom przypada w nim funkcja szczególna, inna niż fragmentom prozatorskim. Utwory wierszowane nie ograniczają się do wskrzeszania pamięci miejsca i wydarzeń z przeszłości, najlepsze z nich problematyzują sam proces przypominania, przedstawiania literackiego – odbierając pamięci i jej konstruktom ich pozorną oczywistość. Tym samym powołują do istnienia sobie właściwą personę, co tu kryć, najczęściej bardziej interesującą od podmiotu w prozach. Najczęściej – skoro do wyjątków należą takie na przykład akapity: „Nie ma jej [Antoniny, kucharki u ciotek babki Marii – P.M.], jakby nigdy nie było. Mam wolną rękę. I co z tego? Cokolwiek powiem, żadne z tego świadectwo, bo przecież jedynie z głowy. Antonina nie potwierdzi ani też nie zaprzeczy, będąc poza tym wszystkim, gdzie była kiedyś sobą, potem częścią siebie, kiedy więcej jej było w sobie niż na zewnątrz. Wreszcie, w tym niepowstrzymanym ubywaniu, już tylko brakiem po sobie” (*Nie ma. Jest. Cokolwiek*). Być może warto byłoby sprawdzić siłę i samodzielność prób prozatorskich w osobnym zbiorze, niekoniecznie w kompozycji i – zwykłą tu kolejną rzecz – w konfrontacji z wierszami.

Powiedzieć. Cokolwiek składa się z czterech części. Kompozycja to cokolwiek „Miłoszowska” – tomiki Miłosa też bywały czterodzielne, by przypomnieć choćby *To* albo *Drugą przestrzeń* (tam, co prawda, część piątą, objętościowo nieporównywalną z pozostałymi częściami, stanowił jeszcze jeden utwór, krótkie *Metamorfozy*). Każda z części książki Szubera otrzymała jedną z mniej lub bardziej wyrazistych dominant tematycznych. Należą do nich kolejno:

problemy z ciałem oraz pamięcią zmian w ciele zachodzących, bieszczadzka (sanocka), osobista i lokalna zarazem kosmologia, dzieciństwo i wczesna młodość pomiędzy Warszawą a Sanokiem, lektury oraz postacie literackie i historyczne w kręgu sanockim. Mowa ledwie o dominantach – chyba w żadnej z czterech części nie brakuje któregośkolwiek z wymienionych tematów, zmienia się jedynie sposób rozłożenia akcentów.

„Kim jestem? Jednym z wielu, niepoliczonych, którzy zakochali się w Bieszczadach na zabój od pierwszego wejrzenia. (...) Jedno jest pewne: Bieszczady z lotu ptaka po raz pierwszy zobaczyłem tuż przed utworzeniem Zalewu Solińskiego” – pisze Szuber. Bez wątpienia autor potrafi pogodzić indywidualny, synchroniczny sposób doświadczania sanockiej lokalności z postrzeganiem Sanoka i Bieszczad „z lotu ptaka”, z widzeniem historycznym, przez soczewkę wysokiej kultury. Właśnie tę perspektywę przyjmuje Janusz Szuber, gdy „ćwiczysz się w poetyce centonu” (nawiasem mówiąc, nie tylko Tadeusz Pióro w ostatnich latach centony pisuje) – „W czeluściach gór dymiących / Niedźwiedzie piwo warzą / Albo w panwiach żeliwnych / Ługują popiół drzewny” (cytaty ze *Świadectwa języka*).

Lokalne, własne – istnieje. Wszelako domaga się poznawania, istnienie to dalekie jest od potoczności, pospolitości, wymyka się oczywistościom. Tym jednak różni się od miejsc znanych z atlasów i turystycznych publikacji – takich jak tytułowa kanaryjska plaża z *Wakacji w Alassio* – że o własne, miejscowe można i należy pytać. „Nigdy nie byłem w Alassio i chyba nie będę. Czy naprawdę istnieje Alassio?”. W zamian niejako: „Stamtąd, z daleka skrzypienie harmonii, / glinianych ptaszków ostre gwizdy, / (...)” (*Stamtąd, z daleka*). Przestrzeń jest dla Szubera funkcją czasu, przestaje mieć znaczenie, gdy czas pozostaje nieokreślony (nieważny) – przestrzeń traci wówczas swoją głębię, staje się płaska, jednowymiarowa, jak obrazek w urlopowym folderze. Alassio może wcale nie istnieć. Co innego – *stamtąd*. Tak, ale „Gdzie jest to *stamtąd*? Wiemy, że daleko”. To „daleko” odsyłać może do jakiejś drugiej przestrzeni. Czy jednak bezsporne musi być usytuowanie teje w czasie linearnym? „Ćma w pajęczynie. Iskra. Wiadro z wapnem. / Dół, w którym w trotach leży lód – / bywa, że do połowy sierpnia. / Stamtąd, z daleka także wieje mrozem”. Może ta przestrzeń mieści się gdzieś za nami, w przeszłości, do której nie ma powrotu – nie zaś przed nami, w czasie przyszłym?

Zgódźmy się na eksperyment. „Ręka. Od zawsze ze mną, moja postrzeżona nagle jak każdy inny, różny ode mnie, obiekt” – wystawiona za okno jadącego auta, przez chwilę widziana zza jego szyby. Może jej nie doliczać do siebie,

jak pytał Białoszewski? „Ile też mnie mogłoby jeszcze pozostawać poza mną nie-moim, abym dla siebie mógł być nadal tym właśnie sobą?” (*Prawa, lewa ręka*). W kontekście tego pytania odnieść się trzeba do wizji z wiersza *Borys Pasternak*. Podmiot bezskutecznie woła „ukryte” w nim dziecko. „Nie usłyszysz mnie (...)” – „Byłem silny, biegłem. / Jestem słaby i senny”. Atoli w tym właśnie utworze Szuber przypomina ideę wiecznego powrotu. Między swoistym witalizmem Szubera a pietyzmem, jakim poeta darzy przeszłość, nie ma, jak sądzę, aporii.

Paweł Mackiewicz

Janusz Szuber, *Powiedzieć. Cokolwiek*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011

Anna Nasiłowska

Panna F.

Oceny nowości książkowych w wysokonakładowej prasie przypominają konkurs piękności. Podoba się panna Ferbelin? Nie. No, to dziękujemy, prosimy następną kandydatkę. Dyskusji brak, bo i nad czym tu dyskutować. Nie podoba się.

Coś takiego prezentuje recenzja najnowszej powieści Stefana Chwina *Panna Ferbelin* napisana przez Dariusza Nowackiego i opublikowana w „Gazecie Wyborczej” (z 28.2.2011). Wszystkie argumenty, przytoczone przez krytyka przeciwko powieści są tak wątpliwej jakości, że wierzyć można tylko temu, że się nie podoba. No, bo jakoś trudno przyjąć, że krytykowi, który recenzuje regularnie nowości i nawet sam wydał książkę pod tytułem *Zawód: czytelnik*, po prostu brakuje czytania. Oj, naczytał się, może nawet za dużo, co sam na koniec ujawnia, gdyż najnowszy utwór Chwina mu się kojarzy z wydanymi ostatnio powieściami *Jezus na prezydenta* Zbigniewa Masternaka, *Balladyny i romanse* Ignacego Karpowicza i *Masakra profana* Jarosława Stawireja. I, niestety, tylko z tymi. Poza tym, wbrew temu, co twierdzi Dariusz Nowacki *Masakra profana*, wydana nakładem Krytyki Politycznej, nie jest osnuta na motywie wizyty Chrystusa we współczesnej Polsce. Bohaterowi tej powieści, obiecującemu pracownikowi korporacji, nieoczekiwanie zaczyna zjawiać się Matka Boska. To jednak pewna różnica, pomijając inne sprawy, które powodują, że także

Karpowicz i Masternak nie piszą o tym samym. Wszyscy jednak krążą wokół jednego z kluczowych tematów Polski dzisiejszej, jakim są obserwowane nie bez zdziwienia, zażenowania a może i innych uczuć nawroty do bardzo archaicznych form religijności, co łączy się z ujawnianiem się średniowiecznych skrajności w myśleniu, symbolice i emocjonalnych reakcjach zbiorowych.

W *Pannie Ferbelin* nikt we współczesnej Polsce się nie zjawia, skoro akcja toczy się na początku XX wieku, co dodatkowo podkreśla sam autor w jawnie fałszywym podpisie pod tekstem, niby informującym o czasie powstania utworu: *12 Juli 1918–11 April 1919*. Nawet młody krytyk raczej się nie powinien pomylić; Stefan Chwin nie przekroczył jeszcze stu lat. Podpis jest dodatkowym ostrzeżeniem dla czytelnika, który chciałby może czytać utwór jak powieść historyczną. Nie jest nią. Jest jawną kreacją, złożoną z elementów wyobraźni pisarza, które niczego nie udają i z literackich motywów, które wykorzystane zostały wielokrotnie. Jest to element postmodernistycznej strategii, której elementy dawno zostały opisane i rozpoznanie ich powinno być banalne. Pisarz celebruje swoją rolę udając tradycyjnego pisarza, nie usiłuje jednak w żadnym momencie zmusić nas, byśmy uwierzyli w *mimesis*.

Powieść to model, w którym przeglądają się czasem inne utwory, a czasem nasza rzeczywistość. Główna bohaterka, tytułowa panna Ferbelin przypomina więc po trosze kilka innych postaci kobiecych z wcześniejszych powieści pisarza. Nie dlatego, że „pisarzowi skończyły się pomysły”, ale dlatego, że empatyczna i zdolna do bezinteresownego poświęcenia młoda kobieta często pojawiała się w jego twórczości, choć powierzał jej różne role i osadzał w różnych epokach. Z tym typem postaci wiązał Chwin dobro i pewien idealizm, który zderzyć się musiał ze światem. Tak jest też w tym utworze: panna Ferbelin załatwia ojcu państwowe zamówienie, przy okazji znajduje dla siebie pracę nauczycielki domowej w domu prokuratora i jednocześnie ulega magii młodego Mistrza, który zaczyna działać w stoczni. Po wizycie Mistrza u niej w domu, ojciec zdrowieje. Dalszy ciąg akcji stawia naprzeciw siebie jako protagonistów Mistrza i prokuratora, pozwalając pannie Ferbelin odegrać rolę wyzwolicielki, choć za cenę utraty niewinności...

Czytając *Pannę Ferbelin* trudno jednak w ogóle przywiązywać nadmierne znaczenie do przebiegu akcji. Jest ona sztuczna, choć ta sztuczność nie przekracza ram typowego, literackiego prawdopodobieństwa. To dobrze, życiowe prawdopodobieństwo tworzy pewien rodzaj umowy w czytelnikiem. W żadnym momencie Mistrz nie JEST Chrystusem, który zstąpił na Ziemię – choć postaci, które ulegają jego urokowi, mogą się nad tym zastanawiać,

a bohaterowie mogą nawet na ten temat żartować. Dla sceptyków ta postać „jest” po prostu młodym robotnikiem w niebieskiej bluzie, głoszącym podejrzane teorie o powszechnej równości, możliwości sprawiedliwego podziału pracy i pojednaniu. Stefan Chwin nie jest przecież pisarzem naiwnym, w tej powieści, chyba w najbardziej udany sposób, literacka sztuczność niczego nie odbiera znaczeniu powieści, a może nawet je potęguje. Bo jeśli fabuła byłaby tylko bajką, to w co mógłby wierzyć czytelnik?

Panna Ferbelin emanuje grozą. Zaczyna się oczwisać od grozy niejako już oswojonej, której wczesnym znakiem w pierwszej powieści Chwina *Krótkiej historii pewnego żartu* były niemieckie gazety, wystające spod tapet w zajmowanym przez bohatera pokoju. Ta groza łączy się z obcością, używaniem niemieckich nazw w stosunku do rzeczywistości, w której toczy się teraz inne życie. Jakby jej nie oswajając Langfuhr, Marienkirche, czy Freudentahl w polskiej powieści o Gdańsku brzmić będzie złowrogo. Neutralizowanie tego efektu obcości to długi proces, u początków którego stał protest przeciwko przemilczeniu czy próbom przykrycia historii propagandowym kłamstwem w czasach PRL. Dotykając niemieckiej rzeczywistości Gdańska, literatura może spowodować jej odczarowanie, przejście ze sfery tabu do normalności. Czy trzeba było podejmować to jeszcze raz, skoro dobrze zostało to przeprowadzone w *Hanemannie*? Ta powieść Chwina robi to inaczej, cofając się do początków XX wieku. Tu uznanie Gdańska za „wolne miasto” dla wielu bohaterów stanowi jedną z nowych, niebezpiecznych, wywrotowych idei, z którymi trzeba walczyć. *Hanemann* to opowieść o przejściu do polskości, w *Pannie Ferbelin* – nawet się ono nie rysuje jako coś możliwego.

Dużo poważniejszą sprawą jest pojawienie się pewnych analogii ideowych. Hasła, głoszone przez Mistrza, robotnika w stoczni, w wielu momentach będą przypominać ideały Solidarności. Nie natrętnie, bez popadania w przesadny anachronizm, i bliżej tu oczywiście do utopii chrześcijańskiej, która stanowi odwołanie bardziej ogólne, źródłowe. Przeciw tej idei użyte zostaną argumentacje prokuratorskie, znowu – perfidnie przypominające znane nam typy rozumowania: że walka z „uszcześliwiczami ludzkości” jest obowiązkiem władzy w imię społeczeństwa i porządku, który gwarantuje nam codzienne bezpieczeństwo. Czym grozi jego utrata, widzimy w akcji powieści: jest to zamach terrorystyczny, w wyniku którego ginie prawie sto osób... Co oczywiście powoduje wrzenie, podatność na zbiorowe emocje i frustracje. Coś nam to przypomina? Niedawną katastrofę? Powieść Chwina nie operuje jednak

prostymi analogiami, to czytelnik może je uruchomić, jeśli nie chce pozostać przy lekturze naiwnej.

Mechanizm został niezwykle precyzyjnie pokazany. Z jednej strony – idealizm, którego ceną może być eksplozja społeczna, oznaczająca zwycięstwo chaosu lub/i w konsekwencji – terror, z drugiej strony – cyniczna obrona mieszczańskiego porządku, z obrzydliwym sojuszem władzy i zaprzęgniętej do obrony dominujących interesów religii. Gdybyśmy mieli do czynienia z powieścią historyczną, klóciłabym się z autorem o scenę uroczystej mszy w oliwskiej katedrze: a gdzie nabożeństwo protestanckie? Ale to nie jest powieść historyczna i nie literacki „towar eksportowy”, pisany tak, aby prosto i łatwo było go przetłumaczyć i sprzedać. Obłudne nabożeństwo dziękczynne sprowadza się do klasycznej ceremonii zapowiadającej śmierć kozła ofiarnego, jego znalezienie – to główna zasługa prokuratora. W ten sposób zamach terrorystyczny zostanie pomszczony, a racje porządku – przywrócone. Śmierć – za śmierć. Odbędzie się więc publiczna egzekucja, na którą ściągną elegancko wystrojoni mieszczanie. Odprasowane surduty, woalki. Jak na piknik czy jarmark. Kozioł ofiarny zostanie pohańbiony i powieszony, ktoś musi więc zawczasu przygotować szubienicę. Tego dotyczy zdobyte przez dobrą pannę Ferbelin zamówienie na roboty stolarskie...

Empatyczna kobieta nie ma bynajmniej monopolu na czynienie dobra, błądzi w ciemności, jak wszyscy, a może nawet bardziej – gdy postanawia odegrać aktywną rolę, zapobiec złu, sięga po środki z repertuaru zakazanego, posuwa się do zadawania przemocy. Zamiast Mistrza powieszony i spalony zostanie ktoś inny, bo to przecież wszystko jedno, sam akt ma doniosłe znaczenie. Mistrz nie wróci mu życia, bo NIE jest Chrystusem i tego nie umie. A prokurator i Mistrz – pochodzą z jednej miejscowości. Symbolicznie mówi to: źródło – jest to samo, zmaćcone.

Estetycznie odczucie grozy jest niezbędnym warunkiem przeżycia tragizmu i wzniosłości. Powrót do tego rodzaju estetyki jest jednym z rysów postmodernistycznych, choć to pojęcie mocno się zdewaluowało przez powierzchowność dyskusji w mediach i bardzo powierzchowną recepcję literacką, która raczej poszła tropem filozofii języka. Być może Stefanowi Chwinowi udało się znaleźć jedyną formę, jaką może przybrać współczesna powieść idei, aby nie usunęła się w komizm i groteskę. „Ta pozornie historyczna opowieść dotyka rzeczy współczesnych dużo bardziej niż niejedna »powieść współczesna«” – czytamy wśród opinii na okładce. Te opinie też są elementem fikcji, pod pierwszą z nich podpisany jest niejaki Manfred Hanemann, pod drugą – Esther

Simmel. Znaczenie tej powieści zostało podane jak na talerzu. Ostatnia z opinii przestrzega: „Zaskakujące i niedopuszczalne ujęcie spraw, o których nikomu nie wolno tak pisać”. To – pisarska kokieteria i zarazem oferta spróbowania zakazanego owocu... A jednak jest w tym coś, powieść Chwina przekracza pewne tabu, zgodnie z którym nie wraca się do zasadniczego problemu polskiej transformacji: zamiany idealistycznych wartości wspólnotowych na mieszczańską pochwałę bogacenia się. To utwór, który nie pozostawia nikogo z nadzieją. Jesteśmy o krok dalej, raczej się zdewaluowały do tego stopnia, że przeżywane mogą być jako farsa, w której nie brak momentów tragicznych. Powieść Chwina jest mocno nasyconą kulturowymi i historycznymi odwołaniami powieścią o niejednoznacznej współczesności. Być może trudniej byłoby bez poczucia śmieszności i komizmu opowiedzieć o niej wprost, nie budząc upiórów, tych autentycznie strasznych i tych groteskowych, albo nie posługując się przerysowaniem. Na przykład powieść Stawireja operuje karykaturą, co z początku jest bardzo śmieszne, a potem staje się banalne.

Groza nie jest czymś do podobania się i lubienia. To dobra powieść, bo straszna, poważna i na swój sposób dostojna.

Anna Nasiłowska

Stefan Chwin, *Panna Ferbelin*, Wydawnictwo Tytuł, Gdańsk 2011

Grzegorz Kalinowski

„...najważniejsze były sprawy religijne...”

Dwa lata po śmierci Jana Błońskiego, ukazały się dwa tomy jego tekstów: w Wydawnictwie Znak *Błoński przekorny. Dziennik. Wywiady* oraz w Wydawnictwie Literackim trzeci tom *Pism wybranych* (omówiony w nr. 1/2011 (69) „Kwartalnika Artystycznego”). Ten pierwszy zawiera teksty, których strukturę wyznacza forma dialogu. Toczy się on na różnych poziomach i z różnymi rozmówcami. Błoński rozmawia z samym sobą, *soliloquia*, z pisarzami, a także różni rozmówcy rozmawiają z nim samym. Ogląd świata, sztuki i literatury dokonywany tu przez Profesora z konieczności, to ogląd skrótowy, wynikający z wydawniczej konwencji tego hybrydycznego tomu, wybranych problemów

literatury polskiej i europejskiej w kulturowych powikłaniach. Syntetyczne, mimochodem jakby kreślone, nerwowo i pośpiesznie, w formie znakomitych literacko fragmentów, uwagi o twórczości Gombrowicza, Leśmiana, Miłosza, Witkacego, Różewicza i innych w zapisach rozmów, zapiskach tego dziwnego, nazwanego tak przez wydawcę, dziennika, teksty o sobie, i rozmowy. Część I zawiera autobiograficzny esej (data, kiedy został napisany jest trudna do ustalenia, można tylko domniemywać, że pochodzi z lat siedemdziesiątych bądź osiemdziesiątych), kilka zapisów dziennikowych z roku 1962 i 1968. Są one fragmentaryczne i wyrywkowe, obejmują zaledwie kilkanaście dni i trudno powiedzieć, czy stanowią część większej całości. Kolejna, Część II, to *Rozmowy z pisarzami*, wywiady Jana Błońskiego publikowane w „Przekroju” od 1953 roku do 1960, m.in. z Leopoldem Staffem, Julianem Tuwimem, Marią Dąbrowską, Jarosławem Iwaszkiewiczem, Zofią Nałkowską a także rozmowy z: Eugène Ionesco („Dialog” (nr 3/1996)); *Rozmowa na próbie*, część I w „Programie teatralnym” Teatru Starego, część II *Wbić z powrotem w ciało* w „Dialogu” z Konradem Swinarskim; *O komunistycznym maglu i poleskiej szkole poezji* z Czesławem Miłoszem w „Nagłosie” 1990 (rozmawiają Błoński, Fiut, Stala, Polkowski, Maj, Walas). W ostatniej, Części III, znalazły się wywiady z Janem Błońskim w roli głównej i tu przede wszystkim mamy Profesora w całej okazałości, pełnego finezji, subtelności, erudycji, ironii i autoironii. Najważniejsze znaczenie w jego wypowiedziach, jako metody analizy dzieła literackiego, mają teorie subiektywistyczne „źródeł regularności upatrujące w naturze człowieka, w budowie umysłu, rzutującego swe intymne harmonie na rzeczy”. Istotne jest nie tylko „znaczenie, które dzieło literackie niesie, budzi ciekawość i tworzy wartość artystyczną, lecz tylko wymienianie się znaczeń, migotanie sensów, drgających w historycznej przemianie”.

Dlaczego, choćby w kontekście powyższych cytatów, ten najwybitniejszy, obok Kazimierza Wyki, czy wcześniejszych gigantów polskiej krytyki literackiej Stanisława Brzozowskiego i Karola Irzykowskiego, krytyk, historyk literatury, eseista drugiej połowy XX wieku miałby być, jak chce wydawca, „przekorny”? Jeśli cecha ta oznacza kogoś, kto umyślnie i na złość czyni coś wbrew komuś lub czemuś, określenie to wydaje się nietrafne. Chyba że ten diaboliczny chichot, często obecny w zapisach rozmów, zaznaczony w tekstach jako *śmiech*, może sprawiać dość powierzchowne wrażenie skrytej i „wreszcie ujawnionej przekory”. Formuła ta jednak upraszcza i zuboża jego fenomen w polskiej krytyce i historii literatury. Błoński nie wydaje się przekorny, ale np. arystokratyczny i wytworny, może wszechstronny, a może i potworny? Kiedy czyta się jego eru-

dycyjne wywody, o chirurgicznej wręcz precyzji intelektualnej, pełne chłopięcej fascynacji a zarazem pasji subtelnego uczonego, przenikliwe dyskursy, w których wnika on w tajnie antropologii i filozofii Gombrowiczowskiej, teologii *Drugiej przestrzeni* Miłosza czy metafizyki Sępa Szarzyńskiego, kategorii zła w renesansie, kierunków w poezji i prozie współczesnej literatury polskiej, kryteriów rozpoznawania tego co ważne, od tego co nieważne, oddzielania ziarna od plew, itd., itp., raczej ma się wrażenie, że obcujemy z erudytą prowadzącym dialog z największymi poetami i prozaikami literatury polskiej i obcej, odczytującym niejednokrotnie, a może i zawsze, niepochwytne sensy ich utworów.

W tekstach pomieszczonych w tomie są obecne właściwie wszystkie wątki znane z wielkich książek Jana Błońskiego. Ujawniają metody, za pomocą których buduje on dyskursy krytyczne z charakterystycznym dystansem wobec siebie i innych, a także humorem i delikatną ironią, które kontrapunktują poważny często ton wywodów. Monografia o Sępie była w warstwie metodologicznej zupełnie odmienna od tego, co obowiązywało w krajowej strategii badawczej lat sześćdziesiątych. Pisał ją autor jako rozprawę doktorską w czasie pobytu w Paryżu na Sorbonie, gdzie był lektorem Wydziału Literatury i Nauk Humanistycznych. Tam przyswoił sobie metody krytyki tematycznej i szkoły genewskiej interpretacji. To Jan Błoński przetłumaczył eseje Bachelarda, Rolanda Barthesa, Pouleta inspirujące ówczesną krytykę polską. Teksty zawarte w *Błońskim przekornym...* prezentują jego rozmówców, autorów, o których pisał, począwszy od Kochanowskiego i Sępa Szarzyńskiego, aż po twórców XX i XXI wieku. Błoński jest nie tylko historykiem i krytykiem literackim, ale także historykiem, psychologiem, filozofem, religioznawcą. Mówi w swoich mikro-narracjach dziennikowych, dialogach z pisarzami, później jako bohater rozmów z nim przeprowadzanych o literaturze, polskiej i obcej, szczególnie francuskiej. Jako krytyk literacki, historyk literatury, tłumacz, znawca teatru, Becketta i Ionesco, i tendencji awangardowych w literaturze współczesnej onieśmiela.

Co to znaczy, według Profesora Jana Błońskiego, być krytykiem literackim? Na pewno jest to opozycja wobec modelu młodopolskiej krytyki literackiej, opartej na mętnych i patetycznych impresjonistyczno-ekspresjonistycznych narracjach. Błoński w czasie studiów polonistycznych na UJ obok Kijowskiego, Puzyny, Flaszena uczestniczył w seminarium krakowskiej szkoły krytycznej Kazimierza Wyki i tam są jego korzenie. Odpowiedź o status współczesnego krytyka, zawarta jest w rozmowie, dotąd niepublikowanej, przeprowadzonej przez Stanisława Dziedzica w maju 1988 roku. Otóż, mówi tam Profesor: „Być

krytykiem to znaczy ustawicznie i wnikliwie śledzić to, co się w literaturze dzieje. Mieć z jednej strony baczenie na konkretne zjawiska, dostrzegać nowości, śledzić i analizować kierunki rozwoju, a z drugiej – nie zatracić jakiegoś szerszego oglądu, by mieć w miarę wszechstronną wizję tego, co w literaturze zachodzi. (...) Głos krytyka powinien być porządkujący, a jego spojrzenie szerokie zdolne do syntezy. Skazany jest przy tym na niekonsekwencje. Jego diagnozy nie zawsze okazują się w przyszłości zasadne, bo nie sposób przecież przewidzieć całego splotu powiązań, które determinują jakies zjawisko literackie. (...) krytyk musi mieć szersze, wykraczające poza daną dziedzinę zainteresowania. (...) Oszczędna strategia stwarza więcej możliwości pełniejszego, bliższego oddania się danej dyscyplinie”.

Mistrzem Błońskiego był Kazimierz Wyka, o którym pisał: „Na czym polega autorytet? Przede wszystkim na dystansie. Gdyby nie było dystansu pomiędzy wiedzą nauczyciela a moją, pomiędzy jego możliwościami intelektualnymi a moimi, to bym do niego nie szedł. Dystans to jego siła: przyciągająca, magnetyczna. Mistrz musi wywołać w nas wrażenie, że posiada niepojęte, nieskończone zasoby intelektualne i rezerwy geniuszu, że potrafi nas zaprowadzić niezmiernie daleko, w takie sfery wiedzy, myślenia, jakich my nawet nie podejrzewamy, ale które gdzieś istnieją na pewno”. Takim Mistrzem stawał się Błoński dla naszego pokolenia (polonistyka lat siedemdziesiątych) i tak jest do dzisiaj. Lekcja Błońskiego właściwie zaczynała się od monografii o Sępie. Później były książki *Miłosz jak świat*, *Witkacy na zawsze*, *Forma, śmiech, rzeczy ostateczne*, *Wszystkie sztuki Mrożka*, *Biedni Polacy patrzą na getto*, *Kilka myśli, co nie nowe*. Począwszy od pierwszej monografii, a skończywszy na zbiorze esejów *Miłosz jak świat*, jawi się ich autor jako niecierpliwy i niespokojny erudyta o wyrazistych hierarchiach opartych na religijnych fundamentach, poczuciu świętości i powszedniości i oczywistych konsekwencjach tego współistnienia. Miał tę zdolność, którą u Wyki rozpoznawał jako „sposrzenie szerokie zdolne do syntezy”. Wszelkie zjawiska literackie widział w całym powikłaniu, potrafił kojarzyć i rozumieć dogłębniej, np. poezję Baczyńskiego i mit tego poety, którego rozpoznawano i opisywano w schematyczny sposób. On charakteryzował go jako „rozkapryszonego arcypoetę”, który podejmuje „gigantyczną pracę duchową”, by „przerobić się do śmierci”, na śmierć, z „poczucia obowiązku, przyzwoitości”, poetę nie mającego nic wspólnego z herosem, męczennikiem, bohaterskim żołnierzem polskiego podziemia. Równie interesujące są fragmenty zapisków z dziennika polemiczne wobec Jerzego Ziomka na temat *Trenów* i zła u Kochanowskiego.

Krytykę literacką traktował jako rodzaj religijnego wtajemniczenia, wędrówkę z mistrzem-przewodnikiem ku „ziemi obiecanej”: „Myślę, że wszędzie, dokąd idziemy, szukamy wtajemniczenia, wejścia do zamkniętego przed innymi ludźmi świata. I wybieramy dlatego, że mamy nadzieję, że ta, a nie inna dziedzina wiedzy jest jedyną drogą, która nas do tajemnicy doprowadza, odkryje coś ważnego, jakąś ziemię obiecaną. Wtedy szukamy przewodnika. A mistrz to człowiek, który zjawia się w takim momencie i daje nam nadzieję, że nas do tej ziemi obiecanej zaprowadzi. Jest w tym coś z magii, coś z kuglarstwa”. Kuglarzem, magikiem był/jest Błoński, wprawiając w osłupienie słuchaczy i czytelników. Miał talent, który dostrzegał u Kazimierza Wyki, do „(...) przekładania z jednego języka na inny, rozumie wszystkie i jednocześnie potrafi wskazać co jest nowe, cenne, a co jest tylko parafrazą banału”. Misja krytyki literackiej zaś to „przywracanie właściwych proporcji w literaturze”, mówił w rozmowie opublikowanej w „Kulturze” w 1981 roku. W refleksjach Błońskiego ujawnia się więc obraz krytyka literackiego, sięgający niemal archetypicznych wyobrażeń mędrca, tak jak mistrza, jako tego, który kroczy na czele korowodu adeptów hermetycznej wiedzy, ku jakiemuś tajemnemu miejscu, a ono pozostaje w ukryciu, nigdy się nie odsłania, bez względu na to, jak wielka byłaby świadomość jego bliskości. Błoński wie o tym, że jako krytyk błądzi i wie, że jest niekonsekwentny. Ale jakże pięknie i mądrze błądzi! Może się mylić, rozpoznając nowości literackie. Nie polegają one, jak pisze, na „nowości tematu, ale na oryginalności spojrzenia, a objawia się w dziedzinie stylu i techniki”. Błoński ustanawiał reguły swojej koncepcji nowej literatury w opozycji do tzw. „szkółki Berezny”. Inne były tu kryteria. Przykładem niech będzie fragment rozmowy z dziennikarzem „Gazety Wyborczej” z 1995 roku o „kontrowersyjnych wyborach” laureatów Nagrody Kościelskich. Gdy mowa o „znużeniu” książkami „literacko wyszukanyymi” (mowa o prozie Marka Kędzierskiego i Krzysztofa Myszkowskiego) Błoński powiada: „A czy Joyce nie jest męczący? Jak Icho. A Beckett? Czytając *Molloya* Becketta to kamienie tłuc. Bo jeśli przy czytaniu zwracać uwagę na wszystkie literackie chwytły, aluzje, subtelności, to przez godzinę przeczyta się kilka – kilkanaście stron. (...) Ale trzeba czytać uważnie, bo w lekturze naiwnej umyka sens. To jest literatura dla znawców lub – przynajmniej – dla amatorów, nie ma rady. Ale ma rację istnienia, jest potrzebna choćby jako doświadczenie granic wypowiedzi literackiej”. Błoński nie znosił łatwości. Wartość ma to, co rodzi opór, co zakorzenione jest w czymś, co tajemnicę osłania – tkaninie misternie tkanej. Uciekał od syntetycznych ujęć literackich. Twórca jawił się w jego koncepcjach jako zminiatury-

zowany kosmos zrodzony w określonym środowisku, stygmatyzowany przez jakiś szczegół. „Łaska szczegółu” naznaczała czy to poetę, czy prozaika. Błoński miał w swych rozpoznaniach rzadki dar przenikliwego oglądania i rozumienia najbardziej zawiłych i skomplikowanych konstrukcji pisarskich, obojętne, czy dotyczyło to poezji, prozy czy dramatu, także teatru. Wiedział wszystko, ale wiedział/przeczuwał także jak się mylić. A to wiedza szczególna. Wynika z poczucia własnej ograniczoności, świadomości istniejących hierarchii i respektu, afirmatywnej postawy wobec świata. Tu, rzecz jasna, natychmiast obok Błońskiego, pojawia się Miłosz, i dwa ich światy równoległe, bądź tożsame, oparte na identycznym niemal rozumieniu porządków wszelkiej twórczości słownej. Metafizyka i fundamentalna w wielkiej sztuce opozycja *sacrum/profanum*.

Literatura, twórczość krytyczno- i historycznoliteracka były jednak niejako wbrew temu, czego pragnął i za czym tęsknił, były zamiast, zamiast „spraw religijnych”. Krytyka literacka Błońskiego, jego największe eseje interpretacyjne: *Widzieć jasno w zachwyceniu*, monografia o Sępie Szarzyńskim, książki *Miłosz jak świat*, *Śmiech, forma, rzeczy ostateczne*, monografia *Witkacy na zawsze*, to dzieła genialne, ale „zamiast”. Fundamentem literaturoznawczego namysłu autora *Odmarszu* była religia. Pisał w *Dzienniku*: „W ogóle mam wrażenie, że w moim życiu za wiele miejsca zajęły sprawy nie najważniejsze: w tym właśnie polityka i podróże, które pochłaniały wiele czasu, zwłaszcza na przygotowanie. Od polityki znowuż zależało życie literackie, w którym brałem przecież udział. Dzisiaj, kiedy myślę o tym, co napisałem lub powiedziałem, odczuwam żal i czasem nawet przerażenie, że nie dotknąłem niemal tego, co było dla mnie najważniejsze. **A najważniejsze były sprawy religijne, tak jakby drzazga Boża, która tkwiła we mnie latami, w uśpieniu albo też jątrząc, ale zawsze obecna** [podkr. moje – G.K.]. Ja też nigdy nie ukrywałem, choć nie było jej znać po moich wypowiedziach: stąd zdziwienie przyjaciół (albo i mało-przyjaciół), którzy prosili nieraz, abym im »wyjaśnił« swe przekonania. Ale nie można wyjaśnić wiary, przestałaby być łaską. Można natomiast uchwycić jej niedoskonałości...”. Miał świadomość, że istnieje sfera nieprzekazywalna, ale i tak wbrew poczuciu niespełnienia, ujawniająca się w jego rozprawianiu o literaturze, pełnych finezji rozmowach z pisarzami w zgrzebnych czasach realnego socjalizmu, czy w późniejszych wypowiedziach z rozmów, w których tym razem jest zapytywanym. Może więc uchwycenie niedoskonałości własnej wiary, braku „spraw religijnych” w dyskursach, rodzi w tym przypadku fenomen – wielostronny namysł nad literaturą, mający się, w przekonaniu twórcy, nijak do literatury. Akt naśladowczy boskiej kreacji, tworzenie dzieła

literackiego, jest jedynie imitacją. Dzieło – *Universum*, kreator – *Agnus Dei*. Niepełnienie teologiczne Błońskiego jest równoznaczne ze spełnieniem krytyka literackiego. Gdyby dać wiarę wynurzeniom z zapisków z dziennika i eseju autobiograficznego, trzeba by uznać Błońskiego, za krytyka, któremu towarzyszy świadomość klęski, która być musi, bo w los ludzki wpisana została. I jeszcze: „nieustanna prawie rozpacz nieautentyczności, rozpamiętywanie pomyłek, niepojętej – dzisiaj – dla mnie drogi, jaką przybrało moje »życie intelektualne«”. Może w takim kierunku powinna podążać wszelka refleksja? Poczucie nieautentyczności, sztuczności to także psychologiczna bariera, brak stałości, czy czegoś autentycznego w sobie, wyklucza jakąkolwiek wielką twórczość, taką przynajmniej, jaką wyznawał Błoński, gdzie stałość fundamentalna jest jej siłą sprawczą. Jego wszechstronność, poruszanie się po różnych obszarach literatury polskiej, obcej, refleksji o teatrze i niechęć czy też niemożność skupienia się na czymś jednym, np. powieści własnej, to być może, skutki presji rzeczywistości, której ulegał, i aby być, musiał przyoblekać się w najrozmaitsze szaty, rzetelnie to znaczy wbrew temu, co na modłę ówczesnych czasów skrojone być powinno. Erudycja, talent pisarski, rzetelna praca naukowa i życie rodzinne stawały się obroną przed wrogim i pokracznym światem, w który wpisane były obok metafizycznej grozy istnienia, jak u Witkacego, wszelkie wynaturzenia historyczne, które tworzył system polityczny. Ale to też upraszcza. Ta refleksja nie ma mocy ogarnięcia całej złożoności sytuacji, w której tkwił i z czym borykał się na co dzień, nie ma także mocy opisanie fenomenu Błońskiego.

Co trzeba mieć, a czego nie miał Jan Błoński, jako najwybitniejszy polski krytyk literacki, a co staje się warunkiem koniecznym słownej kreacji artystycznej? Co oznacza niejasny brak fundamentów, kiedy pisze o swoim literackim nie-spełnieniu jako powieściopisarza? „(...) ja nic nie mam na czym mógłbym zbudować albo od czego zacząć”. Samowiedza prowadząca do nie-powieści, nie-wyrażania światów przedstawionych w literaturze, a ta tęsknota w Profesorze tkwiła chyba głęboko. Nie można wszakże twierdzić, że Błoński to niespełniony pisarz. To byłaby bzdura i kolejne uproszczenie. Faktem jest, że pisarska pokusa się w nim zrodziła. W 1968 roku, w dzienniku, pisał: „Myślałem dawniej, znacznie dawniej, że kiedyś potrafię – że kiedyś zechcę, czy jakoś to się obudzi – napisać powieść czy jakąś prozę, w której by ta część doświadczenia czy niedoświadczenia, ta strona potrzeb i ambicji ale bardziej potrzeb, czasem jakby rozpaczliwych – zdoła się wyzwolić i wyrazić. Myślę wręcz, że w zawodzie tak hybrydalnym jak mój – ani nauka, choćby w najmniej ściśłym, bo historycznym sensie, ani filozofia, ani sztuka – to marzenie o powieści, to

oczekiwanie obrazu, objawienia przez obraz przez siebie stworzony...była jeszcze jednak maska pragnienia autodefinicji, pragnienia autentyczności... (...) żeby mnie coś określiło, to znaczy abym osiągnął jakąś mądrość czy jakąś religię głębiej zasymilowaną" (to są Gombrowiczowskie pasma). O swoim pisaniu stwierdzał: „Została mi tylko droga na oślep: to jest właśnie to pisanie. Opowiedzieć wszystko: i na pewno to bardzo śmiesznie brzmi. Ale jest to właściwie znak czy dowód, jak bardzo żebracza jest ta moja intelektualna kondycja, ja nic nie mam, na czym mógłbym zbudować od czego zacząć”.

Błoński doskonale uchwycił istotę współczesności, jej „smętek”, bo „(...) *civitas* musi i zarazem nie może opierać się na transcendentnej regule: rozplywa się w nijakości albo wykoleja w tyranii”. Rzeczywistość banału, życie na-niby w PRL-u nie mogło zrodzić arcy-dzieła? Czy wielka literatura musi powstawać w heroicznym czasie np. *Rytmy albo inne wiersze* – skutki wielkiej rewolty religijnej w Europie, *Boska Komedia* Dantego – przełom epok, niepokojące pogranicze, *Faust* Goethego – rodzący się światopogląd romantyczny, Miłosz i jego poezja, w różnych fazach stawania się, podlegająca przemianom, ale w głównym nurcie stała i niezmienna, wyrażająca metafizyczne niepokoje współczesnego człowieka, zanurzonego w „morderczym wieku”. Nie ma odpowiedzi.

Może jednym z najważniejszych przeżyć młodzieńczych autora *Widzieć jasno w zachwyceniu* było fizyczne odczucie „przygodności istnienia”, a więc zbędności, poprzedzone utratą/powrotem wiary. *Horror metafisicus*. Wszystko odbywało się w „milczeniu”, a w doznaniu tym nie było, jak mówi Błoński, nic „wyrozumowanego”. To jest także Miłoszowski odczucie, pomiędzy wiarą a niewiarą. Może w tym rodzi się krytycznoliteracki pogłębiony dyskurs? Bo we wszelkich szczelinach, przejściach dzieje się coś, co dla bytu człowieczego ma decydujące znaczenie – intensywne doznanie dziwności świata. I tak Leśmian „(...) błąka się wśród rzeczy pokracznych”, „oderwanych od przyczyny”, myślenie religijne staje się punktem wyjścia Witkacego, „doświadczenie otchłani” jest u źródeł filozofii Gombrowicza.

Błoński to pokrewny duch wielkich, obdarzony darem rozumiejącego wsłuchiwanie się w te głosy wyrwane w rozpacz i niepokoję, w poczuciu „przygodności istnienia”, komentujący je, a zarazem skrywający siebie samego pod maską, kostiumem. Tym gestom towarzyszy świadomość, że być może, wszystko co zynią, jest zamiast.

Grzegorz Kalinowski

Noty o autorach

Barbara Bray (1924–2010); tłumaczka z francuskiego na angielski m.in. Geneta, Sartre'a, Anouilh, Pingeta, czterokrotnie wyróżniona nagrodą translatorską Scott Moncrieff Prize; uczyła języka angielskiego na uniwersytetach w Kairze i Aleksandrii; pracowała w BBC; od 1960 roku mieszkała w Paryżu; wieloletnia partnerka Samuela Becketta aż do jego śmierci w 1989 roku; publikowała w „Observer”, występowała w cotygodniowej audycji BBC „Critics”; (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2005 nr 1 (45), 2006 nr 3–4 (81–82), 2008 nr 4 (60) – słuchowisko radiowe pt. *Przekłeta pamiątka do imion*).

Marquerite Duras, właściwie Marguerite Donnadiu (1914–1996); obok Nathalie Saurraute i Marguerite Yourcenar najwybitniejsza pisarka literatury francuskiej drugiej połowy XX wieku; jest autorką czterdziestu powieści i dziesięciu sztuk teatralnych; debiut prozatorski to powieść *Les impudents*, 1943 (*Agenci*); najważniejsze w jej twórczości to powieści *Moderato cantabile* (1958) i *Kochanek (L'Amant)*, za którą w 1984 otrzymała Nagrodę Goncourtów; autorka scenariusza filmowego *Hiroszima, moja miłość* (1960); w Polsce wydano powieści: *Tamy nad Pacyfikiem* (1960), *O w pół do jedenastej wieczór, latem* (1964), *Kochanek* (1989), *Kochanek z Północnych Chin* (1995), *Chory na śmierć* (1997) i *Moderato cantabile* (2001); w „Kwartalniku Artystycznym” 2000 nr 2 (26) prezentując prozę autorów Editions de Minut, opublikowaliśmy fragment jej powieści *Niebieskie oczy czarne włosy*, 1986 (*Les yeux bleus cheveux noirs*); *La Douleur (Ból)* jest ostatnią wielką książką nie przetłumaczoną dotąd na polski; w niniejszym numerze naszego pisma prezentujemy bez skrótów pierwotną wersję tekstu, którą autorka w kolejnych wydaniach uzupełniła dodatkowymi fragmentami.

Michał Głowiński, ur. 1934 w Warszawie; historyk i teoretyk literatury polskiej, prozaik, profesor IBL PAN; opublikował m.in. *Powieść młodopolską* (1969), monografię o Tuwimie, Leśmianie, Gombrowiczu: *Poetyka Tuwima a polska tradycja literacka* (1962), *Zaświat przedstawiony. Szkice o poezji Bolesława Leśmiana* (1981), *Gombrowicz a nadliteratura* (2002), studia analizujące język propagandy komunistycznej: *Marcowe gadanie* (1991), *Peereliada* (1993), *Mowa w stanie obłąkania* (1996), *Końcówka* (1999), cykl wspomnieniowy, m.in. *Czarne sezony* (1998), *Magdalenka z razowego chleba* (2001), *Fabuły przzerwane. Małe szkice* (2008); ostatnio ukazały się *Kręgi obcości* (2010), (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 2 (66)); laureat m.in. Nagrody im. Jurzykowskiego (1986), PEN-Clubu (1992), Nagrody im. Herdera (2004) i Nagrody im. Jana Parandowskiego (2008). Mieszka w Warszawie.

Agnieszka Grudzińska, eseistka i tłumaczka; autorka rozprawy *Literatura polska wobec Holocaustu* (1940–1960); tłumaczka z francuskiego na polski (Simenon, Emile Ajar/Romain Gary, Houellebecq) i z polskiego na francuski (Norwid, Archiwum Ringelbluma). Mieszka w Paryżu.

Julia Hartwig, ur. 1921 roku w Lublinie; poetka, eseistka, tłumaczka; autorka kilkunastu tomów wierszy, bajek dla dzieci i powieści dla młodzieży, które pisała wraz z mężem, Arturem Międzyrzeckim, autorka monografii Apollinaire'a i Gérarda de Nerval, przełożyła z francuskiego m.in. wiersze: Apollinaire'a, Gérarda de Nerval, Julesa Superviella, Maxa Jacoba, Pierre'a Reverdy, wraz z Arturem Międzyrzeckim korespondencję Artura Rimbauda *Ja to ktoś inny*, Fryderyka Chopina z George Sand i jej dziećmi, wraz z Joanną Guze *Dzienniki. Część I* Eugena Delacroix; z angielskiego m.in. Mariannę Moore, Allena Ginsberga, Sylwię Plath, Williama Carlosa Williams'a; ostatnio ukazały się: w Wydawnictwie słowo/obraz terytoria *Podziękowanie za gościnę* (2006), w Wydawnictwie a5 *Wiersze wybrane* (2010) i *It will return. Poems* (Northwestern University Press, 2010); laureatka nagród m.in.: Fondation d'Hautivilliers „Prix de Tradition” (Francja, 1978), Thornton Wilder Price (USA, 1986), Georga Trakla (Austria, 1999), Wielkiej Fundacji Kultury (2004), Polskiego PEN-Clubu im. Jana Parandowskiego (2009). Mieszka w Warszawie.

Zbigniew Herbert (1924–1998); poeta, dramaturg, eseista; autor dziewięciu tomów poetyckich, m.in. *Struny światła* (1956), *Studium przedmiotu* (1961), *Pana Cogito* (1974), *Raportu z obłąkanego Miasta* (1983), *Elegii na odejście* (1990), *Epilogu burzy* (1998); autor tomów esejów *Barbarzyńca w ogrodzie* (1963), *Martwa natura z wędzidłem* (1993) i wydanego po śmierci poety *Labiryntu nad morzem* (2000); opublikował dramaty m.in. *Jaskinia filozofów* (1956), *Lalek* (1961); laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1963), Nagrody Fundacji A. Jurzykowskiego (1964), Nagrody im. Herdera, Nagrody im. Brunona Schulza (1988), Nagrody Jerozolimskiej (1991), Nagrody

T.S. Eliota (1995); w Roku Zbigniewa Herberta (2008), w Wydawnictwie a5 ukazały się jego *Wiersze zebrane*; a w „Kwartalniku Artystycznym” Dodatek do nr. 2/2008 poświęcony poecie. (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 1998 nr 1 (17), 1999 nr 2 (22)).

Grzegorz Kalinowski, ur. 1955 w Inowrocławiu; krytyk literacki; w 2010 roku ukazał się tom jego miniatur prozatorskich *tylko biel*. Mieszka w Bydgoszczy.

Marek Kędzierski, ur. 1952 w Łodzi; prozaik, eseista, reżyser; autor powieści: *bezludzie* (1994), *modliszka* (1995), *bez miary* (1997), *lucid intervals blind summits* (Huntington 1992); wspólnie z Janem Błońskim wydał książkę *Samuel Beckett* (1982), następnie monografię *Samuel Beckett* (1990); tłumaczył i wystawiał sztuki Becketta i prozę, m.in. *Watt*, *Malone umiera*; przełożył powieści Thomasa Bernharda: *Bratanek Wittgensteina* (1997), *Przeegrany* (2003), *Dawni mistrzowie* (2005), *Moje nagrody* (2010); dla „Kwartalnika Artystycznego” przygotował monograficzne numery i bloki tematyczne o Beckettcie, Pingecie, Pinterze, Giacomettim, Baconie, autorach Editions de Minuit i Suhrkamp Verlag. Mieszka m.in. w Paryżu

Ryszard Krynicki, ur. 1943 w Sankt Valentin (Austria); poeta, tłumacz, wydawca; z żoną Krystyną Krynicką prowadzi Wydawnictwo a5; autor dwunastu tomów wierszy; ostatnio opublikował *Kamień, szron* (2005); tłumacz poezji niemieckiej, m.in. Paula Celana, Georga Trakla, Nelly Sachs, Hansa Magnusa Enzensbergera; laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1976), Nagrody A. Jurzykowskiego i Nagrody im. Karla Dedeciusa (1989), Nagrody Polskiego PEN-Clubu; w latach siedemdziesiątych oraz osiemdziesiątych związany z opozycją demokratyczną, w latach 1978–1981 współpracownik „Zapisu”. (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 1998 nr 2 (18)). Mieszka w Krakowie.

Paweł Mackiewicz, ur. 1981 w Żmigrodzie; krytyk i historyk literatury, pracuje w Zakładzie Literatury Polskiej po 1918 roku Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował książkę krytycznoliteracką pt. *Pisane osobno. O poezji polskiej lat pierwszych* (2010). Mieszka we Wrocławiu.

Anna Nasiłowska, ur. 1958 w Warszawie; pracownik naukowy IBL PAN; autorka m.in.: wierszy, miniatur prozatorskich, powieści, esejów, studiów krytycznoliterackich; opublikowała m.in. *Poezję opisową Stanisława Trembeckiego* (1990), *Personę liryczną* (2000) *Literaturę stanu przejściowego* (2006), powieść *Historie miłosne* (2009). Mieszka w Warszawie.

Krzysztof Myszkowski, ur. 1952 w Toruniu; prozaik, eseista i krytyk literacki, laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich za *Pasję według świętego Jana* (1992); ostatnio opublikował powieść *Funebre* (1998). Mieszka w Bydgoszczy.

Jan Polkowski, ur. 1953 w Krakowie; poeta, wydawca; autor ośmiu tomów wierszy; m.in. *To nie jest poezja* (1980), *Drzewa* (1987); ostatnio w Wydawnictwie a5 opublikował tom wierszy *Cantus*, a w Znaku Cień (2010). Mieszka w Krakowie.

Stanisław Różewicz (1924–2008); reżyser filmowy i teatralny, scenarzysta; reżyser m.in. filmów *Trudna miłość* (1954), *Wolne miasto* (1958), *Piekło i niebo* (1966), *Westerplatte* (1967), *Pasja* (1978), *Nasz starszy brat* (1994); laureat licznych nagród m.in. za: *Miejsce na ziemi* (San Sebastian, 1960); *Świadectwo urodzenia* (Złoty Lew Św. Marka na MFF w Wenecji, Grand Prix Jury Młodzieżowego i Wyróżnienie FIPRESCI na MFF w Cannes, 1961); *Pasję* (Grad Prix na FPF w Gdańsku, 1975).

Tadeusz Różewicz, ur. 1921 w Radomsku; poeta, dramaturg, prozaik; autor trzydziestu pięciu tomów poetyckich opublikował m.in. *Niepokój* (1947), *Plaskorzeźbę* (1991), *Zawsze fragment* (1996), *Matka odchodzi* (1991), ostatnio *Kup kota w worku* (2008); pięciu tomów opowiadań, m.in. *Śmierci w starych dekoracjach* (1970), *Próby rekonstrukcji* (1979); dwunastu dramatów m.in. *Kartoteki* (1960), *Grupy Laokoon* (1962), *Pułapki* (1982), *Palacza* (1997); laureat licznych nagród m.in. Polskiego PEN-Clubu im. Jana Parandowskiego (1997), tytuł *doctor honoris causa*: Uniwersytetu Śląskiego, Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Opolskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Gdańskiego. (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2004 nr 2 (42), 2006 nr 2 (50), 2010 nr 4 (68)). Mieszka we Wrocławiu.

Marek Skwarnicki, ur. 1930 w Grodnie; poeta, tłumacz i publicysta; od 1951 redaktor „Tygodnika Powszechnego”; opublikował jedenaście tomików wierszy, ostatnio *Wygnani z raj*. *Poezje zebrane 1956–2006* (2006); autor m.in. powieści pt. *Marcin* (1967), cykli reportaży, m.in. z pielgrzymki Jana Pawła II do Australii, wspomnień o Janie Pawle II pt. *Namiot Karola Wojtyły* (2009), *Biografii Jana Pawła II* (2002), wspomnień *Mój Miłosz* (2004). Mieszka w Krakowie.

Leszek Szaruga, ur. 1946 w Krakowie; eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckiej, historyk literatury, autor tomików wierszy, powieści, współredaktor pism m.in. „Nową Pol-sza”, laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1986); opublikował trzynastę tomów wierszy, ostatni *Bląg* (2008); szkice m.in. *Ludzki język muz. Czytanie Różewicza* (2008), *Lustro poezji* (2008), *Powinności literatury i inne szkice krytyczne* (2008), ostatnio wydał tom prozy wspomnieniowej *Podróż mego życia* (2010). Mieszka w Warszawie.

Piotr Szewc, ur. 1961 w Zamościu; prozaik, poeta, krytyk literacki, redaktor „Nowych Książek”; autor dwóch tomów wierszy; ostatnio opublikował *Moje zdanie* (2009); autor powieści *Zagłada* (1987), która została przełożona na angielski, chorwacki, francuski, niemiecki, węgierski i włoski; otrzymał za nią Nagrodę im. Stanisława Piętaka; w 2005 roku ogłosił powieść *Bociany nad powiatem*; jest autorem rozmów z Julianem Strykowskiem *Ocalony na Wschodzie* (1991). Mieszka w Warszawie.

Walt Whitman (1819–1892); poeta, prozaik; według Stanisława Barańczaka najbardziej amerykański spośród poetów XIX wieku; debiutował w 1855 roku tomem utworów poetyckich pt. *Żdźbła trawy* (*Leaves of Grass*) zawierającym dwanaście poematów, tom ten uważany jest za najważniejszy zbiór jego wierszy; od 1841 zaczął wydawać opowiadania, w 1842 ukazały się powieści *Franklin Evans* oraz *The Child's Champion* (*Dzieci mistrza*); na język polski utwory poetyckie Whitmana przekładali m.in. Czesław Miłosz i Stanisław Barańczak.

Noty o książkach

*

Księga Ezechiela to kolejny tom serii Wydawnictwa Austeria, w którym wydawane są reprinty biblijnych przekładów rabina Izaaka Cylkowa.

Ezechiel (hebr. „Bóg jest mocny” lub: „Bóg czyni mocnym”) to jeden z proroków „większych”, który ostrzega lud w słowach danych mu przez Boga. Najpierw Bóg postanawia zniszczyć swój nieposłuszny i grzeszny naród, ale że Jego zamiary wobec ludzkości są ze swojej istoty zbawcze, powołuje w niewoli u króla babilońskiego proroka o imieniu Ezechiel, który przez prawie dwadzieścia lat w niesamowitych, wprawiających tak jego samego jak i słuchaczy w osłupienie i w zdziwienie wizjach, będzie wskazywał zagubionemu ludowi drogę, którą ten powinien iść.

A sytuacja była chyba najgorsza z możliwych, właściwie beznadziejna: zniszczona Jerozolima i zrujnowana świątynia, wygnanie, niewola w Babilonie, zanikanie wiary i obyczajów. I w takiej sytuacji staje Ezechiel i odważnie mówi swojemu narodowi, co doprowadziło do tej katastrofy, piętnuje występki, co spotyka się z niechęcią i z prześladowaniami, mówi także o przyszłym odrodzeniu na własnej ziemi, o odbudowie świątyni, miasta i królestwa, o życiu w pokoju, bezpieczeństwie i jedności z Bogiem, bo tylko wtedy możliwa będzie odmiana ich sytuacji, która teraz wydaje się bez wyjścia.

Jeżeli lud będzie z Bogiem, to Bóg da mu swojego ducha i odnowi go do życia. Przejmujący jest obraz-wizja doliny pełnej suchych kości, które, jak zmartwychwstała armia, powstają z Bożego rozkazu i powracają do życia (37, 1–14). A na początku Księgi opisana jest pełna splendoru i dynamizmu wizja chwały Bożej: rydwan, cheruby, olbrzymie sklepienie, tęcza, wiatr, wielki obłok, ogień i blask.

Całość zbudowana jest przejrzysto, logicznie i konsekwentnie z trzech następujących po sobie części i jak zwykle u Cylkowa podana w znakomicie czytającym się tłumaczeniu oraz zaopatrzona w świetnie wybrane przypisy i komentarze do poszczególnych wersów.

Ezechiel podkreśla nieuchronność sądu – nadszedł czas zagłady, a sąd rozpoczyna się od świątyni. Ale jest nadzieja: Bóg pošle nowego Dawida i będzie chronić słabych przed silnymi, usunie z ludu serce z kamienia i zastąpi je nowym – z ciała, zniszczy Goga i Magoga – zawziętych wrogów i podniesie z ruin świętą Jerozolimę. Suwerenne i zdecydowane działanie Boga jest głównym motywem tej księgi.

Nie ma Ezechiela polotu i żaru innych proroków, ale w jego mowach i wizjach obok intelektualnego chłodu dominuje wielki duch, który daje ludowi rzeczywistość nadzieję. Ten prorok, któremu Bóg kazał połączyć zwój z wypisanymi na nim słowami: „narzekania, wzdychania i biadania”, to wielki wizjoner o niezwykłym zmyśle rzeczywistości.

M.W.

Księga Ezechiela, tłumaczenie Izaak Cylkow, Wydawnictwo Austeria, Kraków 2010

*

Jak wiemy, Tadeusz Różewicz raz po raz ogłasza wiersze wraz z ich rękopisami, na których widoczne są poprawki i skreślenia lub przywrócenia, jakby chciał pokazać czytelnikom odwrotną stronę natchnienia – pracę poety, zmaganie się ze słowami, znaczeniem i formą. Zwyczaj ten wprowadził w *Płaskorzeźbie*, która ukazała się we Wrocławiu w 1991 roku i trzymał się go w tomikach następnych, a także w publikacjach na łamach pism literackich, co znają czytelnicy „Kwartalnika”.

Historia powstania pięciu wierszy Różewicza przedstawiona została wraz z rękopiśmiennym wstępem – fragmentem *Kartek wydartych z dziennika*, w którym czytamy, że „Poezja nie zawsze objawia się w kształcie wiersza”. Pierwsze wydanie *Historii* ukazało się w 1993 roku w nakładzie 250 egzemplarzy w Kłodzku, a jak do niego doszło, opowiada w przedmowie Bogusław Michnik.

Pięć wierszy w kolorowych wersjach: w pięciu – *Przypomnienie*, w dziewięciu – *Zwierciadło*, w siedmiu – *Woda w garnuszku*, *Niagara i autoironia*, w jedenastu – *patyczek* i w pięciu – *Dezserterzy*, łącznie z ostatnimi i chyba już ostatecznymi wersjami, a także zdjęcia i rysunki, m.in. Tadeusza Różewicza i Tadeusza Brzozowskiego.

K.M.

Tadeusz Różewicz, *Historia pięciu wierszy*, redakcja Bogusław Michnik, Jan Stolarczyk, Biuro Literackie, Wrocław 2011

*

Dla Tomasza Manna jest to najdroższe opowiadanie Antoniego Czechowa (1860–1904), utwór całkiem niepospolity i fascynujący, który „w swojej cichej, smutnej dziwności nie ma sobie równego w żadnej literaturze”. Czy trzeba lepszej rekomendacji?

To opowiadanie niezwykle: krótkie i zawierające mocne ładunki ducha i arcyzmu. Bohaterem jest stary profesor, ekscelencja, tajny radca i kawaler – „nazwisko”, człowiek znany i szanowany także poza granicami. Jest chory i jego życie zbliża się do kresu: mówi, że ma przed sobą nie więcej niż pół roku. Cierpi na bezsenność i stwierdza, że jest to teraz główna i podstawowa cecha jego istnienia. Opowiada, o tym jak żył i jak żyje, o żonie, córce, pracy i pożał się Boże kolegach i współpracownikach z uniwersytetu. Wykłady są dla niego męczarnią, jest wypalony i zrezygnowany, znużony sobą i światem.

Spotyka się i rozmawia z tymi, którzy do niego przychodzą, ale coraz bardziej nudzą go oni i drażnią. Rozczarowuje go teatr, którym kiedyś się interesował. „Jeśli nie widać postępu w rzeczach małych, to nadaremnie szukać go w większych” – stwierdza.

Jedynym jasnym punktem w jego życiu jest Katia, córka zmarłego przyjaciela, który w testamencie, powierzył ją jego opiece. Bardzo ją lubi i jak mówi, pod pewnymi względami jest do niego podobna. Ale jej życie wikła się i niebezpiecznie komplikuje: wyjeżdża, zostaje aktorką w wędrowniej trupie, zakochuje się, zostaje oszukana, próbuje się otruć, choruje, umiera jej nieślubne dziecko. „Kocham pana jak ojca i jedynego przyjaciela” – pisze do niego z dna rozpacz. Wraca, zamieszkuje obok niego i znowu się spotykają. Jego żona i córka nienawidzą jej, a on zastanawia się, jak to jest, że „cnota i czystość niewiele różnią się od występku”, jeżeli nie są wolne od nienawiści i odrazy.

Chudnie, codziennie traci na wadze. Źle czuje się w domu z coraz bardziej oddalającymi się i obcymi żoną i córką, wieczorami chodzi do Kati, która mówi, że wreszcie „otworzyły mu się oczy” i że powinien odejść od rodziny, wyjechać gdzieś, bo żyjąc, tak jak żyje, jest tylko „człowiekiem zbędnym”.

Zastanawia się nad swoim życiem: „Otrzymałem więcej, niżlim śmiał marzyć. W ciągu trzydziestu lat byłem ukochanym profesorem, miałem wspaiałych kolegów, cieszyłem się pełnym szacunku rozgłosem. Kochałem, ożeniłem się z żarliwej miłości, miałem dzieci. Jednym słowem, jeśli spojrzeć wstecz, to całe moje życie rysuje mi się jako piękny, z talentem skomponowany utwór. Teraz pozostaje mi tylko nie zepsuć finału. W tym celu trzeba umrzeć po ludzku”.

Widzi, jak ludzie szydą i drwią z innych, posuwając się nawet do różnych oszczerczych chwytów i że robi to także Katia i ci, z którymi spędza czas. „Zatruwają powietrze” – tak to kwituje. Czyta francuskie książki i kilku rosyjskich autorów, ale nie znajduje wśród nich ani jednej świetnej: „Jeżeli jest mądrze i szlachetnie, to bez talentu, jeżeli z talentem i szlachetnie, to nie-

mądrze, a jeżeli z talentem i mądrze, to nieszlachetnie". „Poczucie wolności osobistej” uważa za główny element twórczości.

Zajmują go jeszcze sprawy rodzinne, w które wchodzi z inercji i dla świętego spokoju, ale staje się coraz bardziej obojętny i coraz bardziej jest mu „absolutnie wszystko jedno”. Śmieszy go jego rozgłos i stanowisko i za nic ma swoją sławę. Mówi, że nie tyle postęпки są ważne, bo wszystko jest w nich konwencjonalne, ale pragnienia: „Powiedz mi, czego chcesz, a powiem ci, kim jesteś”. I dochodzi do wniosku, „tuż przed śmiercią, u schyłku swoich dni”, że w jego życiu nie ma niczego spajającego, co wiązałoby wszystko w jedną całość, nie ma jakiegoś duchowego centrum, ogólnej idei, czy też „boga żywego człowieka” (tak jest w przekładzie René Śliwowskiego). „A skoro tego nie ma, to znaczy, że nie ma niczego” – stwierdza. I w gruncie rzeczy jego życie jest bezsensowne – życie człowieka zrozpaczonego, tak bardzo wieloma sprawami wypełnione i tak bardzo puste.

W Charkowie, dokąd pojechał w sprawach rodzinnych, spotyka Katię, która pyta go, prosi i błaga o odpowiedź: „– Niech pan powie: co mam robić?”, a on na to: „– Nic, nic nie mogę ci powiedzieć, Katiu. (...) Z ręką na sercu, Katiu: nie wiem”. Ona płacze, a on patrzy na nią i jest mu wstyd, że jest szczęśliwszy od niej: „Brak tego, co koledzy filozofowie nazywają ogólną ideą, zauważyłem w sobie dopiero tuż przed śmiercią, u schyłku swoich dni, a przecież dusza tej biedaczki nie zaznała i nie zazna nigdy spokoju, nigdy!” – bardzo to jest dziwne i zagadkowe zdanie. Zaprasza ją na śniadanie, ale ona odmawia, żegna się z nim zimno i odchodzi. Widzi, jak w czarnej sukni idzie długim korytarzem. „Żegnaj, mój skarbie!” – mówi do siebie i taki jest koniec tej historii.

Czechow jakby o sobie tu opowiadał i chociaż nie był starym człowiekiem tak jak jego bohater (w 1889 roku miał dopiero dwadzieścia dziewięć lat), to była to jednak jego własna, bardzo osobista *skuczna* historia, którą porównywano ze *Śmiercią Iwana Ilicza* Lwa Nikołajewicza Tołstoja. Nie raz zastanawiał się, czy nie okłamuje czytelnika, skoro nie umie odpowiedzieć na najważniejsze pytania. „Duch literatury dobija się do sumienia człowieka” – mówi Mann. Czechow pyta siebie, jaki jest cel jego życia i jego pisanie. „Świadome życie bez określonego poglądu na świat – pisał do jednego z przyjaciół – nie jest życiem, lecz ciężarem i przerażeniem”. Co jeszcze można do tego dodać?

„Smętne uczucie litości i ból sumienia, jakich doznaje współczesny mężczyzna na widok nieszczęścia, o wiele więcej mówi o kulturze i poziomie moralnym, niżli nienawiść i odraza” – stwierdza. Zastanawiam się, czy właśnie współczucie dla człowieka nie jest „ideą ogólną” Czechowa – to

współczucie, które najgłębszy wyraz znajduje w Ewangeliach? Nienienawiść i odraza dla rodzaju ludzkiego, pogarda i wywyższanie się, ale: współczucie. Według niego silni i słabi, bogaci i biedni powinni *r ó w n o m i e r n i e* [podkr. moje – K.M.] brać udział w walce o byt, „każdy sam za siebie”. Jeżeli jestem silniejszy, mądrzejszy i bardziej utalentowany od innych, to znaczy tyle, że powinienem robić więcej, intensywniej pracować i z jeszcze większą pasją służyć ludziom. A jeżeli już z kogoś być niezadowolonym, to przede wszystkim z samego siebie, bo „niezadowolenie z siebie to podstawa każdego prawdziwego talentu”: „Ciesz się ze swojego niezadowolenia – mówił. – To dowód, że jesteś czymś więcej niż ludzie zadowoleni z siebie, może nawet jesteś wielki”. Chciał być wolnym pisarzem i jak powiedział, żałował, że Bóg nie dał mu dość sił, aby mógł nim zostać. To było jego *credo* artystyczne i życiowy program, którego wiernie się trzymał. I jeszcze jedną jego radę warto zapamiętać: „Sztuka pisania to sztuka skracania”.

Tekst opowiadania uzupełniają: *Esej o Czechowie* Tomasza Manna w tłumaczeniu Izabeli Czermakowej, przypisy, komentarz i *Kalendarium życia i twórczości Antoniego Czechowa* autorstwa tłumacza, w którym znajdujemy wstrząsające fragmenty opisujące m.in. spotkanie z chorym Lwem Tołstojem, Boże Narodzenie 1901 roku, które spędzał w Jałcie i śmierć, która nastąpiła o trzeciej nad ranem z 15 na 16 lipca, a którą znamy z dwóch bardzo różnych relacji.

Rażą błędy korektorskie i niestaranność redakcyjna, co przeszkadza w lekturze, a niekiedy zamazuje sens i wymowę całości, gdy na przykład ten sam zwrot raz tłumaczony jest: „bóg żywego człowieka” (patrz wyżej), raz: „Bóg żywego człowieka”, a trzeci raz: „bożyszczce żywego człowieka”, bo są to jednak zasadnicze różnice, a nie jedynie stylistyczne usterki!

K.M.

Antoni Czechow, *Nieciekawa historia*, przekład i komentarz René Śliwowski z dodatkiem eseju Tomasza Manna o Czechowie, seria „Wielcy pisarze w nowych przekładach”, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2011

*

Ten tom o dosyć pretensjonalnym tytule gromadzi eseje Eliasa Canettiego (1905–1994) z lat 1962–1976 ułożone w kolejności ich powstawania i dotyczące m.in. Konfucjusza i Kafki, Tołstoja i Buchnera, Brocha, Karla Krausa i Hitlera, a także zburzenia Hiroszimy. Canetti występuje w nich jako świadek epoki,

który zdaje sprawozdanie „z duchowych stacji swojego dorosłego życia”, chociaż nie tyle siebie umieszcza na pierwszym planie, co prezentowane wzorce i antywzorce oraz mowę i zagadnienia dotyczące języka.

W szkicu otwierającym, pochodzącym z 1936 roku i traktującym o Hermannie Brochu, wymienia trzy atrybuty, które powinny charakteryzować pisarza reprezentatywnego dla swojej epoki: bezpośredni związek z otaczającym światem, który nazywa nałogiem i z którego wynikają: bezpośredniość i niewyczerpanie, które są według niego cechami geniusza, dążenie do uniwersalizmu, czyli do absolutnego poznania jako takiego, co w ogóle jest misją pisarstwa oraz sprzeciwianie się swojemu czasowi, całej swojej epoce – konkretny i głośny protest przeciw niej.

W *Dialogu z okrutnym partnerem* snuje rozważania o zapiskach, notatnikach i dziennikach i jest to o tyle efektowny i interesujący wywód, co, jak na mój gust, nazbyt powierzchowny i pompatyczny, napisany w niewygodnej pozycji stania na palcach. O wiele ciekawszy jest znany jako posłowie *Listów do Felicji* długi szkic pt. *Drugi proces. Kafki listy do Felicji*, chociaż i tu raz po raz znajdujemy zdania, które wprawiają w zakłopotanie, np.: „On [Kafka – przyp. mój – M.W.], którego cechą naczelną była delikatność, nie miał żadnych oporów przed odczytywaniem wciąż na nowo listów Kleista, Flauberta, Hebbła”.

W *Napadach słów* już w pierwszym zdaniu stwierdza: „Byłoby z mojej strony zarozumiałstwem, a zapewne także daremnym trudem, tłumaczyć Państwu, co zawdzięczam językowi”, a jednak robi to, to znaczy usiłuje to zrobić, chociaż rzeczywiście jest to „trud daremny”. Pełen łatwych i w gruncie rzeczy pustych zdań jest esej pt. *Totstoj, ostatni przodek*. O wiele lepszy jest szkic ostatni, pochodzący z 1976 roku *Zawód pisarza*, w którym jasno, prosto i w dobitny sposób mówi o o d p o w i e d z i a l n o ś c i „tego, który pisze” i o tym, że powinien on być „strażnikiem przemian” i podtrzymywać ten jeden z najwspanialszych darów, jaki dostał człowiek (mówi nawet o „namiętności przemian”, czyli doświadczeniu ich „nieskończonej ilości”). „Tylko dzięki przemianie w skrajnym znaczeniu, w jakim to słowo jest tu używane, można odczuć, kim jest człowiek, kryjący się za swoimi słowami” – stwierdza.

M.W.

Elias Canetti, *Sumienie słów*, przełożyły Maria Przybyłowska, Irena Krońska, posłowiem opatrzył Marek Bieńczyk, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011

*

Stanisława Ignacego Witkiewicza (1885–1939) trzysta osiemdziesiąt dwa *Listy do żony* z lat 1932–1935, a wśród nich kartki pocztowe, widokówki i telegramy – to już trzeci tom tego pasma korespondencji; wcześniejsze omówiliśmy w „Kwartalniku” nr 4/2005 (48) i 1/2008 (57).

Po lekturze poprzednich czterystu pięćdziesięciu dziewięciu listów tu już wszystko toczy się raczej bez większych zaskoczeń, a tym bardziej rewelacji: korespondencja jest w miarę regularna, nie ma tak długich przerw jak w tomie poprzednim, a okresy niepisania listów łączą się z ich pobytami razem. Witkacy błyszczą gamą różnorodnych podpisów jak m.in.: Szukacz, Wilkołaczek Bykoślowski, Skamracy, Dziubdziuś, Ciupek, Ciupeczek, Półdupski, Wyrodek, Więkcuchno-Więcejkiewicz-Zasępiewicz-Pierdocheński, Bubek, Cypek, Typek, Gnidon Flaczko, Zegarek Mistrz, Wojtaszek Wojdyłło, Dupek-Pupeczek, Dzidzio Kotek, Cypon, Witkasek, Witkac, Wiciuś, Witkacuszek, Vitcasse (znaczące!), Witkacjusz, Vitkatz, Gangary Pierduchewicz (tu: „Na Święty Traktory – wyczyść Twe otwory / Na Św. Witkacy – nie imaj się pracy”), Pipek, Witkasiątko, Watek Pierdonazy, Gróf Witkaczy, Bufory (z kolei do tego podpisu dołączony jest wierszyk: „Wino się pije, / Piwo się żłopie, / A wódę to tylko się chła. / Panny się liże, / Damy się gwałci, / A dziwki to tylko się pcha”), Mimoóród, Witkatzerl, Xiądz Wytryszko, Domator, Pigoń, Bydłek, Glamzdrón Perdywłuszko, Fierdypuszko, Kotek, Ryffke, Nenufary, Guston Dwąpirejko, Stasiak, Mężuś, Wycieczkowicz, zawsze z dodatkiem „Twój” umieszczonym przed wyżej wymienionym, chociaż i tak najczęściej podpisuje się standardowo: „Twój St.”.

Narzeka, że jest przepracowany, ma kłopoty finansowe („brak floty”) – kryzys ekonomiczny odbija się na dochodach jego Firmy Portretowej i w związku z tym ciągle musi kogoś malować (to jest stały wątek tych listów), co niekiedy doprowadza go do szewskiej pasji, której świadectwem jest np. wierszyk napisany po sportretowaniu kolejnej osoby: „To duża przykrość, duża, / Od rana robić stróża, / Za taki nędzny zysk / Zgłębiać ten przykry pysk”) – chodzi tu o stróża w domu Stefana Szumana, co przytomnie odnotowane zostaje w przypisach. Podróżuje trzecią klasą, żali się i biadoli, lecz w gruncie rzeczy jest to bardzo pomyślny dla niego czas: Jadwiga po prawie trzech latach separacji i wojny między nimi, zgodziła się przyjąć warunki, na jakich miał trwać ich związek, czyli właściwie przyjaźń, gdyż główną namiętnością Witkacego była jego młoda i kapryśna partnerka Czesława Oknińska-Korzeniowska, która raz po raz robiła „szpryngla”, czyli próbowała

odejść od niego, co za każdym razem mocno przeżywał. I chociaż narzeka na impas twórczy, niemożność pisania („Zdaje się, że straciłem talent – tu nic nie pomoże”; „Roztasowałem się. Potrzebuję samotności”), to pisze w tym czasie i wydaje między innymi: *Narkotyki*, *Jedyne wyjście*, *Szewców* i liczne artykuły filozoficzne, a także pilnie poprawia traktat *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia*, zwany Hauptwerkem lub „główniakiem”.

W tych listach jednak prawie nie ma tematów literackich, artystycznych, czy intelektualnych – Nina nie była dla Witkacego partnerem w tych kwestiach. Dominują tak zwane sprawy życiowe, czyli kulinarne, zdrowotne i intymne, a nawet bardzo intymne (gdy np. pisze o wypróżnieniach bardzo obcesowo, a nawet ordynarnie).

Wspaniałe są te wszystkie psychologizmy Witkacego, to jak wnika w innych, jakie świetne obserwacje psycho prowadzi. Daje jej rady, uczy, kształtuje, przekazuje i to jak! Widać, jak jest do niej przywiązany, czy przylepiony w jakiś iście synowski sposób (jego matka zmarła w 1931 roku). Jest to tak skomplikowana korespondencja, że o jej jakimś jasnym opisanium mowy być nie może.

Może jest w tym tak długi przebiegu, obejmującym setki i setki listów, pewna monotonia tematyczna, ale trzeba przyznać, że język Witkacego skrzy się i iskrzy i nie daje czytelnikowi spokoju, tak dziwne wiry, moce i napięcia w sobie ma, tak różne fluidy i świetnie działające rozruszniki. Układa się ten ciąg w jakiś miłosno-przyjacielski szyfr, w może nieco zwariowaną, ale bardzo realistyczną narrację. Raz po raz natrafiamy na różnego rodzaju żarty i gry językowe, zaskakujące neologizmy w oryginalnych kontekstach umieszczone i nie mniej od nich dziwne wyrazy gwarowe i pseudogwarowe, niezłe nieraz zmienione i poprzekęcane, miny, popisy i grymasy, a także specjalne skróty jak na przykład „CB”, czyli „Całuję Bardzo”, czy „T.W.M.” [Twój Wierny Mąż], etc.

Oto próbka tej narracji: „Co? Ty śmiesz mi grozić, ty wachawko, ty mierz- kowana suczko metafizyczna – że nie napiszesz? Jak Ci Bóg miły. Twój Bóg jest tylko korelatem intencjonalnym Twoich metafizycznych przeżyć transcen- dentalnych, legawczesamicowaty, Ty, i niczym więcej. A z Unrugami mi nie wyjeżdżaj, bo jest chwala Bogu lepsza jeszcze szlachta na świecie – choćby Savo- ja-Carignano, albo i ta japońska *dynastyja*, panie, świeć jej przodkom, co się od słońca wywodzi. A i ja także, dzięki »ślachcickiemu« Bogu, też nie od ostatnich chamów się wywodem. Patrzenie ją = plisowana Klotylda jaka – Maciakowa jej śmierdzi, bo Maciaki od szlachty góralskiej z Rytra spod samej Piwnicznej się wywodzą. Maciakowa mi robotę daje, to ja robię, a jak mam robotę, to i Nowy

Sącz mi pachnie – jucho. Toś *Bezdomnych* p. Żeromskiego nie czytała”. Te zapisy dobrze wskrzeszają to, co było między nimi. Nina całą tę korespondencję (z niewyraźnych przecież rękopisów się składającą) dwa razy czytała od początku do końca na głos swojej przyjaciółce, bo oprócz „rzeczy strasznych” są tam naprawdę dużej piękności wyznania miłosne i komplementy, które kieruje tylko do niej i których nigdzie indziej nie znajdziemy.

Pomocnym uzupełnieniem są jak zwykle w tej edycji *Przypisy*, które wprowadzają w tajniki i sekrety i rozszerzają lub zawężlają ten korespondencyjny tok, na przykład: opinie o nim innych, tła jego wypowiedzi, opis jego metody pisarskiej i sposobu pisania (pisał piórem, ale nie wiecznym i zawsze fioletowym atramentem), charakterystyki pism, z którymi współpracował (np. „Zetu”, „Linii”, czy „Epoki”), sylwetki przyjaciół i znajomych, zarys jego pochodzenia (starożytna rodzina ze Żmudzi), kłopoty finansowe i podróże po Polsce w poszukiwaniu klientów, a raz nawet, niestety nieudana, próba ustalenia danych towarzyszek (jakiejś przyszłej zakonnicy i brzydkiej, długonosej dziwki) ucieczki Piernikatora-Piernikarskiego.

Przesuwa się przed nami korowód wspaniałych postaci, z dołączonymi do nich opiniami Witkacego: m.in. Szymanowski, Schulz, Miciński, Ingarden, Kotarbiński, Leszczyński, Szuman, Chwistek, Szturm de Sztrem, Tuwim, Słonimski, Braun i Uniłowski. Ma prorocze sny, wizje i halucynacje, choruje, chodzi do łaźni, je czosnek, pije piwko, raz po raz przeżywa perypetie miłosne z Czesią („B. chciałbym Ciebie widzieć, ale też bez Czesi żyć nie mogę – to trudno” – komunikuje biednej Ninie), depresje i kace, czyli głątwy, bywa w stanie, jak to określa, „m a r m e l a d y”, jest bliski samobójstwa („Jestem w stanie p r a w i e samobójczym. Jeśli to przezwyciężę, będę prawdziwym tytanem”; „A więc co bym nie zrobił, życie moje dalsze widzę w formie postępującej nędzy, zakończonej samobójstwem”), nie widzi przed sobą przyszłości albo widzi ją czarną, ciągle domaga się od niej jak największej liczby detali („szalenie mnie wszystko obchodzi”, argumentuje), odzywa się „z dna otchłani”, układa smutne wierszyki, np. „Życie za krótkie, / Czasu za mało, / Wszystko małe, / Nic nie zostało”), ale też i pełne werwy, jak na przykład: „Przekłete ścierwo, bądź mą Minerwą. / Ach, mą Minerwą choć przez chwilę bądź. / Daj raz odpocząć moim biednym nerwom. / W kąciaku sobie pacierz zmów i siądź”.

Ma kłopoty z potencją, pisze, że jest sflaczały („Szczęśliwy starzec, że przeżył marzec”, konkluduje 26 marca 1935), ale raz po raz nadużywa a to coco, a to alkoholu, tytoniu lub czegoś innego, robi awantury, obchodzi pięćdziesiąte

urodziny, zamieszcza wzmianki o postępie prac pisarskich, co tak podsumowuje: „Nineczko: tak głupio się układa całe życie – tyle rzeczy ginie – tylu szkoda i wychodzi bolesny nonsens, a po drodze, jak kupki gówienek, nikomu niepotrzebne dziełka”. Ma problem, ze szczęką („szczęką z Krakowa”), ciągle miszmasz i galimatias z Czesią i na zmianę popada to w rozpacz, to w, powiedzmy, czarny humor: „Chciałbym być starą panną, nauczycielką szkoły ludowej w Choćkowie w pow. Białobrzeskim. Już zaczynam mieć dosyć życia, a tu się zanosi na coraz gorzej”.

Ale mówi też o głosie *daimoniona*, który słyszy w sobie. W październiku 1935 roku odwiedza na Wawelu grób Marszałka Piłsudskiego i notuje: „b. wielkie wrażenie odniosłem”. I chociaż wszystko to istnieje w jakimś wielkim splątaniu, poplątaniu i zawieszaniu, to przecież jest barwne i żywe, na przemian cudowne i cudaczne i bardzo związane tak z życiem jak i z literaturą.

Przed nami listy z ostatnich czterech lat jego życia.

K.M.

Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Listy do żony (1932–1935)*, przygotowała do druku Anna Micińska, opracował i przypisami opatrzył Janusz Degler, *Dzieła zebrane*, tom XVII, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2010

*

Po Edwardzie Stachurze – Stedzie pozostało dwadzieścia dziewięć notatników; dwadzieścia siedem znajduje się w Muzeum Literatury, dwa pozostają w rękach rodziny. Niedawno ukazał się ich wybór z lat 1956–1973, niezbyt adekwatnie nazwany *Dziennikami – Zeszytami podróznymi*; bardziej stosowne byłoby je określić notatnikami czy zapiskami, do czegoś pisarzowi potrzebnymi. Nie ma jednak sensu toczyć sporu o klasyfikację gatunkową, ale raczej zastanowić się nad ich przydatnością do budowania obrazu Edwarda Stachury – jednej z niebanalnych postaci w polskiej literaturze. Moje pokolenie miało tę niepowtarzalną szansę, by prawie na bieżąco śledzić drogę pisarską Steda. Wstrząsnęła nami silnie jego samobójcza śmierć, do dzisiaj niczym relikwię przechowujemy jasnoniebieski zeszyt „Twórczości” z 1980 roku (nr 1). Kibicowaliśmy fali Stachuromanii, jaka ogarnęła polską młodzież, a czego *apogeu*m stało się dzinsowe wydanie utworów zebranych. W tym czasie my już byliśmy w życiu gdzie indziej – założyliśmy rodziny, pograżyli nas stan wojenny, mijała młodość...

Wciąż mam książki Stachury na półkach z najważniejszymi, i najpotrzebniejszymi, lekturami, ale dwie są dla mnie lekturami niezbędnymi: *Siekierzada*

i ta „Twórczość”, w której po raz pierwszy czytałem *Pogodzić się ze światem*. Nie mam zamiaru spowiadać się publicznie, dlaczego akurat te teksty, bo to sfera intymna, pozasłowna. Chcę tylko zaznaczyć, że Stachura i jego pisanie są mi nieobojętne. Nie zawsze jednak aplauduję różnym wydaniom pośmiertnym, chociażby *Listom do Danuty Pawłowskiej*.

Dzienniki Edwarda Stachury są dopowiedzeniem do jego życia, pisania, wreszcie mitu, jaki tworzył za życia, nie przypuszczając, że ten mit może tak wyolbrzymić po jego przedwczesnej śmierci. Te zapiski nie tworzą rysy na obrazie pisarza, są takie jak życie Steda – bez silenia się na pseudointelektualność, bez nadmuchiwania balonu własnego „ja”, z pokorą wobec życia i losu, z wiarą, że to pisanie, że literatura może być obroną przed światem, ale też może stać się pętlą samobójczą. Już w pierwszych liniijkach, niespełna dwudziestoletni zapisał: „To tak wygląda, jakbym się bał tych słów, że one mi będą pamięć podpalać. Podkładać pod nią ogień. Żeby się tamte ciemne sprawy znowu rozświetliły na moją zgubę”. Echo tych zdań odezwie się w sposób przejmujący – i ostateczny – dwadzieścia parę lat później w *Pogodzić się ze światem*.

Pamiętam zbyt dobrze jeszcze swój pierwszy kontakt z twórczością Stachury w licealnych czasach: niewielki tomik opowiadań Stachury *Falując na wietrze* (przy okazji pozdrawiam ten egzemplarz z dedykacją Steda, będący w cudzych, nieznanymi mi rękach!). Uwiodła mnie autentyczność tego pisarstwa, prostota, szczerłość i wrażliwość – jakże odmienna od ówczesnej młodej literatury typu Brycht, Iredeński, Nowakowski. Pośród nich Stachura jawił się jako łagodny buntownik, wręcz prostaczek – i dlatego przyciągał. I teraz w późnym wieku, kiedy czytam jego *Dzienniki*, odnajduję tamte młodzieńcze tropy. Zapiski Steda nie wydają mi się żadną kłamrą zamykającą, bo to poniekąd kawałek mojego życia.

Prawie równocześnie z notatnikami Stachury trafił do mnie *Dziennik* Mrożka, okrzyczany wydarzeniem literackim 2010 roku. Po kilkunastu stronach Mrożka odklejam się od opasłego tomu, obcego świata, obcych problemów. Z czułością podczytuję na nowo Stachurę.

PS. Trudno jednak pozostać miłosiernym dla autora przygotowanych do druku *Dzienników* Edwarda Stachury (także autora przypisów i redaktora książki) Dariusza Pachockiego, kiedy w przypisie 253 myli poetę Leszka A. Moczulskiego ze skrachowanym politykiem Leszkiem Moczulskim!

A.J.

Edward Stachura, *Dzienniki. Zeszyty podróżne 1*, wybór, przygotowanie z rękopisu do druku, przypisy i posłowie Dariusz Pachocki, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2010

*

Imponującą naukową biografię Paula Celana Johna Felstinera uzupełnia wydana niedawno korespondencja Ingeborg Bachmann i Paula Celana (Wydawnictwo a5), o której książka nie wspomina. Trudno też nazwać ją pełną, ponieważ istnieją *Dzienniki* Celana, obwarowane klauzulą ich upublicznienia w 2020 roku, co na pewno przyszłemu biografowi pozwoli uporządkować nie tylko życie i twórczość, ale też inaczej spojrzeć na drogę poetycką tego tragicznego poety. Na pewno przyszły biograf nie będzie mógł ominąć książki Felstinera, która wydaje się być bardzo sumienną merytorycznie, w dodatku napisaną w przystępny sposób. Ogrom pracy amerykańskiego biografisty, tropienie prawdy o Celanie poprzez jego wiersze, a także listy, wypowiedzi, wspomnienia budzi szacunek i podziw, ale jest jednocześnie taką lekturą, którą trudno wchłonąć za jednym razem. Jest znakomitym przewodnikiem dla tych wszystkich, dla których niełatwa poezja autora *Fugi śmierci* jest pożywna. Ale czas pracuje na korzyść Celana – choćby poprzez kolejne książki o nim, czy kolejne wybory tłumaczonych na język polski wierszy.

Dla mnie, który o Celanie dowiedział się wpiery z informacji o samobójczej śmierci jakiegoś (wtedy tak to odbierałem – „jakiegoś”) poety w wodach Sekwany, a potem nie bez trudności pokonywał schody jego wierszy, by dzisiaj uważać Celana za kogoś „bliskiego”, chociaż jeszcze nie do końca odkrytego, pożytek z tej biografii jest duży. Nie mogę się oprzeć pokusie zacytowania akapitu dotyczącego tego, co stało się pierwszym w mojej długiej, wciąż trwającej przygodzie, nazywającej się Paul Celan: „Okolo 20 kwietnia 1970 roku, w okolicach święta Pesach, Celan zszedł z mostu i wszedł do Sekwany. Choć był dobrym pływakiem, utonął przez nikogo nie zauważony. Nie zjawił się w École Normale. Listy piętrzyły się pod drzwiami jego prawie nieumeblowanego mieszkania. Gisèle zadzwoniła do przyjaciela, by zapytać, czy jej mąż przypadkiem nie pojechał w końcu do Pragi. 1 maja rybak natknął się na ciało Celana dwanaście kilometrów w dół rzeki”.

A.J.

John Felstiner, *Paul Celan. Poeta, ocalony, Żyd*, przekład Maciej Tomal, Małgorzata Tomal, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt 2010

*

„Na początku informacja podstawowa. Kornel Filipowicz urodził się 27 października 1913 roku w Tarnopolu, zmarł 28 lutego 1990 roku w Kra-

kwie” – tak zaczyna się *Ku wielkiej opowieści* Jana Pieszczachowicza, która jest – jak napisał wydawca – „pełną monografią życia i twórczości Kornela Filipowicza”. Nie wiem, jak rozumieć „pełna”. Wydaje mi się to określenie na wyrost. W każdym razie czuję niedosyt, może dlatego, że o takich pisarzach, i o człowieku takiego formatu, mógłbym czytać tomy opasłe. Na szczęście Wydawnictwo Literackie wydało równocześnie *Byliśmy u Kornela* – portret wielokrotny pisarza, co rozszerza biografię napisaną przez Pieszczachowicza. Do tego dwuksięgu dołączam, podczytując znowu, książkę wydaną przez Wydawnictwo Literackie w 2000 roku *Kornel Filipowicz. Szkice do portretu*, nie zapominając sięgnąć do wydanych już po śmierci pisarza wyborów opowiadań. Jak na obowiązujący pobyt w poczekalni literackiego czyścica, który jest (nie)normalną koleją pisarskiego przeznaczenia, to nie mało po dwudziestu pośmiertnych latach. Chylę więc czoło przed strażnikami pamięci o tym znakomitym prozaiku, o którym w 1977 roku Jarosław Iwaszkiewicz napisał: „...dla mnie jest to jeden z najczystszych, najwybitniejszych naszych prozaików, który swą bezpretensjonalność posunął wręcz do wirtuozerii”.

Bardzo trafnym pomysłem wydawniczym jest *Byliśmy u Kornela*. Książka zawiera nie tylko różnorodne gatunkowo wspomnienia o Filipowiczu, ale przywołuje też samego pisarza, poprzez kilka jego opowiadań i wierszy, wypowiedzi i wywiady, ale też wybór z *Notatników*, drukowanych w 1992 roku we wrocławskiej „Odrze” – wybór niestety aż za bardzo skromny, a przez swoją uważność, tak charakterystyczną dla jego pisarstwa, aż proszący się o więcej, jeżeli nie o osobne wydanie. Właśnie ta część *Rzeczy o Kornelu Filipowiczu* bardzo wiele wnosi do zrozumienia wybrania przez niego swoistej i własnej ścieżki w literaturze, może z pozoru mało efektownej, ale spróbujcie zacząć czytać te opowiadania i nowele... „Wszystko, co piszemy, należy do jednego wielkiego tematu: zmagania się nas, ludzi, z otaczającym nas chaosem, z nami samymi, z czasem, na którego działanie wystawieni jesteśmy, byliśmy i będziemy bezbronni”.

Jak wspomniałem biografia, napisana przez Jana Pieszczachowicza, jest preludem do tej zasadniczej. Ale jeśli jestem krzywdzący w tej opinii, to tylko dlatego, że w mojej projekcji Kornel Filipowicz jawi się jako ktoś pomnikowy, a i na pewno doskwiera mi niedogodność, że nigdy „nie byłem u Kornela”.

A.J.

*

Te rozmowy zostały zarejestrowane na taśmie magnetofonowej wiosną i jesienią 1992 roku, czyli niespełna dwa lata przed śmiercią Witolda Lutosławskiego (1913–1994) i są chyba jedyne, prezentowane w zapisie, które nie zostały przez niego autoryzowane. Zofia Owińska, która je przeprowadziła, przyjaźniła się z kompozytorem, co nadało im większą bezpośredniość i wyrazistość.

W rozmowie pierwszej Lutosławski wspomina najbliższych: ojca i jego brata, którzy zostali rozstrzelani w 1918 roku przez bolszewików („Ostatnie moje wspomnienie o nim to wizyta w jego celi, gdzie był razem z bratem”), matkę, która miewała okresy bardzo ciężkiej depresji i „okresy dobrego samopoczucia, może nawet za dobrego jak na normalne wymagania – ale to należało właśnie do tej choroby”, opisuje gniazda rodzinne (Lutosławice i Drozdowo), pobyt w niewoli niemieckiej, śmierć na Kołymie brata, z którym był mocno związany, pierwsze kontakty z muzyką, która była zakorzeniona w rodzinnej tradycji. Stwierdza, że nie pamięta się „ciągłości życia, tylko poszczególne fragmenty”.

Wymienia najważniejszych dla siebie kompozytorów: Beethovena, Haydna i Schönberga oraz Debussy'ego jako główne źródło, wspomina nauczycieli. Mówi o pracy nad językiem dźwiękowym, o odpowiedzialności za każdą nutę, o harmonice, melodyce i ekspresji, która nie ma nic wspólnego z „uczuciami życiowymi”, a także o natchnieniu, które polega na tym, że „w wyobraźni kompozytora nagle powstają rzeczy, które przed ułamkiem sekundy nie istniały” i że „aby takie momenty mogły się zdarzyć, trzeba pracować. Trzeba regularnie swoje narzędzia twórcze wprawiać w ruch”. Praca kompozytora to jest właściwie nieustanna praca, bo we wszystkim, co się robi, jest pewien margines swego rodzaju rozczarowania i to należy do mechanizmu twórczości artystycznej i nie powinno być jej siłą hamującą, ale, przeciwnie, siłą napędową, bo: „w tym właśnie uczuciu niespełnienia swoich zamierzeń jest racja zaczenia na nowo czegoś innego, w którym pomija się to, co było irytujące w poprzedniej pracy, a rozwija się to, co uznaje się za udane i co nadal pozostaje świeże i atrakcyjne”. Przy tej okazji wspomina odpowiedź Czajkowskiego, który na pytanie pewnej damy, czy pracuje regularnie, czy czeka na natchnienie, odpowiedział: „Łaskawa pani, ja pracuję regularnie, bo natchnienie nie nawiedza leniuchów”. I sam też tak postępował: codziennie rano siadał do pracy, oczywiście, jak mówi, z najróżniejszymi wynikami.

Zapytany: „Jak wygląda codzienne życie wielkiego kompozytora?”, odpowiada: „Wiesz, forma twojego pytania zmusza mnie do powiedzenia, że ja nie wiem, jak wygląda życie wielkiego kompozytora”. A zapytany, w skory-

gowanej wersji: „Jak wygląda twoje życie?”, odpowiada: „Jak wygląda moje życie codzienne – to mogę odpowiedzieć”.

Mówi, że w komponowaniu „wszystko jest oparte na eksperymencie. Jest to praca typowo empiryczna, a nie intelektualna. Cały czas polega na testowaniu własnej reakcji na zjawiska dźwiękowe. Bez tego nie może powstać nic nowego, co by mogło zadowalać głód czy potrzebę świeżości brzmień”. Inną ważną sprawą są korekty, które są „rodzajem koszmaru, bo właściwie człowiek ma pełną świadomość tego, że nie można nic skorygować do końca”.

A w zakończeniu tej części tak wypowiada się o muzyce: „Nie szukam w obrazach niczego, co byłoby poza nimi samymi. Tak samo jak w muzyce – nie szukam niczego, co jest poza samą muzyką. Niczego – poza emocjami. Muzyka jest wszak sztuką emocji, emocji ogromnie różnorodnych. Z gruntu fałszywe byłoby zatem mówienie o muzyce absolutnej jako o takiej, którą się karmi tylko intelekt. (...) gdybym miał wyjaśnić, na czym polega związek muzyki i tekstu, to byłbym w wielkim kłopotcie, bo nie tylko nie wiem tego, ale nie staram się wiedzieć – żeby tego nie popsuć”.

W drugiej rozmowie wyznaje, że „życie artysty i jego praca muszą być życiem i pracą samotnika. Bo to, co naprawdę się osiąga, staje się w czterech ścianach własnej pracowni”. I opowiada o swoich przyjaźniach artystycznych i ludzkich, o dedykacjach muzycznych i o pianistach, których ceni najwyżej: Hofmannie, Richterze, Michelangelim i Zimermanie. Znajdujemy tu ważną wypowiedź o komponowaniu: „Czasami mi się zdarza, że robię notatki, choć rzadko z nich korzystam. Na przykład jest bardzo dużo notatek w tym stole, przy którym pracuję, w szufladzie, ale nigdy nie będą mi służyły do niczego.

Komponowanie utworu ma trochę inny przebieg, bo zbiór tych kluczowych pomysłów, jak je nazywam, powstaje z pewną ciągłością, jest procesem. Nie jest to zatem coś, co przychodzi na myśl i jest odkładane na przyszłość, tylko należy do procesu pisania muzyki. Nie wyobrażam sobie innego sposobu, nie mógłbym po prostu pisać od pierwszej nuty do ostatniej – muszą być te kluczowe idee, które stanowią o utworze. (...) komponuję muzykę bardzo rozwojową, rozwijającą się w czasie”.

Tekst rozmów uzupełnia album z fotografiami ze zbiorów prywatnych, reprodukcjami obrazów, które lubił, rękopisami partytur i pisanych równym piśmem listów oraz płyta CD z nagraniem zapisanej całości.

K.M.

*

Z pozłożonym tytułem i z podtytułem: *Sensacyjny wywiad z papieżem* na okładce ukazała się trzecia rozmowa Benedykta XVI z Peterem Seewaldem (poprzednie tomy omówiliśmy w 2/2005 numerze „Kwartalnika”), po przeczytaniu której nijak nie rozumiem, dlaczego niby miałyby być „sensacyjna” i czy w ogóle możliwa byłaby taka rozmowa z następcą świętego Piotra, a już tym bardziej z obecnym jego następcą.

Jest to prawie osobista, bezpośrednia rozmowa i widać, że rozmówcy mają do siebie zaufanie. Przez pięć godzin nagrania poruszają wiele różnorodnych i ważnych, a nawet można powiedzieć, że węzłowych spraw dotyczących Kościoła i życia ludzi.

Kościół, na którego czele stoi Benedykt XVI liczy 1,2 miliarda wyznawców i jest to wielka i bardzo różnorodna wspólnota ras, ludów, kontynentów i kultur. Do tego, jak mówi papież, powołując się na świętego Augustyna: „Wielu jest na zewnątrz, którzy sprawiają wrażenie bycia w środku, i wielu jest w środku, którzy sprawiają wrażenie bycia na zewnątrz. W wierze, a także w przynależności do Kościoła katolickiego, w tajemniczy sposób powiązane jest ze sobą bycie wewnątrz i bycie na zewnątrz”. I dlatego, stwierdza: „papież jest z jednej strony całkiem bezsilnym człowiekiem. Z drugiej zaś strony spoczywa na nim wielka odpowiedzialność. Jest do pewnego stopnia przywódcą, reprezentantem, a zarazem odpowiedzialnym za to, aby trwała wiara, która scala ludzi, aby pozostawała żywa i nietknięta w swojej tożsamości. Tylko jednak sam Pan ma moc, aby sprawiać trwanie ludzi w wierze”.

Benedykt XVI ma osiemdziesiąt trzy lata, a jest wzorem pracowitości i poświęcenia: „trzeba uważać, aby w zdyscyplinowany sposób trzymać się rytmu dnia i wiedzieć, czemu poświęcić energię”, mówi. Z wielkim pożytkiem i z przyjemnością obcujemy z tym człowiekiem.

Mówi m.in. o tym, co to znaczy modlić się „w Duchu i w prawdzie”, że nie jest mistykiem, ale oddaje się w ręce Pana i ma z Nim modlitewny kontakt, że traktuje siebie jako dłużnika Jana Pawła II i swoją skromną postawą próbuje kontynuować jego dzieło, odnosi się do skandalu nadużyć seksualnych w Kościele („Zło zawsze będzie częścią tajemnicy Kościoła”), mówi o przyczynach i szansach kryzysu, w jakim znalazł się Kościół i świat i o globalnej katastrofie, o sekularyzacji, pogaństwie, ateizmie i dyktaturze relatywizmu i o konsekwencjach, które z nich wynikają, mówi o homoseksualizmie, o „nowych religiach” i o antyreligii, o kulturowej tożsamości, o prawdzie i o pokucie, o darze przemiany i o nawróceniu, o medytacji i obcowaniu z Chrystusem, o byciu chrześcijaninem we współczesnym świecie, o rozezna-

waniu duchów i o walce („Jak powiedział święty Augustyn: historia świata jest walką pomiędzy dwoma rodzajami miłości: miłością do samego siebie – aż do zniszczenia świata; i miłością do innych – aż do rezygnacji z siebie samego. Ta zawsze widoczna walka trwa także w naszych czasach”), o znakach czasu i o koniecznościach, o wrogości, o przychodzącym Chrystusie i o świętych („Musimy dzisiaj zaakcentować pierwszeństwo pytania o Boga”), o Słowie Bożym, o wewnętrznej perspektywie i o wewnętrznej spójności, o witalności, prostocie i radykalizmie Ewangelii, o wolności i odpowiedzialności, o starej i nowej liturgii, o dawaniu świadectwa, o szukaniu skutecznych sposobów głoszenia Ewangelii i o wielu innych ważnych sprawach.

W ostatniej, trzeciej części pt. *Dokąd zmierzamy?*, papież mówi m.in. o genezie obecnego stanu rzeczy, o roli tajemnicy i Logosu, o zadaniach, jakie są do wypełnienia, o siłach zła działających w ludzkiej duszy („Nie możemy robić tego, co chcemy. Szukamy woli Pana dla nas i jej się trzymamy, nawet jeśli to w tej kulturze i tej cywilizacji jest mozolne i trudne”), o oczyszczeniu i odnowie Kościoła, o świętości Eucharystii, która jest początkiem i odnową („przemiana człowieka jest najważniejszym warunkiem każdej rzeczywiście pozytywnej przemiany świata”), o strukturze czasu, o Ojcach Kościoła i o tryumfach Maryi, które są ciche, ale przecież realne, o wierze i o swojej nowej książce – drugim tomie o Jezusie Chrystusie, o czytaniu Biblii, o nośnikach tradycji i o wierności, o świętowaniu sakramentów i ćwiczeniach pobożności, o pięknie świata i o pięknie życia, o eschatologii i o rzeczach ostatnich, o docieraniu poza horyzont doczesności, o przebiciu się przez barierę skończoności, o Apokalipsie, o przyjściu Chrystusa i o Sądzie Ostatecznym i w ostatnich zdaniach tej rozmowy o misji Chrystusa, dzięki której możemy odnaleźć „prawdziwe życie, które nie będzie już więcej poddane śmierci”.

K.M.

Benedykt XVI w rozmowie z **Peterem Seewaldem**, *Światłość świata. Papież, Kościół i znaki czasu*, przekład Piotr Napiwodzki, Wydawnictwo Znak, Kraków 2011

*

Na dziesięciolecie Pardes, jako swojego rodzaju podsumowanie dotychczasowej działalności, ukazała się rozmowa z rabinem Sachą Pecaricem. Pardes to: bogacenie wiedzy (*pszat*), pogłębionego pojmowania (*remez*), intelektualnej przenikliwości (*drasz*) i mistycznego wglądu (*sod*) i w tych słowach (słowie) zawarta jest idea, która kieruje działalnością wydawniczą i oświatową tego Stowarzyszenia (kolejne tomy były omówione na łamach „Kwartalnika”).

„W tradycji judaizmu istnieje pojęcie *hakarathatow* – czyli umiejętności dostrzegania i doceniania dobra. Ten, kto jest mądry, postrzega dobro, którego doświadcza, zawsze jako rzecz niezwykłą i nigdy nie przyjmuje go tak, jakby mu się ono należało, jakby na nie zasługiwał” – stwierdza w przedmowie Paweł Jędrzejewski.

Rabin Pecaric jest autorem pierwszego po ponad siedemdziesięciu latach tłumaczenia Tory na język polski, które jest zarazem pierwszym w historii języka polskiego tłumaczeniem Tory uwzględniającym obszerny wybór klasycznych, rabinicznych komentarzy. W tej rozmowie opowiada o swojej historii i misji, a przede wszystkim o Torze, która jest niezgłębiona. Napisana świętym językiem – *leszonhakodesz* – nie ma ani jednego zbędnego słowa i tylko w tym języku może być czytana w synagodze. W żydowskiej tradycji czytania pojmowana jest na czterech poziomach znaczeniowych (hermeneutycznych) – *pszat, remez, drasz i sod* (z pierwszych liter tych słów zbudowane jest słowo PARDES), z których niektóre są zupełnie nieosiągalne w przekładzie.

Rabin Pecaric wyjaśnia, czym jest Tora Pisana i Tora Ustna i czym różnią się od siebie. Słowo *horaa* – z którego wywodzi się *tora* – po hebrajsku znaczy „pouczenie”, „instrukcja” i dla Żydów zatytułowana nim Księga stanowi podstawę światopoglądu i uczy, jak żyć w świecie. Pięć pierwszych ksiąg Biblii Hebrajskiej, czyli *Tanachu* to najważniejszy dokument i najświętsza księga judaizmu, zawierająca także jego 613 przykazań. Do Tory Ustnej przynależą m.in. Talmud (Miszna, która jest jego rdzeniem i późniejsza Gemara) oraz całe prawo (*halacha*). Tora Pisana i Tora Ustna są nierozdzieloną jednością. Wielkość Talmudu polega na tym, że dostarcza stałą możliwość interpretacji, wyznacza sposób myślenia i stanowi styl dochodzenia do prawdy – jest nieustającym, niedogmatycznym dialogiem. Jego twórcom udało się wynaleźć taką formę zapisu, która sprawia, że jest on jednocześnie „pismem” i „mową”. Wyjątkowość talmudycznej dialektyki polega na tym, że nic tu nie zostaje uznane za dane i pewne i o wszystko należy pytać. Talmud kieruje się przekonaniem, że interpretacja jest rozumieniem w działaniu. Dzięki niemu Tora uczy mądrości, która poprzedza doświadczenie i nigdy nie traci na aktualności, a jej czytanie jest ciągle uobecniającym się Objawieniem.

Rabin Pecaric wyjaśnia, co to jest żydowskie tłumaczenie i opowiada o pracy nad poszczególnymi Księgami. Mówi, że jego główną ideą było ukazanie powiązania Tory Pisanej i Tory Ustnej, a także uchwycenie i pokazanie bogactwa, precyzji i jedności Tory – Tory w działaniu. A zaczynał z założeniem, że jest nieprzetłumaczalna. Wyjaśnia, jak rozumie różnicę pomiędzy przekładem a tłumaczeniem, mówi, czym jest *targum* i stwierdza, że nie można czytać Tory po

polsku, ale można czytać *targum*, którym jest właśnie jego Tora Pardes Lauder. W szczegółowy i ciekawy sposób przedstawia problemy translatorskie i ich rozwiązania, do których dochodził, mówi o detalach i niuansach, podaje przykłady, na podstawie których widzimy, jak genialnym i natchnionym tekstem jest Tora.

Mówi o poziomach jej rozumienia, z których każdy dysponuje swoimi własnymi narzędziami egzegetycznymi, swoją metodą analityczną i swoim sposobem myślenia o rozważanych problemach, chociaż i tak prawda Tory zawarta już jest w *pszacie*, do którego możemy mieć dostęp dzięki Rasziem. „Rozum ludzki ma ciągoty do dogmatyzmu: »Ja mam rację«. W mądrości jest jednak inaczej: »Ty masz wgląd i ja mam wgląd«, a nie: »Moja racja przeciw twojej«, poucza. Tłumaczy zagadnienia związane z antropomorfizmem w Torze, wyjaśnia znaczenie słowa *haleluJah*, czyli „Chwalmy Go” [*halel* = chwała, dziękczynienie oraz: *Jah* (*Kal*) = połowa Niewymawialnego Imienia Boga; *Kal* pojawia się zamiast *Jah* przez szacunek dla Stwórcy], mówi m.in. o nieprzetłumaczalności Imienia Boga, o gematrii słów, o funkcjach nawiasów w tekście tłumaczenia, o znaczeniu modlitwy w studiowaniu i rozumieniu Tory, o języku hebrajskim, który jest językiem relacji z Bogiem, o tajemniczym słowie *korban*, o mowie boskiej i ludzkiej, o przezroczystości prorocत्व, o niezwyklej wieloznaczności słów (np. *tewa*, które oznacza arkę i słowo pisane), a także o ich niezwyklej przenikaniu i dopełnianiu (np. słów *midbar* i *darwar*), o idei kochania bliźniego, o przekształceniach i przemianach, o „ukształtowaniu się według istoty Boga”, o wolności (tu także o wolności woli), o opisie Stworzenia i o aniołach, o tożsamości, o przykazaniach i o etyce, o judaizmie i o innych religiach oraz o inspiracjach i wsparciach, których doświadczył, a kończy przypomnieniem opowieści o rabinie Zusji:

„Chasydzki, osiemnastowieczny rabin Meszulam Zusja z Annapola, młodszy brat cadyka Elimelecha z Leżajska, mawiał: »Gdy zejść z tego świata i stanę przed niebieskim sądem, jeśli mnie zapytają: Zusja, dlaczego nie byłeś tak wspaniały jak Awraham? – nie będę się obawiał. Odpowiem, że nie urodziłem się z duchowymi zdolnościami Awrahama. I gdy mnie zapytają: Zusja, dlaczego nie byłeś jak Mosze? – też nie będę się lękał. Odpowiem, że nie miałem przywódczych zdolności Moszego. Lecz gdy zapytają mnie: Zusja, dlaczego nie byłeś Zusją? – na to nie będę miał żadnej odpowiedzi«”.

O kim, czy o czym jest ta opowieść? O Bogu? O człowieku? A może o miłości i o tożsamości?

K.M.

Nowe książki

Biuro Literackie

Gottfried Benn, *Nigdy samotniej i inne wiersze*, wybór, opracowanie i wstęp Zdzisław Jaskuła, Andrzej Kopacki, Sława Lisiecka, Tomasz Ososiński, Wrocław 2011

Adam Ważyk, *Wiersze i dwa poematy*, wybór i posłowie Andrzej Sosnowski, seria „44. Poezja polska od nowa”, tom 3, Wrocław 2011

Fundacja Anima „Tygiel Kultury”

Stanisław Cieślak, *Wiara pozytywistów*, Łódź, 2010

Galeria Autorska

Wojciech Banach, *Mężczyzna z sąsiedniej klatki*, Biblioteka Bydgoskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Tom 4, Bydgoszcz 2010

Ks. Jan Sochoń, *Uspokój się*, Bydgoszcz 2010

Państwowy Instytut Wydawniczy

Luigi Pirandello, *Jeden, nikt i sto tysięcy*, przełożyła i posłowiem opatrzyła Joanna Ugniewska, „Biblioteka Babel”, Warszawa 2011

Oscar Wilde, *Twarz, co widziała wszystkie końce świata*, opowiadania, bajki, poematy prozą, eseje, ilustracje Piotr Gidlewski, przełożyli: Ewa Berberysz, Eres, Maria Feldmanowa, Elżbieta Jasińska, Jadwiga Kornilowiczowa, Helena Seidel, Cecylia Wojewoda, Warszawa 2011

Tarjei Vesaas, *Dom w ciemności*, przełożyła z norweskiego i opatrzyła posłowiem Anna Marciniakówna, „Biblioteka Babel”, Warszawa 2011

Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu

Józef Kurylak, *Dziewczyna z odciętą głową*, Rzeszów 2010

Stefan Rusin, *Pacyfik*, Rzeszów 2011

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

Jechiel Rajchman, *Ocalałem z Treblinki. Wspomnienia z lat 1942–1943*, z jidysz przełożyła Bella Szwarzman-Czarnota, posłowie Ewa Koźmińska-Frejak, Warszawa 2011

Philip Roth, *Fakty. Autobiografia powieściopisarza*, przełożyła Jolanta Kozak, Warszawa 2011

Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne Fraza

Eryk Ostrowski, *Cydonia*, słowo wstępne Julia Hartwig, Rzeszów 2010

Towarzystwo Przyjaciół Sopotu

Adam Gleń, *Istnienie i literatura (notatnik hermeneuty)*, Biblioteka Krytyki/
Biblioteka „Toposu”, tom 59, Sopot 2010

Wydawnictwo Forma

Marcin Barczewski, *Malone*, Szczecin – Bezzrecze 2010

Ta sama Europa? Inna Literatura? Współczesna proza europejska, pod redakcją
Justyny Czachowskiej i Anny Kczuk-Kaslickiej, Szczecin – Bezzrecze 2010

Wydawnictwo ISKRY

Stefan Kisielewski, *Dzienniki*, wprowadzenie Ludwik Bohdan Grzeniewski,
Warszawa 2011

Wydawnictwo Literackie

Jacques Burko, *Wątpewości. Wybór wierszy/Certidoutes*, przekład i posłowie
Tomasz Różycki

Alice Munro, *Zbyt wiele szczęścia*, przełożyła Agnieszka Kuc, Kraków 2011

Jan Józef Szczepański, *Dziennik, tom II: 1957–1963*, Kraków 2011

Wydawnictwo słowo/obraz terytoria

Aby Warburg, *Narodziny Wenus i inne szkice renesansowe*, przełożył i wstępem
opatrzył Ryszard Kasperowicz, notę edytorską opracowała Katia Mazzucco,
Biblioteka Mnemosyne, Gdańsk 2010

John Ruskin, *Niewinne oko. Szkice o sztuce*, wybór i przekład Jakub Szczuka,
wstęp Ryszard Kasperowicz, Gdańsk 2011

Ryszard Krynicki, *Kamień, szron*, Gdańsk 2011

Wydawnictwo Śląsk

Piotr Roguski, *Do przyjaciela wroga. Niemcy w poezji polskiej. Antologia*, Kato-
wice 2010

Wydawnictwo Znak

Ernesto Sábato, *Abadon – Anioł Zagłady*, przełożyła Helena Czajka, Kraków
2011